

Republika

DYALOGI
FILOZOFICZNO - RELIGIJNE.

X. CHARSZEWSKI



DYALOGI

FILOZOFICZNO-RELIGIJNE



NAKŁADEM KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO
W WILNIE — 1913.

IMPRIMATUR.

Casimirus Michalkiewicz

Administrator Apostolicus Dioecesis Vilnensis.

Cancellarius Sac. J. Steckiewicz.

Dyalog-Przedmowa.

Autor. Różnymi czasy, w różnych czasopismach),¹ pomieściłem kilka różnych dyalogów. Po napisaniu kilku ostatnich, które nastąpiły po sobie w krótkich czasu odstępach, zdało mi się, jakoby sobie uświadomił, że w dyalogu trafiłem na swoją formę, że to forma, która jest mi wrodzona, w której przeto chętnie myśli swoje odlewam. Postanowiłem tedy sprezentować przed czytelnikami swoje dotychczas napisane dyalogi — w jednym zbiorze pod jedną gwiazdką, w nadziei, że się z czasem uzbiera na tom z dwiema gwiazdkami.

Pierwszy chór krytyków. Czytaliśmy je, czytaliśmy już w czasopismach!... Ależ ciemni bo ciemni są ci twoi rozmówcy, kochany autorze! Dyalogi twoje przypominają, niezbyt dla nich pochlebną, anegdotę literacką. Krytyk rosyjski, Bielinskij, napisał raz artykuł w formie dyalogu i przeczytał go Hercenowi. Ten, wysłuchawszy go, rzekł: „Artykuł bardzo dobry! Tylko nie rozumiem, jak miałeś cierpliwość tak długo z takim głupcem rozprawiać?” Przeciwnicy, których sobie dorobiłeś, zbyt słabo bronią swoich pozycji ażeby zadanie twoje mogło być trudne i, co za tem idzie, interesujące.

¹) *Przegląd Katolicki* (dawny), *Myśl Katolicka* i *Polak Katolik*.

Autor. Nie moja wina, że moi rozmówcy są w rzeczach katolickich mniejszymi lub większymi ignorantami. Wszak to nie anglicy, rosyjanie lub Niemcy, ale rodowici Polacy, słynni z analfabetyzmu religijnego, jak Francuzi z geograficznego. (Wśród kōsmopolitycznego towarzystwa w „Wieczorach nad Lemanem“ jedynym Polakiem i zarazem jedynym płytkim rezonerem jest Bielski). Wziąłem ich takimi, jakimi są w rzeczywistości. Jeślim ich trochę poprzerabiał, to raczej na ich korzyść, żeby mieć większą w rozprawach z nimi satysfakcyę. Jeślim zaś miał cierpliwość z nimi rozprawiać, to zbroiła mię w nią gorliwość, może nawet pasya apologetyczna. Myślę, że wszelki niedowiarek (bez względu na talent), któryby w formie dyalogu walczył z katolikiem, uczyniłby go skończonym idyotą; a chociaż byłaby to głupota jego własna, którą on katolicyzmowi narzuca, mimo tego krytyka powitałaby jego utwór rześistym oklaskiem.

Zauważyć nadto muszę, że dyalogi moje w tym zbiorze nie są bynajmniej czystym tylko przedrukiem, lecz że z powtórnej redakcyi wyszły na ogół rozszerzone, pogłębione i poprawione. Zwłaszcza najstarszy z nich: „O tolerancyi religijnej“ — wyszedł nieledwie — jak brystol z porzuconej szmaty. Mógłby go nie poznać, kto w pierwszym druku go czytał. Dodam jeszcze, że, gwoli wytechnieniu, między dyalogi duże wpleciono dyalogi drobne.

Drugi chór krytyków. Czego tu niema?! Pioruny Jowisza, skrzydła Erosa, podziałówki Hermesa, kopyta

szewca z Efezu, obcasy Wenery, młot Wulkana, stajnie Augiasza, szkapą trojańska, garnek z gorącą wodą Ksantypy, łysina Sokratesa, beczka Dyogenesa, kielnie masońskie, konopie Filipa, kulaki Puryszkiewicza itd., itd. -- pomieszczone ze wszystkimi chemikaliami laboratoryów uczoności – pędzą, wywracają się, piętrzą, i w końcu powstaje z tego stos uczonych rupieci i styłowych skorup!...

Autor. Nie moja znowu wina, jeśli szanowni krytycy o reporterskiej inteligencji, mając w głowie bigos z wybojów ulicznych, mostków zepsutych, katastrof tramwajowo-samochodowych, szyldów litwaackich, gwiazd teatralnych, schadzek kawiar-nianych, migotań iluzyonów itd., itd., niezdolni są dostrzedz okrętowej liny myśli przewodniej, na którą nawleczono kule i kulki erudyty, pomalowane stylem na różne kolory, wedle ich rodzaju. Żałuję bardzo, że dla krytyków pewnego gatunku (należą tu i umysłowe wióry z nieszczęśliwą miną) zamożność stylu i treści jest nie do darowania tak samo, jak dla nasiąkniętego socyalistyczną zawiścią proletaryusza — zamożność człowieka pracowitego i nie bez zdolności...

Czytająca Publiczność. (Westchnienie z podziemia duszy). Ach, gdyby to były powieści, nowele!.. Możnaby wówczas przełknąć i uczone rozprawy, jak u Żeromskiego, który je usmacznia i sowsicie oplaca paprykowym sosem zmysłowej sensacyi. Ale gołe i mimo tego... przyzwoite dyalogi??... Co nas obchodzą walki światopoglądów?! Niech się niemi zajmują ci, co chcą świat przewracać do góry nogami. Nam dobrze

i zmian żadnych nie potrzebujemy. Chcemy bawić się, marzyć... ach! bawić się, marzyć...

Autor. Bawić się i marzyć na wulkanie!... Przychodzę was właśnie przebudzić z występnego dolce far niente i powołać do akcji ratunkowej, chociażby względem samych siebie. Powieści, powieści! Dyalog jest czemś lepszym i wyższym. To powieść bez *bajki*, to dramat w wysokich sferach ducha. Upadliżeście tak nisko, żeście już niezdolni ocenić smaku strawy, gatunkowo, bądź co bądź, wyższej?

Mefisto. (Z za pleców autora, do ucha). Wzbijaj się, wzbijaj! Chwal się, chwal! Dyalogi twoje są arcydziełem!

Autor. Arcydziełem, nie arcydziełem... Radbym był, zaiste, gdyby arcydziełem być mogły, albowiem przyczyniłyby się tem skuteczniej do tryumfu sprawy, którą kocham i której w dyalogach swych bronię. Nie zabiję ich wszakże śmiesznością samochwalstwa, które mi, kusicielu, podsuwasz. Apage satanas! Mniemam tylko, że kto dyalogi te przeczyta, nie straci, lecz zyska uświadczenie, którego mu braknie a gwałtem potrzeba. Kto zaś je posiada i tem samem jest ze mną jednomyślny (no bo przeciwnicy nasi są z reguły na polu naszym obskurantami), ten może bez satysfakcyi będzie śledził bieg dyalogów, rozwijających się w kierunku dlań sympatycznym i, choć czasem pozornie nierozegranych, zatrzymujących się jednak tryumfalnie u mety zwycięstwa.



I.

LEKCJA KATOLICYZMU W SALONIE.

DYALOG NA TLE IDEI EWOLUCYI.



— Ty, piło amerykańska! — wymyślał przekomarzając Bolko Zbyszkowi, brat bratu, z miną figlującego kociaka.

— Ty piło drewniana! — przelicytowywał Zbyszek Bolka ze śmiechem, czyniąc przytem gest żartobliwy, jak gdyby go zamierzał uderzyć.

— Wybornie, — rzekłem — wiecieście piły obadwaj. Dopieroż byłby zgrzyt, gdyby piła piłę zaczęła pilować! Ale ja także jestem piła: piła katolicka, która staje przeciwko wam, żeby was rozbroić. Powiedźcie mi, zuchy, którzy to święci zostali przepiłowani?

Zakłopotane milczenie... Rozbawieni młodzieniaszkowie postawili oczy w ślup, jakby patrzyli w głąb siebie, szukając odpowiedzi w tym składzie nabytych wiadomości, jaką jest pamięć. Daremnie!

— No, nie dziwię się, że nie wicie. Pytanie dosyć trudne, jak na was — rzekłem głaszcząc po chwili. — Zatem posłuchajcie!

Za naszej ery chrześcijańskiej, wedle tradycyi, przepiłowany był na dwoje apostoł Szymon, z przydomkiem aramejskim Kananejczyk, greckim Zelo-tès, polskim Gorliwy, iż, według jednych uczonych, należał do żydowskiej sekty „gorliwców“ Zakonu Mojżeszowego; zdaniem zaś innych, odznaczał się wo-

góle gorliwością w praktykach religijnych. Apostolował Afrykę północną, zwłaszcza Egipt, gdzie doprowadził chrześcijaństwo do kwitnącego stanu. Przeniósł się następnie do Persyi, gdzie poniósł męczeństwo w mieście Suanir, razem z towarzyszącym mu tam apostołem Judą-Tadeuszem. Utrzymują, jakoby obaj zostali ukrzyżowani, mianowicie na krzyżach odwróconych: podobnie, jak św. Piotr w Rzymie na zatybrzańskim wzgórzu Janiculum, kiedy dziś pyszni się na brązowym rumaku brązowy Garibaldi i z wyżyny spogląda tryumfalnie na Wieczne Miasto, którego, choć je kilkakrotnie przeciw Piusowi IX szturmował, nigdy nie zdobył...

— Ach, Garibaldi, Garibaldi! Włoski Kościuszko, wódz i mistrz garybaldezyków polskich, którzy wzięli udział w Roku 63! — zapaliła się panna Jadwiga, młoda nauczycielka domowa, amarantowa partyotka, namiętna liberałka, przytem zaś osoba szeregze religijna i pobożna.

— Pozwoli pani, panno Jadwigo, że tymczasem dokończę tego, com zaczął. Potem będziemy mogli przejść do „włoskiego Kościuszki“ i związanej z nim sprawy dell'Unità Italiana.

— Przepraszam... proszę...

Inne wszakże podanie głosi, że Szymon Gorliwy umarł pod pilą. To narzędzie męki wkłada mu w rękę ikonografia chrześcijańska. Nie przeszkadza temu odmienny rodzaj śmierci męczeńskiej towarzysza jego, św. Tadeusza. Podobnie święci Piotr i Paweł stanowią bliźniaczą parę męczeńską: tymczasem pierwszy skonał kaźnią niewolników — na krzyżu, na własne życzenie, głową na dół, a drugi, jako obywatel rzymski, został honorowo ścięty mieczem.

— Co to jest ikonografia? — zapytał Zbyszek.

— *Eikon*, po grecku: obraz, i *grafein*: pisać — podchwycił młody nauczyciel domowy, p. Ludwik, wierzący katolik, ale też pochlapany liberalizmem.

— Tak, — dokończyłem. — Stąd ikonografia znaczy: nauka o pisaniu (język rosyjski, wykształcony na greckim, wyraża się dosłownie: *pisat' kartinu*) czyli malowaniu obrazów; z dodatkiem: chrześcijańska, oznacza naukę o tem, jak należy malować obrazy treści religijnej, żeby odpowiadały swemu przeznaczeniu. Przyczem chodzi nie o technikę malarską, jedną dla wszelkiej treści malowideł, lecz o ducha i symbolizm. O św. Szymonie dodam tu szczegół interesujący. Istnieje przypuszczenie, że był on owym nowożeńcem z Kany Galilejskiej, gdzie Zbawiciel spełnił pierwszy cud: przemienił wodę w wino. Wzruszony do głębi duszy tym cudem łaskawym i cudowną łaską, miał już wtedy, za zgodą oblubienicy, porzucić wszystko i pójść za Chrystusem.

— Dziękujemy! Dziękujemy! — zawołali chłopcy na wyścigi. — A kto jeszcze więcej z męczenników był przepiłowany? — pytali rozciekawieni.

Brrr!... — wstrząsnęła się p. Jadwiga. — Mrowie przechodzi na samą myśl o zgrzytaniu piły po żywych ścięgnach, mięśniach i kościach.

— Drugi święty, podobny do św. Szymona męczennik, należy do Zakonu Starego...

Jakto!? — przerwała zdumiona nauczycielka, osoba skądinąd niepowszednio inteligentna i oczytana. Przecież starozakonni, jakkolwiek wielcy, nie należą do Kościoła i nie mogą być tytułowani świętymi. Niedawno Tadzio przy nauce historyi świętej zapytał mnie, czy król Dawid jest święty. Odpowie-

działam naturalnie, że nie, bo, najprzód, był żydem: powtóre, bo żeby być świętym, t. j. uznanym za świętego, trzeba kanonizacyi...

Przywykły oddawna do zdumiewających objawień ignorancyi wśród naszej sławnej pod tym względem inteligencyi polskiej, nie zgorszyłem się, ani nie zdumiałem na to zgoła nie bajecznie naiwne oświadczenie. Uśmiechnawszy się pobłażająco, odparłem trochę złośliwie:

— Osobliwy przesąd antysemitki w osobie liberalizującej, która skwapliwie czytuje i wielbi Feldmanów, Nusbaumów, Blumenthalów (Belmontów). Neuwerth-Nowaczyńskich ¹⁾ i tym podobnych. Trzeba koniecznie przeprowadzić grubą linię demarkacyjną między żydami przed Chrystusem, a żydami po Chrystusie. Wówczas oni byli ludem wybranym, dziś są ludem odrzuconym i tułaczym. Inaczej, musielibyśmy razem z nimi odrzucić samego Chrystusa, bo, jako człowiek, był żydem; jak niemniej całą świetną plejadę świętych Nowego Zakonu, ale biblijnych, z Matką Boską na czele, bo wszyscy byli pochodzenia żydowskiego. Sama pani stwierdziła, że król Dawid, natchniony pieśniarz psalmów, należy do historii *świętej*.

— Mocno przepraszam, ale Feldmany, Belmonty i Nusbaumy są cywilizowani, wyrzekli się talmudu i przyjęli kulturę polską; a Nowaczyński i Belmont są w dodatku chrześcijanami.

— Tamci może nawet jadają szynkę wieprzową, dla wszelkiej pewności nazwawszy ją łososiem... Przyjęli kulturę polską i zaliczani są do polskiej literatury i nauki; gdy się tam jednocześnie odmawia wstępu piszącym księżom i wogóle wyraźnym, uświa-

domionym katolikom polskim. Owa przynależność nie przeszkadza im jednak po żydowsku nienawidzieć nie tylko Chrystusa i Kościoła, ale i polskości, o ile jest z Kościołem związana. Mając w ręku broń talentu i nauki, niebezpieczniejsi są od talmudystów. Powierzchnie spolszczeni, są żywą negacją ducha kultury polskiej, wyrosłej na katolicyzmie. Co do Belmonta i Nowaczyńskiego, ci wprawdzie są ochrzczeni, ale mają umysłowość typowo moderne-żydowską. Ochrzeił się (z wyrachowania!) i Heine, a przecież „sława“ jego są świetne co do formy bluźnierstwa przeciw świętościom chrześcijańskim. Pomijając pretensjonalnego ale przyzwoitszego Belmonta, powiem o Nowaczyńskim, że pozuje na polskiego Makiawela, jest niewątpliwie dowcipny, bystry, utalentowany; wytwórczość jego atoli cechuje właściwy żydom cynizm i arogancja. Czyż, doprawdy, niema już nic lepszego dla zaspakajania umysłowego głodu, choćby ten głód był wileczy, nad „Małpie Zwierciadła“, „Skotopaski“, „Facecye Sowizdrzalskie“, a choćby „Carów Dymitrów“, „Fryderyków“, „Smocznych gniazd“ i t. p.? Trudno pojąć, jak można przy odrobinie logiki pogodzić żarliwy aż do szowinizmu patryotyzm z kultem dla narodowego plwacza, jakim jest p. Neuwerth. Ciekawy pisarz polski, dla którego Fryderyk II jest Wielkim, a biskup Krasiecki pajacem! Komu to nie wystarczyło, temu powinnyby ostatecznie otworzyć oczy takie „Parerga“ (komentarze) p. Neuwertha do jego „Cyganeryi warszawskiej“, gdzie ten robaczywy duch żydowski zuchwale przenicował nasze, otoczone czeią powszechną, wartości narodowe. Święty Stanisław Szczepanowski, Kordecki, o. Marek z konfederacyi Barskiej — to dla niego „zdrajcy“, Skarga to

„złotousty intrygant, którego działalność sprowadziła rozbiór Polski“, Krasiński — „ojcem wszystkich wyrodnych synów ojczyzny“, Słowacki — „błędną kometa“. Semicki, wązki i ostry, jakby przymrużony cynicznie kąt widzenia, w którym nie mieści się żadna wielkość narodowa, o ile wybitnie katolicka. Oryginalność sztuczna, ciągniona za włosy, efekciarska, polegająca na zuchwałem przeczeniu idealnych prawd polskich, a znamionująca właśnie umysłowość żydowską. „Słabo ochrzczony“, jak powiedział ks. Gnatowski, ulicznik literatury polskiej! I takiego urwisza czytają i chwałą zapaleni patryoci polscy!

-- Książd ma słuszość — zabrała głos pani domu, nie biorąca dotąd udziału w rozmowie, lecz przysłuchująca się jej uważnie. — Świeżo czytałam w *Tygodniku Ilustrowanym* artykuł Ignacego Grabowskiego p. n. „Niewdzięczni goście“, gdzie autor „Grunwaldu“ wypowiada o pisarzach żydach pogląd taki sam i w sposób zupełnie przekonywający.

-- Grabowski ma w swoim okazałym dorobku pisarskim „wesole grzeszki“, a w działalności publicystycznej -- „pudła“ doktrynerskie lub ignoranckie, o ile dotykał katolicyzmu i nawet polityki. Wśród grupy jednak pisarzy młodszych wyróżnia go dodatkowo mocne poczucie narodowe, niepozbawione oddźwięków sympatycznie katolickich, czasem wprowadzie fałszywych, ale bodaj zawsze dobrowiernych. Radbym posłuchał tego myślarza-poety w kwestyi literacko-żydowskiej. Może p. Ludwik będzie łaskaw odszukać i przeczytać nam tych „Niewdzięcznych gości“.

-- Służę w tej chwili! -- skoczył z gotowością p. Ludwik.

— Nastrećza mi się żalosna uwaga — wtrąciłem, korzystając z pauzy w oczekiwaniu na „Nie wdzięcznych gości“. — My, katolicy uświadomieni, trzymając się wypróbowanej wiekami dyrektywy katolickiej, pierwsi zazwyczaj uderzamy na trwogę wobec niebezpieczeństw narodowych i społecznych. Wskutek atoli niedorzecznych przesądów antyklerykalnych, zastrzykniętych mądrze w opinię przez bractwo wolnej myśli, brak nam, niestety! kredytu i posłuchu. Znajdujemy wiarę dopiero wówczas, gdy za nami poświadczy ktoś liberalny i przeto dobrze markowany, co następuje pospolicie przypóźno, kiedy już zło wybuchnie płomieniem nazewnątrż. Gorzej! Nawet wtedy my, z nami katolicyzm, zostajemy w cieniu spiskowego milczenia; zasługa zaś wszczęcia zbawczego alarmu przypada w udziale komu innemu. „*Sic vos, non vobis!*“ Albowiem niewolno przypisać katolicyzmowi jakiejbądź zasługi, któraby go w oczach społeczeństwa podniosła. Jeszcze gorzej! Przy nas, mimo wszystko, pozostaje wzgardliwa etykieta „alarmistów“, jaką nam przyklejają przeciwnicy, gdy już zmilczeć nie mogą. „Gorzki to chleb jest polskość“ — powiedział Norwid. Chleb gorzki wdwojnasób, to polskość złączona z katolickością.

Chcecie państwo zmierzyć i ocenić nikezemną przewrotność, z którą nam trzeba walczyć przeciw idącym na pasku żydowskim antykatolikom różnego autoramentu? Macie jej obraz gotowy a zrozumiały w stosunku nacjonalistów rosyjskich do „inorodców“. Zmierzcie i oceńcie! Dla wielu katolików, niestety! zadanie to trudne tak samo, jak dla okłamywanego przez prawicowców rosyjskich rosyjskiego społeczeństwa wykryć ich fałsze antypolskie. Nie

próżno przez pół wieku bez mała pracowali usypiające opinii narodowej katolickiej. Przekłète wampiry, wachlujące upiżmowanemi skrzydły swoje ofiary, żeby je uspić, a potem wyssać z nich krew! Wilkołaki krwiożercze! Jeżeli zaś usypiacze wierzą w to, co głoszą, i służą wilkołakom a wampirom z naiwnością doktrynerów, to trzeba ich kropnąć z dosadnością Szekspira:

„O światłe głupcy, mędry z głową chorą:
Im głębiej wezmą, tem płycej wybiorą!“

Tymczasem p. Ludwik wrócił z *Tygodnikiem Ilustrowanym*, siadł i czytał:

— „...Dawniej brzuchaty i leniwy szlachcic po-saski nie mógł się obyć bez pachciarza; teraz nie mogą się bezeń obejść najpostępowsi demokraci... Celemu pokoleniu umieli obrzydzić rupiecie: „Stara Polskę“, a ufundowali nowy pasaż czy bazar: „Młoda Polskę“. To, co było i jest w duszy polskiej, ma być już anachronizmem; powstają nowe wartości, według osoby z powieści Żeromskiego, zwane: *pochronizmy*... Cóż nam dali i dają ci przodowi głosiciele i działacze kultury, apostołowie ludzkości i wszechbraterstwa, trębacze postępu, nieszczęśliwi tułacze świata, udzielający własnego nieszczęścia każdemu, co się z nimi zetknie?...“

— Brawo, piewco „Sokołów!“ Widzę w tobie szlachcica nowoczesnego z brzuchem zapadłym, jak z fantazją otrząsa się z żydostwa. Niech żyją li-twacy, którzy nas uczą polskiego rozumu! Wślad za odkazanym z semityzmu rozumem polskim przyjdzie i rozum katolicki, który już oddawna, niebezpieczeństwa asymilacyi wskazywał. To musi mu być w koń-

cu przyznane, mimo konceptów postępowcowych, przypisujących dokonanie „odkrycia“ przeciwyżydowskiego Niemojewskiemu i Moszczeńskiej. Trzebaż podać za najnowszą ewolucją „postępu“, panno Jądwigo!...

W przeciwyżydowskim manifestie Grabowskiego słyszę echa przebrzmiałej antyfeldmanady — na której dnie kryje się uraza osobista wielu pisarzy do autora „Współczesnej literatury polskiej“.

Niema potrzeby zaglądać za kulisy, gdy prawda sama rzuca się w oczy. W imię ideałów narodowych i ogólnoludzkich występowali przeciw Feldmanowi ludzie polscy czystej krwi a różnych obozów, jak Gomulicki, Rosner, Potocki, których o prywatę posądzić nie można. Wszystkie dane przemawiają raczej za tem, żeby o tendencyjną stronniczość oskarżyć samego Feldmana, którego nasza feldmanistka próbuje osłonić przywilejem nietykalności. Feldman ma talent, ma spryt, ale nie ma głębszego umysłu, a przede wszystkim pamięci, potrzebnej kłamcom i blagierom szczególnie. On sam na swoje usprawiedliwienie ukuł i wyznał zasadę zdumiewającą, że cnotą krytyka jest jednostronność, siłą — subiektywizm, koniecznością — niesprawiedliwość. Jednostronność i wynikająca z niej niesprawiedliwość sądu zdarza się najlepszym i największym umysłom, ale to jest ich słabością. Subiektywizm w krytyce literackiej jest dziś wprawdzie modny, ale to przejściowy objaw bankructwa wrodzonych umysłowi ludzkiemu dążeń obiektywistycznych, mający swoje źródło filozoficzne w panującej dziś teorii poznawczej Kanta. Czynić z tych trzech czynników destrukcyj-

nych zasady obowiązujące, znaczy otworzyć szluzę, które trzymają w karbach sądy ludzkie o ludziach i rzeczach i sprowadzić powódź anarchii umysłowej i moralnej. Łatwo odgadnąć, do jakich nadużyć otwiera furtki zespół takich „zasad“ w rękach, obarczonych dziedzicznie słabością do wag i miar podwójnych. Ulubieniec naszej młodopolki wziął w staropolski pacht literacką twórczość. Założył handel dyplomów i dyplomików chwały, żeby przez jednostronne, z konieczności niesprawiedliwe i semicko-subiektywne ich rozdawnictwo popierać hasła potępiénce, a zwalczać święte, i przytem chwałę za chwałę zyskiwać. Trafila w końcu kosa na kamień i wyszczerbiła się...

— Sprostowana i prawidłowo wyszczerbiona kosa staje się piłą: zatem wróćmy do naszej piły, od którejśmy zbyt daleko odbiegli docieła mi p. Jadwiga, nastawiając zwrotnicę ku opuszczonym rełsom właściwego przedmiotu rozmowy, żeby przerwać niemiłe jej wywody.

— Składam ukłon zręczności dyalektycznej, jakkolwiek tendencyjnej... Pozwoli pani jednak, że wyprowadzę konkluzję z tego epizodycznego dyskursu, który sama pani wywołała i który ma bliższy związek z naszą piłą, niżby sądzić było można z pozoru.

Żydzi nasi polszczą się powierzechownie, my żydziejemy od wewnątrz: oto rezultaty asymilacyi, bez i mimo Chrztu.

— Sam ksiądz przecie stwierdził bankructwo asymilacyi.

— Dotychczasowi żydohubcy stali się dziś antysemitami rasowymi, gdy duchowo są w dalszym ciągu krewniakami żydów. Zerwali z nimi związek ze-

wewnętrzny, jako kompromitujący myśl „wolną“ i „niepodległą“; trwają w związku wewnętrznym. Jest to fatum wszelkiego niedowiarstwa, że się z niem zawsze łączą żydzi przeciw katolicyzmowi. Antykatolicyzm żydowski czy polski — jeden dyabeł, który nawet tu i tam w skórze polskiej się nosi. Żyd chętnie przywdziewa skórę asymilowaną, żeby nabył prawo do wywierania wpływów na stosunki społeczeństwa rdzennego, naturalnie w duchu talmudycznym.

Istnieje antysemitcka odrośl masoneryi w tym samym duchu, co i antysemityzm naszych niepodległowców. Na kongresie w Hamburgu masoni tego autoramentu odrzucili ryczałtem Stary Testament, bez którego Nowy traci swoje znaczenie, swój sens chrześcijański. Pani, panno Jadwigo, odmawiając tytułu świętości świętym Starego Zakonu, opowiedziała się bezwiednie za takim właśnie antysemityzmem masońskim, którego Kościół aprobować nie może. Godzą się z nim natomiast postępowi żydzi, którzy chcą być naszymi grzecznymi sąsiadami, jak pchła jest sąsiadem psa, a kleszcz — bałana...

Teraz mogę przerobić kosę na piłę.

Drugi święty, który według podania umarł od piły, to prorok Izajasz, pierwszy z czterech proroków Starego Zakonu większych, lub inaczej starszych. (Nawiasowo zauważę tu pod adresem naszej gorącej patryotki, że w czasach, poprzedzających przepowiedziane przez Pana Jezusa zburzenie Jerozolimy, dziwnem powodzeniem cieszyli się u żydów prorocy fałszywi, którzy się też do spełnienia Chrystusowego proroctwa przyczynili, właśnie przez podniecanie uczucia narodowego). W duchu proroczym nakreślił Izajasz portret Mesjasza tak jasny i wyraźny, jak

gdyby był sam świadkiem dokonanej tajemnicy Wcielenia Słowa. Stąd Ojcowie Kościoła powiedzieli, że należałoby go zwać raczej ewangelistą i apostołem, aniżeli prorokiem.

— Co znaczy tutaj Słowo? — przerwał jeden z chłopców.

— To może pani będzie łaskawa naszemu Bolkowi wyjaśnić — zwróciłem się nieco złośliwie do p. Jadwigi.

— Słowo — rumieniając się, odparła zagadnięta jest to samo, co Pan Jezus...

Dziękuję! Tak, Słowo oznacza Pana Jezusa, jako Boga. Jest to Słowo Boga Ojca, które jest Synem Bożym. Ku temu Słowu wzbija się orłem św. Jan, zaraz na wstępie do swojej Ewangelii. Z niedoścignioną wzniosłością mówi:

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo.

„To było na początku u Boga.

„Wszystko się przez Nie stało, a bez Niego nie się nie stało, co się stało.

„W Niem był żywot, a żywot był światłością ludzi.

„A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły...”

Brzmi to jeszcze uroczyściej, aniżeli pierwsze, urozyste, podobne wiersze Genezy:

„Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.

„A ziemia była pusta i próżna: i ciemności były nad głębokością: a Duch Boży unosił się nad wodami...”

Nie dziw, że tamto brzmi bardziej uroczyście. Natchniony autor „Apokalipsy“, zawierającej proro-

etwo epilogu dziejów ludzkości, dał nam w swej Ewangelii *przedwieczną* genezę Chrześcijaństwa.

„A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami...” — mówi dalej Ewangelista - Orzeł, stwierdzając i ogłaszając dokonaną tajemnicę Wcielenia; kapłan, wymawiając te słowa w t. zw. „ostatniej” Ewangelii, przykłęka...

A ja myślałem, że to są słowa kolendy! wyrwał się Zbyszko.

Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ze źródła ewangelicznego wzięt je dosłownie poeta stanisławowski, Franciszek Karpiński, autor tej wspaniałej artystycznie i głębokiej teologicznie kolendy. Wplótł je do niej, jako zwrotkę, powracającą co strofa.

— A prorok Izajasz? — z wdziękiem upominał się Bolko.

— Dobrze, że przynajmniej ciekawość chłopców naprowadza nas na drogę pierwotnego tematu. Inaczej, czyniąc co chwila wycieczki w różne strony, zapomnielibyśmy, skądemy wyszli i dokąd zmierzamy.

Przepraszam księdza! — zaprotestowała nauczycielka, która dopatrzyła się przymówki do siebie — ale ta sama ciekawość chłopców sprowadza nas też na bezdroża.

Więc dobrze przynajmniej, że skoro pytaniami swemi odcinają nas od właściwego przedmiotu, sami następnie nas oryentują, jak to i pani uczyniła przed chwilą, za co złożyłem jej również uznanie.

To zasługa ciekawości, żadnej sensacyi!

Ciekawość rzeczy dobrych jest dobra. A ciekawość rzeczy Bożych prowadzi do Boga. Oby choć szczyptę tej ciekawości posiadała nasza chromająca

religijnie inteligencya, która przechodzi obojętnie obok oceanu zagadnień religijnych, obok skarbów wiedzy katolickiej! „To nudne!” — orzeka ona zgóry, nie zadawszy sobie nawet trudu spojrzenia na ten ocean niezmierny, na te skarby bezcenne. Tak i dla umysłowego chłopca nudne są freski Michała Anioła na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej, albowiem ich nie rozumie, przyczem zbyt go męczy trzymanie do góry głowy, przywykłej do zgięć ziemnych. Dla niego to i brzydkie, albowiem spękane i szerniałe od działania wieków. Należałoby choć w pokoleniu najmłodszym rozbudzić religijną ciekawość, aby społeczeństwo nareszcie otrząsnęło się z tej dławiącej zmyślenia obojętności religijnej. Ale któż ją rozbudzi? Azali ci, co jej sami nie skosztowali? Więc skosztujcie wy, co się mienicie inteligencyą! Oto sfrunął skądś ku wam maleńki ptaszek maleńkiego zagadnienia. Pogońcie za nim, aby go schwytać, a zaprowadzi on was w krainy cudu, którychście nawet nie przeczuwali. I zwymyślacie sami siebie od ostatnich, — passez le mot! kpów, żeście względem nich tak długo byli bezmyślnie obojętni; i będziecie się dziwili umiarkowaniu tych, co, piętnując waszą obojętność, tak wam nie wymyślali. „Bez ciebie umarłbym, jak świnia!” — zawołał w uniesieniu radosnej wdzięczności wykwintny Chopin do ks. Jełowieckiego, kiedy się przed nim wypowiadał. Samemu sobie wymyślać tak wolno i dla duszy zdrowo...

— Oto mamy cudownego ptaszka w kwestyi piły, jako narzędzia męki za najwyższe ideały religijne. Gońmy za nim dalej! — rzekła wzruszona pani domu.

Gońmy!... Więc prorok Izajasz, wedle tra-

dycei żydowskiej, miał umrzeć od piły w następujących okolicznościach. Uciekał przed swoim prześladowcą, królem judzkim, Manassesem. W chwili krytycznej najwyższego niebezpieczeństwa rozwarł się przed nim pień cedru i dał mu schronienie. Wściekły Manasses kazał cedr rozpiłować. Skoro tylko jednak piła dotknęła ust Izajasza, prorok żyć przestał.

— Wygląda to na legendę — z wyrazem zawodu zauważył nauczyciel.

— Zapewne, nikt też autentyczności tego opowiadania nie broni. W jedwabnym jednakże kokonie legendy można się domyślać ukrytej poczwarki rzeczywistości. Prorok Izajasz mógł być brutalnie przepiłowany, jak apostoł Szymon. Ikonograficzny wyraz przypuszczalnego faktu daje nam miedzioryt bezimiennego artysty włoskiego z XV wieku, przedstawiający Izajasza z księgą w ręce prawej, ogromną piłą w lewej. A teraz na dowód, że go Kościół zalicza do grona świętych, poszukajmy w kalendarzu...

Niebawem kalendarz przyniesiono i również niebawem wyczytałem:

Dnia 6 lipca: Izajasza Proroka i Dominiki Panny Męczenniczki.

— Co?! Izraelita między świętymi katolickimi? — wtrącił nagle pan Artur, gospodarz domu, zjawiwszy się po dłuższej nieobecności.

— Tak, izraelita, i to z czasów przed Chrystusem, który zresztą sam także był izraelitą, potomkiem Abrahama i Dawida... no i Adama także.

Pierwsze slysze! — odparł pan, wykształcony uniwersytecko.

Jeszcze więcej rzeczy dla niego dziwnych

usłyszysz pan za chwilę po raz pierwszy, jeśli zechce posłuchać.

— Proszę... słucham... — rzekł z ugrzecznieniem, w którym odezuć można było i subtelny przekaz i maskowane zawstydzenie.

— Stwierdzam najprzód wogóle fakt, że do Kościoła przez antycypację należą wszyscy święci mężowie i wszystkie święte niewiasty biblijne Starego Zakonu. Że zaś Kościół uważa ich nie tylko za swoich, ale i za świętych, dość otworzyć „Żywoty“ naszego genialnego Skargi, aby się o tem naocznie przekonać. Może są tu przypadkiem skargowskie „Żywoty?“...

— Są po mojej ś. p. matce — odezwiała się pani domu. — Poszukam i przyniosę...

— Świątobliwa i zarazem wysoce wykształcona była to matrona — wtrąciłem. — Piękny typ starej daty! Niestety, pseudopostępowe przesady społeczne zaledwie w rękach starców tolerują arcydzieła literatury religijnej. Smutna tolerancja, warta jeszcze smutniejszego politowania... Ach, co za rozum głęboki, co za ciężyna duchowa, co za piękno potężne złote go, skargowskiego pióra! To Michał Anioł polskiego kaznodziejstwa, *minus* renesansowe, cielesnickie, choć imponujące, susy Buonarottiego. A to stanowi plus naszego polskiego Piotra. Jego „Kazania Sejmowe“ z powyższem zastrzeżeniem, czy to nie polski, pisany „Sąd Ostateczny?“ Zrozumiał to nasz twórca Sobieskiego pod Wiedniem, tej ozdoby galerii watykańskich, a chwały Polski. Komuż z nas nie wyrwała się na kliszy wyobraźni matejkowska postać Skargi, każąca wobec Zygmunta Wazy? Wzrok miota błyskawice, którym towarzyszą grzmiące z ust pioruny:

postawa i gest rąk rzucają klątwę na zło, które nurtuje Rzeczpospolitą, na jej bożyszcze złotej wolności. Terribilità Michała-Anioła! Mojżesz, druzgocący kamienne tablice Dekalogu na widok izraelitów, tańczących około złotego cielca... A jaki on, ten Skarga, z drugiej strony miodowy, jednocześnie jak miód mocny, upajający, gdy portrety świętych maluje! To znów jego Niebo katolickie, iskrzące gwiazdami; to znów jego sklepienie sykstyńskie, które rozpiął nad Polską, aby jej świeciło katolicką prawdą, katolickiem dobrem i katolickiem pięknem... Otóż i „Żywoty“... szczerze pani dziękuję... Warto stokrotnie wydobyć je z lamusa pamiątek i zapoznać się z nimi, choćby z powodu przypadającej w roku bieżącym trzechsetnej rocznicy skonu Jeremiasza Polski. Może nareszcie z tej okazji ojczyzna Piotra Skargi dźwignie mu monument spiżowy, jego i jej godny. Może nareszcie da wyraz plastyczny jego wielkości, aby i dług mu należny spłaciła, i sama sobie uprzytomniła zmysłowo, ku zbudowaniu własnemu a pogromowi nieprzyjaciół Wiary, nieprzemijające znaczenie jego i zasługi. Jak Jagielle: „Ojcom na chwałę, braciom na otuchę“. O, gdyby mądrość Skargi weszła w obieg myśli narodowej polskiej!...

Proszę patrzeć: pod dniem pierwszym marca mamy żywot Adama i Ewy, więc, ściśle biorąc, jeszcze nie żydów, tylko poprostu ludzi, skoro u kolebki rodu ludzkiego nie może być mowy o jakiegokolwiek barwie narodowościowej; lubo z drugiej strony, hebreowie nie bez racji wywodzą się w sposób szczególny od wszechrodziców naszych i erę swoją rachują od stworzenia świata. Są oni potomkami Adama i Ewy w linii głównej, której boczne dopiero odgałę-

zienia tworzyły inne ludy. Tę przytem linię główną stanowią ludzie najlepsi. Jest to łańcuch biblijnych patryarchów. Zauważmy, jaki to fakt pocieszający, że pierwsi ludzie, w których upadł ród ludzki, są zbawieni. Daje to rękojmię proroczą, że podobnie jak oni, także ich wszechpotomstwo, biorąc ogółem, będzie zbawione i uświęcone.

— „Adamie, ty Boży kmięciu,
Ty siedzisz u Boga w wiecu“ —

zadeklamowała z „Bogurodzicy“ pani domu.

— Między świętymi znajdujemy dalej patryarchę Noego, wtórego praojca ludzkości, odrodzonej w nim po potopie. Zauważę przygodnie, że geologia, która dawniej przeczyła tendencyjnie biblijnego potopu, dlatego że biblijny, obecnie zna całą epokę potopów, zwaną dyluwialną. Były to potopy częściowe w stosunku do powierzchni kuli ziemskiej; nie atoli nie stoi na przeszkodzie uznaniu także potopu biblijnego za częściowy, przyczem ród ludzki mógł wyginać, skoro po całej ziemi jeszcze był się nie rozszedł, lecz skupiał się na małej stosunkowo jej części. Wszak i dziś jeszcze są obszary niezaludnione.

— Pamiętacie, chłopcy, odezwał się p. Ludwik — com wam opowiadał o podobnym micie greków? Deukalion i Pyrra, uratowawszy się w skrzyni od potopu, rozmnożyli powtórnie rodzaj ludzki. Oboje rzucali poza siebie kamienie. Z tych, które rzucał Deukalion, powstawali mężczyźni, a z kamieni Pyrry tworzyły się kobiety. Mieli także syna, Hellena, który dał początek hellenom, czyli grekom.

— Tak, w tym *micie* odbiła się *historja* biblijna o potopie. Jest on pięknem jej skażeniem i sta-

nowi na nią dowód, jaki wynika z powagi tradycji ludów. Deukalion — to biblijny Noe. Fantazja narodowa greków kazała mu wylądować na szczycie Parnasu, gdy Noe osiadł z korabiem na górze... której, chłopcy?

— Ararat, w Armenii.

— Doskonale!.. Jak znowu jeden z synów Deukaliona był ojcem hellenów, tak samo jeden z trzech synów Noego, Sem, dał początek semitom, z łona których z biegiem czasu wyszedł lud żydowski. Wybrał go Pan Bóg, dla jego zalet zachowawczo-religijnych, do zachowania wśród potopu bałwochwalstwa wiary w Niego i nadziei Mesyasza, oraz żeby temuż Meszaszowi dał krew ze krwi swojej i kość ze swojej kości. A przodkowie Chrystusa musieli na ogół być święci, panno Jadwigo! I któż, chłopcy, był protoplastą żydów?

— Abraham! — odpowiedziała zakłopotanym chłopcom zgorszona nauczycielka.

— Otóż Abraham, ten Adam żydów, a także synowiec jego Lot, ocalony z dwiema córkami z wulkanicznej (jak utrzymuje historyk starożytny, Strabon) katastrofy sodomo-gomorejskiej, są również między świętymi Skargi.

— Może ksiądz będzie łaskaw z przymile niem zabrała głos p. Jadwiga — wytłumaczyć pewną trudność z życia Abrahama...

Aha, zapewne chodzi o żertwę z Izaaka, ro dzonego syna Abrahama, na domiar okropności, jedynaka, zrodzonego w latach podeszłych.

Tak. Przyznam się, że niepodobna mi się pogodzić z takim okrucieństwem ze strony ojca, zamierzonym w dodatku w imię Boże. Zbywam pytające

o to dzieci zapewnieniem, że taka była wola Boża, lecz wbrew przekonaniu, co dzieci, czując to, odczuwają, może nie bez poważnej szkody dla swojej wiary w przyszłości?

— Niewątpliwie. . . Czytała pani, zdaje się, Straussa „Starą i Nową Wiarę“, gdzie autor z upodobaniem przytacza, o tyle bluźniercze, o ile płaskie i płytkie, słowa Diderota z powodu poświęcenia Syna Bożego przez Boga Ojca na ofiarę ubłagalną za rodzaj ludzki: „Żaden dobry ojciec nie zechce naśladować w tem Boga Ojca“.

— Nie mogę skłamać... Czułam w tych słowach złośliwość, która sprawiła mi przykrość; ale jednocześnie trafiły mi one do przekonania. Wolalbym, aby w innej, szlachetniejszej formie były wypowiedziane.

— Otóż to społeczne rozmiękczenie serc i umysłów, paraliżujące wszelkie porywy bohaterskie! Czyż pani zresztą sądzi, że patriarcha Abraham nie miał serca ojcowskiego i nie cierpiał, gdy Bóg zażądał odeń ofiary z wymodlonego, jedyne go potomka, przez którego, *notabene*, wedle obietnicy Bożej, miał zostać ojcem ludu wybranego, więc także ojcem Mesyasza? Ale jednocześnie był to człowiek głębokiej, żywej, niezłomnej wiary i, jako taki, nietylko gotów był z pełnem zaufaniem położyć się na niezgłębionych nurtach woli Bożej, ale był nadto zdolny do bohaterskich poświęceń ze szczęścia osobistego. W tem właśnie poświęceniu jedynaka kryje się święte bohaterstwo. Święte, bo podjęte dla Boga. Widziałem w katedrze pizańskiej obraz Giovanniego Sodomę, przedstawiający ofiarę Abrahama, w chwili, gdy spadający strzałą z nieba anioł wstrzymuje wzniesio-

na i w nóż ofiarniczy uzbrojoną prawicę ojcowską, mającą spaść na klęczącego pokornie, ze związanemi na grzbiecie rękoma, na drwach ołtarza, młodzieniaszka. Widać, że artysta odczuł i uczcił bohaterstwo ojcowskie. Podobnej treści, choć odmienniej kompozycyi obraz Reytera w petersburskiem muzeum Al. III również świadczy o hołdzie artysty dla ojca ludu wybranego. Artysta prawdziwy, to prawie zawsze człowiek wyższy, który, lubo nie zawsze sam zdolny do poświęceń, jednak potrafi cenić je w ludziach czynu i odtwarzać.

Jeżeli na takie bohaterstwo zdobyć się mógł Zakon Stary, tem więcej oczekiwać go można w Nowym. W rzeczy samej, w pierwszych zwłaszcza wiekach chrześcijaństwa pospolite były wypadki, że, nawet nie ojcowie, lecz matki same oddawały poganom swe dzieci na męczeństwo za wiarę. Pamięć takich bohaterskich ofiar, w których uczucie matek zlewało się w harmonijny akord z uczuciem ich młodzianków, unieśmiertelnił poeta Prudencyusz. Streszczając jego hymny we wstępnej prelekeyi na katedrze lożańskiej, Mickiewicz wzruszył się tak, iż musiał przerwać mowę na chwilę. Przytoczył przytem jeden szczególnie silny wiersz łaciński, opiewający bohaterstwo matki, która własnemi rękoma podała katom swego chłopaczka, skazanego na śmierć dla ukarania chrześcijańskiej rodziny. „Już kat zażądał chłopca śpiewa Prudencyusz. — Matka go oddała, nie opóźniając chwil płaczem: jeden tylko wycisnęła pocałunek. Żegnaj, rzekła, najdroższy, a gdy błogosławiony wejdziesz do królestwa Chrystusa, pomnij o matce, stawsz się już z syna patronem“. Jak o matce siedniu

braci Machabejczyków, tak i o tej trzeba z Pismem powiedzieć: „Nad miarę matka przedziwna!“

A nasze dzieje polskie nie wysławiająż znanych, podobnych do Abrahamowego, bohaterstw Kacpra Karlińskiego w Olsztynie, oraz dzielnych głogowian?... Lecz mamy w ręku Skargę. Poszukajmy i zobaczmy, co kaznodzieja narodu polskiego mówi o naszym dramacie biblijnym... Oto jest! Może pani będzie łaskawa głośno przeczytać ten ustęp?

Panna Jadwiga z uczuciem i powagą czytała:

— „Gdy już dorósł Izaak, a był kraśnym młodzieńcem, skusił („doświadczył“ — wtrąciłem) Pan Bóg Abrahama i rzekł: Abrahamie, Abrahamie! A on rzecze: Owom ja, sługa Twój; a Pan Bóg: Weźmij, powiada, syna swego jednorodzzonego, którego miłujesz, Izaaka, a idź z nim do ziemi widzenia i tam mi go zabijesz na ofiarę, na jednej górze, którąć ukażę. Co za myśli padły na Abrahama i jaka pokusa? Nie miał nic, po Bogu, w czemby się kochał, jako w synie onym, którego miał z obietnicy w takiej starości i tak go długo czekał i z którego się rozmnożenia potomstwa wedle Boskiego słowa spodziewał; wszakże nie mówił tak: Okrutna rzecz, aby ojciec miał zabić syna swego; cóż to za Pan Bóg tak odmienny, to, co raz z taką trudnością i cudem dał, tak łatwo zgubić każe? Jakaż to łaska Jego ku mnie, którą mi tak obiecuje? jako na tę tak miłą mi krew swoją okrutnym być mam? lepiej mi go było nigdy nie dawać, niżli mię taką i tak okrutną z rąk moich śmiercią zasmucać. Nic takiego nie szemrząc, na wysokie się a niesłychane posłuszeństwo i zaprzeczenie woli swej i umartwienie miłości swej i żądzy ku dziećciu wyniósł... Pomyśl sobie, co za pokusy użył,

a wszakże się jej zwyciężyć nie dał i mówił sam do siebie: Słuchać trzeba Boga swego, Abrahamie; On Pan i Bóg, tyś sługa i proch pod nogą Jego; On ci dał syna tego, On go niech obróci, jako chce; może On tobie innego dać, albo też wskrzesić: a jako ja, ziemia i popiół Jego, sprzeciwiać się woli Jego Boskiej mam? ...“

— Dziękujemy!... dziękujemy!... — rozległy się głosy.

Dotąd uwielbiałam Skargę za jego złotą polszczyznę i za jego smutne proroctwa, które stawiają go narówni z prorokami biblijnymi — zauważyła czytelniczka. Obecnie poznaję w nim jeszcze przenikliwego duszoznawcę. Jak on potrafił po ludzku przedstawić rzecz nadludzką! To bardzo psychologiczne.

— Głęboko! To psychologia sług Bożych, psychologia świętych, nie wyłączająca szlachetnych uczuć ludzkich. A teraz korona bohaterskiego posłuszeństwa Abrahama. Żądanie Boże ofiary z jednorodzłego Izaaka było próbą, mającą wykazać w obliczu ludzkości, że Abraham godzien był wyboru na ojca ludu wybranego. Z drugiej strony, chodziło o pokazanie w Izaaku żywej figury Jednorodzłego Syna Bożego. Że jednak Bóg brzydzi się żertwami ludzkiemi, tak pospolitemi u bałwochwalców, tedy nie dopuścił do zabicia Izaaka. Za sam czyn starczyła Bogu gotowość do czynu. Na miejsce też Izaaka zjawił się baran, uwikłany rogami w krzak cierniu, symbol Baranka Bożego w koronie cierniowej na ołtarzu krzyża. Wedle podania, na tej samej górze, na której Abraham chciał ofiarować syna, Matka Boska, po upływie wieków, ofiarowała Dziecię Jezus. Była to

góra Moriah, ³⁾ na której właśnie stała świątynia Salomonowa. Oto cudowne, wielkie piękno tam, gdzie panna Jadwiga upatrywała same okropności...

A co do postawienia Skargi narówni z prorokami biblijnymi, to, wbrew zapewne oczekiwaniu panny Jadwigi, protestuję! Proroctwa, a raczej wieszczby jego były jeno odbiciem proroctw biblijnych. Nasz Złotousty nie miał natchnienia nadprzyrodzonego i sam go sobie nie przyznawał, do czego jednak byłby obowiązany w obliczu Kościoła i narodu, gdyby natchnienie takie posiadał.

Mea culpa! sumitowała się winowajczyni z odpowiednim gestem. Zresztą, nie taka znowu wielka, boi przecież okazała dobrą wolę, prosząc o wyjaśnienie wątpliwości.

A czy była dobra wola, gdy się trulo dusze Straussami, pewno także Draperami i swojskimi draperzatkami, a nie szukało się antidotu w literaturze katolickiej?

To tak trudno dobrać się do tej literatury! Latwiej skorzystać ze sposobności, żeby z żywego źródła poczerpnąć, czego potrzeba.

A tymczasem, zanim sposobność się nadarzy, podlegać swobodnemu działaniu trucizny: tak? A dostęp do żadnej literatury nie jest trudny dla tych, co się nią interesują. Ale kto się nią nie zajmuje, choć wie, że ona istnieje, temu wydaje się, jakoby się ona kryła w jakimś Sezamie zaklętym, wśród pełnego strachów lasu, za dziesiątą górą, za dziesiątem morzem. Nie podnosząc palca wskazującego, myślę nawet, że np. „Sfinksy“, „Symposiony“ i „Muzejony“ mniej są dostępne, aniżeli wydawnictwa religijne. Chcąc się bez nich obywać,

a mimo tego w katolicyzmie uświadamiać, trzeba by chyba mieć przy sobie katolickiego guwernera, lub może tylko katoliczką bonę...

— Ksiądz jest złośliwy!

— Jeżeli złośliwością jest prawdomówność...

Lećz dajmy pokój bezpłodnym utareczkom. Idźmy dalej w kierunku rozwoju naszego przedmiotu. Abraham rozpoczyna szereg patryarchów Starego Zakonu w znaczeniu ściślejszem, t. j. izraelskich. Izaak, jego syn, jak wiadomo, miał z kolei dwóch synów: Ezawę i Jakóba. Z tych Jakób, lubo młodszy (o ile z dwojga bliźniąt może być jedno młodsze, drugie starsze), był następcą po swoim ojcu, gdy starszy dał początek nowemu ludowi idumejczyków.

— Pozwoli ksiądz, że znów mu przerwę?

— Ba! wiem, o co chodzi. Sto razy spotykałem się z zarzutem niemoralnego jakoby postąpienia Jakóba i matki jego, Rebeki, z Ezawem, w sprawie pierworodztwa. Czasami nawet po kilkakroć ze strony jednych i tych samych osób, zapominających zbyt łatwo raz otrzymanego wyjaśnienia i wracających z ociężałym i upartym konserwatyzmem do pierwotnego, błędnego poglądu... Jakże pani radziła sobie z tą trudnością wobec dzieci?

— Mówiłam im... mówiłam, że taka była wola Boża.

A! zatem w oceanie świętości Boga topiła pani niemoralność ludzką. Niech się już sam Pan Bóg broni od tego rodzaju nabytków, byle ludzie zostali oczyszczeni. Tą drogą jednak moglibyśmy konsekwentnie dojść do upodobnienia Boga ludziom, do przypisania Mu wszelkich ludzkich zdrożności, jak to ze swoimi bogami uczynili poganie; zamiast

żeby ludzie, jako stworzeni na obraz i podobieństwo Boże, rozwijali je w sobie i coraz doskonalej upodabniali się Bogu. Prostem następstwem tej wstecznej metody byłoby usprawiedliwienie zasadnicze ludzkich występków, albowiem sam Pan Bóg pragnąłby ich i byłby je tolerował, owszem, uświęcał. Nie tedy droga, szanowna panno Jadwigo!

— Więc którejdy? Bądź co bądź, Jakób nie może być wymówiony od podstępu i kłamstwa wobec oślepego ojca, nie mówiąc już o Ezawie, który sam sobie zawinił, gdy dobrowolnie sprzedał bratu swoje pierworodztwo za misę soczewicy.

— I mocno zawinił! Pomyśleć tylko, że, dla rychlejszego tylko zaspokojenia głodu, oddał za przysłowiową już u wszystkich narodów misę kaszy pierworodztwo, ze wszystkimi ogromnymi jego prawami i przywilejami, między którymi ten największy, że pierworodztwo w tym wypadku oznaczało godność przodka Chrystusowego. Już przez to samo okazał się niegodnym tego zaszczytu. Miał więc prawo Jakób otrzymać ostatnie błogosławieństwo ojcowskie. Wobec tego jednak, że ślepy Izaak miłował raczej Ezawę, gdy Rebeka — Jakóba, przedstawiała się alternatywa: wojna domowa w rodzinie i zakłócenie spokoju chorego ojca, albo fortel. Z dwojga złego, oczywiście, mniejsze było to drugie. Ono też wybrała roztropna Rebeka. Nie myślę, jak pani widzi, uciekać się do sofizmów, żeby usprawiedliwić bezwzględnie Jakóba, a raczej matkę jego, która, świadoma wyższej wartości moralnej oraz powołania syna młodszego, wzięła na siebie odpowiedzialność wobec Boga za podstęp względem Izaaka. Niemniej, zważywszy okoliczności, nie sposób poczytywać jej owego podstępu

za winę ciężką, zwłaszcza, gdy nadto przyłożymy doń miarę etyczną taką, jaką stosować należy do ludzi z czasów przedchrześcijańskich. Dodajmy, że w całym tem zająsci u widać wyraźnie kierującą rękę Opatrzności, która umie z ludzkich błędów i ułomności wyciągać dobro. Działanie Jej w tem zdarzeniu uznał sam oszukany Izaak. Ostatecznie, gdy za powrotem Ezawa z łowów poznał swoją omyłkę, nie tylko danego Jakóbowi błogosławieństwa nie cofnął, ale je, owszem, potwierdził. Nie bądźmy przesadnymi tendencyjnie idealistami, jak to dziś w modzie, mianowicie kiedy chodzi o religię, żeby ją tem łatwiej potępić, lub choćby tylko zganić, im większe stawiamy jej wymagania. Nawet świętym zdarza się popełnić tę lub ową winę, co jednak świętości ich nie uchybia, skoro za błędy swoje pokutują. Schlebja to nawet naszemu poczuciu naszych własnych ułomności, ukazuje nam w świętych ludzi, do nas podobnych, nieci w nas otuchę do naśladowania ich w dobrem... Dodać należy, że pierworodny Ezaw jest figurą Synagogi, młodszy zaś Jakób, który posiadał jęgo prawa, jest figurą Kościoła.

— Kapituluję z zadowoleniem! — oświadczyła p. Jadwiga ze szczera w oczach wdzięcznością. — Mam wrażenie, podobne do tego, jak kiedy wnoszą lampę do ciemnego pokoju, gdy się w nim czegoś szukało. **Grazia!**

— Roztropna w porę kapitulacya bywa wygrana i w polityce wtrącił p. Artur, chwytając się słowa „kapitulacya“, jak deski ratunku, żeby zmienić kierunek dyskursu. — Pozna to niebawem ambitna, lecz słaba Turcyja na własnej skórze, gdy dostanie od Włoch bastonadę. Lepiejby była zrobiła, gdyby przy-

jęła ofiarowane jej przez Włochy odszkodowanie pieniężne i zrezygnowała bez walki z nominalnego posiadania Trypolitanii.

Tureyi niewątpliwie oddawna już należą się baty i przepędzenie z powrotem po Azji. Mniemam jednak, że zjednoczonej kosztem papieskiego Rzymu i tryumfującej brutalnie nad Papiestwem Italii należy się także basarunek. Może pomówimy jeszcze o tem nieco później; obiecałem to był nawet p. Jądwidze, która już na początku rozmowy o sprawę tę potrafiła. Tymczasem pozwoli pan, że skończymy pierwej ze sprawą stosunku Zakonu Starego do Nowego?

- Nie mam nic przeciw temu... niech ksiądz prowadzi *lekcję* swoją dalej...

Niech ksiądz będzie łaskaw, bardzo prosimy! tuszowała pani domu grzeczny grymas męża. Bardzo mię to wszystko, co ksiądz mówi, zajmuje. Szczerze jestem zadowolona.

I my! i my! -- wtórowali matce Zbyszko i Bolko.

Ależ ja, moje kochane smyki, zupełnie o was zapomniałem i od jakiegoś czasu zacząłem mówić językiem, może nie zawsze dla was zrozumiałym?

Ja im potem wytłumaczę, czego mogli nie zrozumieć wyreczył chłopców młody profesor.

Pięknie; zatem ciągnijmy *lekcję* dalej. Żeby jednak rychlej dobiedz do mety wniosków, a naszego szanownego, zakopanego w roli beotyjczyka, p. Artura, mniej znudzić, załatwię się z resztą faktów świętości w Starym Testamencie sumarycznie.

- Co to jest „beotyjczyk”? -- wyrwał się, jak enfant terrible, Bolko.

— Mieszkaniec Beocyi... W jakim zaś znaczeniu Beocya weszła u dawnych greków w przyszłość, możecie się dowiedzieć z historyi starożytnej, albo, krótszą drogą, z jakiej encyklopedyi, najlepiej z nieocenionego Laroussa ⁴⁾. Dodam, że wywołałem tu marę dawnego mieszkańca Beocyi w znaczeniu ściślejszem, ograniczonem do religii. Bo gdy chodzi o rzeczy świeckie, nasi beotyjecy religijni bywają ateńczykami. Nie robiąc zaś już do nikogo z obecnych przytyku, powiem jeszcze, że ludzie złej woli w stosunku do religii przypominają mi ludzi pierwotnych, o dzikich oczach, dziko roztarganym zaroście, z maczugą w rękę, ubranych jednak we fraki i sztuczkowe kamizelki, jakkolwiek pasowałaby im lepiej zwierzęca niewyprawna skóra na biodrach, ze spinaczami z przewierconych odłamów kości. Tak wyobrazićby sobie można przedewszystkiem trójlistek Ernestów, jak: Nathan, obecna głowa masońskiego, t. j. Trzeciego Rzymu; Haeckel, ex-profesor jenajski, fabrykant embryonów i wogóle Puryszkiewicz nauki; no i delikatniś Renan, wykwiniony bluźnierca. Nie darmo sam Śniadecki nazwał uczonych niedowiarków „uczonymi barbarzyńcami“.

Lecz wróćmy na trakt zajmującego nas zagadnienia. Patryarcha Jakób, wiadomo, wskutek głodnego roku, przeniósł się do Egiptu, gdzie przygotował mu miejsce i przyjęcie syn jego, Józef, egipski dostojnik, którego życie, najzupełniej autentyczne, wygląda jakby wyjęte z cudownej bajki. Pod jasnym niebem krainy nadniłowej, na łonie wysokiej kultury faraonów, wśród sflinksów i piramid, rodzi się i wykształca lud wybrany. Opatrznościowe prześladowanie mnożącego się, wedle obietnicy Bożej,

jak piasek morski, Izraela, zmusza go niebawem do masowej emigracyi do klasycznej Ziemi Obiecanej. Jak Romulusa i Remusa wydał Tyber, tak płodny Nil, za interwencją faraonówny, wydaje Mojżesza: organizatora, wodza i prawodawcę plemienia Abrahamów, Izaaków i Jakóbów, które w jego właśnie potężnej dłoni, wśród piasków i skał pustyni, urabia się w naród. On to rozpoczyna majestatyczny korowód mężów świętych, ściśle już starozakonnych: arcykapłanów, sędziów, proroków i królów. Aaron, Jozue, Barak, Gedeon, Jefte, Samson (hebrajski Herkules), Dawid, Salomon, Jozafat, Jozyasz, Eliasz, Elizeusz, Ezdras, Jonasz, Daniel, Habakuk, Izajasz, Jeremiasz, Hiob (Prometeusz Biblii), Tobiasz, siedmiu braci Machabejczyków razem z matką, których męczeństwo za prześladowania Antyocha tak bardzo przypomina Felicytę rzymiankę z siedmiu również synami, aż do Joachima i Anny, rodziców Matki Boskiej, Józefa, Elżbiety i Jana Chrzciciela, którzy już wkraczają w granice Zakonu Nowego.

— Mamo! — wykrzyknął Tadzio — ja widziałem u Sporezyków obraz, jak św. Eliasz jedzie na wozie ognistym do nieba!

— Tak, w chałupach wiszą na ścianach obrazkowe dowody na tezę, podaną tu w wątpliwość... A powiedz mi, Tadzio, kto to żywił Eliasa podczas klęski suszy i następnie głodu, jaka wówczas dotknęła żydów za karę?

— Kruk! — odpowiedziała p. Jadwiga, widząc minę Tadzia w kłopotliwym znaku zapytania.

— Kruk, kruk! — powtórzył rezolutnie Tadzio, pozorując samodzielność, jak aktor za podszeptem suflera.

Dobrze. A który to święty w Nowym Zakonie jest pod tym względem podobny do Eliasza?

Św. Paweł pustelnik—podpowiedziała z kolei pani domu, patrząc z uśmiechem na Tadzia. To wchodzi poniekąd do historyi polskiej — ciągnęła dalej, zwróciwszy się do starszych, -- i wystarczy być w Częstochowie, żeby się o tem dowiedzieć. Ojcowie Paulini wzięli imię od tego świętego Pawła. Kruk, niosący w dziobie bułkę chleba św. Pawłowi, stanowi herb Jasnej Góry. Zdobi on szczyt wieży jasno-górskiej, nawet fajansy czy porcelany klasztorne.

-- Podobno przejęto korespondencyę Macocha ze Starczewskim, z której okazało się, co przypuszczano od początku, że to oni okradli Obraz cudowny — korzystał z okazji p. Artur, uśmiechając się psotliwie pod wąsem.

— Jest pan mistrzem w trafianiu w locie dzikich ptaków okazji, żeby zvekslować dyskusyę na tory aktualności bieżących. Wybaczy pan atoli, kiedy zwrócę uwagę, że aktualnością naszą jest obecnie Stary Zakon, skąd przemawiają do nas prawieki, bardzo nawet aktualnie...

— Właśnie też Macoch i spółka postąpili sobie bardzo starozakonnie!

Przeciwnie, bardzo nowocześnie, według zakonu, który odarł człowieka, obraz Boży, z szaty i klejnotów godności chrześcijańskiej, zawartej zarodkowo w Zakonie Starym.

Zawsze to ciekawa osobistość, ten Macoch...

— Jak i Roniker. Jeden wart drugiego. Tematy dobre dla nowej holmsyady lub pinkertoniady. Co tu ciekawe, a ciekawe groźnie, to strona tych spraw społeczna. Są to symptomy choroby spo-

łecznej, będącej z kolei wynikiem potargania dobroczynnych więzów nie tylko Nowego, ale i Starego Zakonu... Widzi pan, że jeśli jest przejście od Starego Zakonu do Macocha, to jest i odwrotne...

— Wymienił ksiądz samych wielkich mężów Starego Testamentu: czy podobnych niewiast nie było? upomniła się p. Jadwiga, zwolenniczka równouprawnienia kobiet.

Były niewątpliwie! Oto prorokini Debora, biblijna Joanna d'Arc, dusza zwycięstw Baraka; oto bohaterska Jahela, przybijająca gwoździem skwoź skroń do ziemi głowę tyrana Syzarry; oto Judyta, ucinająca głowę Holofernesowi; oto skromna Zuzanna, obroniona genialnie od śmierci cudzołóżnie (ukamienowanie) przez Daniela; oto Seila, córka Jeftego, biblijna Ifigenia, nieroztropnie ofiarowana Bogu przez upojonego zwycięstwem ojca; oto sielankowa Ruta, przysposobiona drogą małżeńską narodowi Izraelskiemu poganica, prababka Dawida; oto podobnie z pośród pogan asymilowana, nierządnica w pogaństwie, Raaba, która ułatwiła Jozuemu wzięcie Jerycha; oto jeszcze Estera, tak przypominająca z dziejów polskich kazimierzowską Esterkę, tylko bez jej niecnoty. I t. d., i t. d. Zadowolona pani?

Niebardzo! Mniejsza o starozakonne Magdaleny, skoro się nawróciły. Ale te krwawe bohaterki, chwalone przez Biblię właśnie za krwawe bohaterstwo, wcale mi się nie podobają. Już sam zmysł chrześcijański każe je raczej potępić, zwłaszcza, że z okrutnem morderstwem, wprowadzie patryotycznym, łączył się podstęp.

A potępia pani nasze Zofie Chrzanowskie z Trembowli, nasze Kossakowskie, Tomaszewskie,

Krukowieckie, Platerówny, Raszanowiczówny, Pustowojtoffówny, Piotrowiczowe, Sierakowskie i t. p.?

- To co innego! Tu była walka otwarta, nie było wallenrodzmu...

- Zgoda! Ale też tamte bohaterki działały w Zakonie Starym, te zaś w Nowym. Już raz na to zwróciłem uwagę z okazji Rebeki i Jakóba: zdawałoby się, że to powinno być wystarczyc do stosowania właściwej miary do wszystkich poszczególnych wypadków. Dziękuję jednak pani, że dała mi sposobność przytoczenia Skargi. W przedmowie do swoich „Żywotów“ przyrównywa on świętych Zakonu Starego do świętych Nowego i taką na korzyść tych drugich czyni uwagę: „Hojniejszą ma łaskę rodzaj Chrystusowy, więksi z Jego zakonu święci, płodniejsza jest w świętych Oblubienica Jego (to znaczy: Kościół), niżli Synagoga... Zakon Stary nie do doskonałości, mówi Apostoł (św. Paweł), nie przywodził: tam niedołeżne dzieci, a tu mężowie, prawie do dzieła się rodzą“.

- A sam Chrystus pochwalił niesprawiedliwego włodarza - zawołał nagle ożywiony p. Artur. Ładniebym wyszedł na gospodarstwie, gdybym miał i tolerował takiego „chrześcijańskiego“ włodarza!

Szanowny nasz agronom istotnie „ładnie“ wychodzi ze swoim komentarzem na dotyczący tekst Ewangelii. Chrystus Pan w przypowieści o niesprawiedliwym włodarzu pochwalił nie jego niesprawiedliwość, lecz roztropność, z jaką sobie poradził, zagrożony nędzą wskutek wydalenia ze służby. „I pochwalił pan (przypowieściowy) włodarza niesprawiedliwości, iż roztropnie uczynił“. Że szło nie o sprawiedliwość, lecz roztropność, wskazuje także sens mo-

ralny, który Mistrz wyciągnął ze swojej przypowieści: „synowie tego świata roztropniejsi są w rodzaju swoim nad syny światłości“. Chwaląc roztropność jednego z ludzi tego świata, których zasadą postępowania jest niesprawiedliwość, Nauczyciel dał ją za wzór synom światłości, to jest tym, co żyją wedle zasad Bożych. Znał bowiem ich bierność, indolencję, ślamazarną poczciwość, bezkościłą dobroć i miękkość, ospałą nieruchliwość, bojaźliwą uступliwość i tym podobne cechy safandulstwa, dzięki którym, choć są nawet w większości, przegrywają wojny socyalne i polityczne i pozwalają nakładać sobie jarzmo ze strony nikłej często mniejszości tego świata. Podobnie, jak Chrystus, my sami podajemy sobie za wzór np. solidarność żydowską, jakkolwiek to jest solidarność ku złemu. Każdy z nas rozumie, iż należy tu abstrahować solidarność od złości i przyjmować tylko tę pierwszą. Szanowny nasz agronom lęka się niesprawiedliwego włodarza; ja zaś myślę, że swoim zarzutem sam okazał się mu podobnym, i to bynajmniej nie w roztropności, lecz w niesprawiedliwości. Bo, jak można było choćby na chwilę przypuścić, że Chrystus pochwalił jakąbądź niesprawiedliwość? Gdy zaszła trudność w rozumieniu Jego nauki, czy nie należało z góry przypuścić raczej niedostatecznego przygotowania własnego do jej rozumienia? Inaczej, stawialibyśmy sami siebie ponad Chrystusa.

— Vicisti, Galilae! Ja zaś przegrałem, jak młodoturek z Trzecim Rzymem. Bo że bisurmanin przegra, to pewne, jak dwa a dwa — cztery!...

— Znowu nawraca pan ku wojnie turecko-włoskiej, tym razem z roztropnością niesprawiedliwego włodarza. Daremne jednak zabiegi roztropności w kie-

runku niesprawiedliwym. Sprawiedliwość każe skończyć pierwej z tem, co pierwej zaczęte.

Zbroję się w cierpliwość i słucham.

Byle tylko nie w puklerz, od któregooby się słowa moje odbijały, jak przysłowiony groch o ścianę.

— Zbroję się w hełm, któryby ścisnął moją głowę i zabezpieczył ją od roztargnień.

— Jestem panu obowiązany... Po stwierdzeniu tedy faktów, przechodzimy do syntetycznego sformułowania stosunku do siebie dwu Zakonów: Starego i Nowego. Mówiąc obrazowo, jest to stosunek poczwarki do motyla. Św. Augustyn wyraził to lapidarnie w słowach: „*Novum Testamentum in Vetere latet, Vetus in Novo patet*“, co się wykłada: „Testament Nowy w Starym się ukrywa, Stary się w Nowym odkrywa“. Zakon Stary zrodził Chrystusa, zapowiedzianego już u zamykających się za pierwszymi ludźmi wrót raju. Przekazywał z pokolenia na pokolenie nadzieję Jego przyjścia; we własnych dziejach, postaciach i kulcie religijnym prorokował figurycznie przyszłe dzieje, postać i kult Jego; malował je w proroczych widzeniach: a wciąż wyraziściej, im bliżej było spełnienia się Boskiej obietnicy. Ta nadzieja była treścią religii żydowskiej, była jej słońcem. Naród żydowski nią żył, jak my obecnie żyjemy z jej realizacyi. Aż dojrzał tak, iż wydał Tę, która była godna być Matką Odkupiciela: Matką-Dziewicą, w której duszy rozmodlonej, jak w soczewce, zogniskowało się, palące promieniami tęsknot i świecące promieniami nadziei, słońce Oczekiwania. W świetle tego słońca, zaiste, cudownie piękne i podniosłe są dzieje żydowskie. Lecz ono musiało zająć i zaszło, aby ustąpić miejsca wiekuistemu, świetniejszemu i gorętsze-

mu, którem jest Chrystus. Albo, jeśli wziąć pod uwagę jedność Przedmiotu oczekiwania i urzeczywistnienia: słońce, świecące na niebie Judei, jak słońce astronomiczne w okresie średniowiecznym (mezozoicznym) ziemi, spowitej we mgły nieprzeniknione, rozdarło opony mgieł i świat cały blaskami swoimi zalało. Niestety, oślepiło ono żydów z winy ich własnej, iż oczy swego ducha, swej wiary, zwężili i osłabili nacjonalizmem, namiętnościami politycznymi, bezduszną formalistyką, zwyrodnieniem religijnem. Lud wybrany, ten jedynak Jehowy wśród narodów, stał się ludem odrzuconym, żyjącym złudą oczekiwania Mesyasza nowego i nienawiścią Tego, który już był przyszedł. Odwieczne wady jego uległy spotęgowaniu, dawne cnoty — zanikowi; owszem, to, co dawniej było cnotą, wskutek zwrócenia jej przeciwko Chrystusowi, stało się nieustającym występkiem i zbrodnią. Albowiem nienawiść fałszu jest dobra, nienawiść prawdy jest zła. Hołdując tradycyi bogobójczej, żyd wieczny tułacz, dąży do zabicia Chrystusa mistycznego, żyjącego w Kościele, oraz wydania Antychrysta, którego ogłosi Mesyaszem. Między żydami przed Chrystusem a żydami po Chrystusie różnica taka sama, jak między księgami Starego Testamentu a talmudem. I w tym bodaj obecnym charakterze żydów upatrywaćby należało powód uczucia wyrażonego tu przez p. Artura i p. Jadwigę zdziwienia i nawet zgorszenia, gdym przyznał świętość wybranym postaciom Starego Zakonu.

— Były także powody intelektualne. Sądziłszy, że do uznania świętości trzeba kanonizacyi, a nie słyszeliśmy o jej zastosowaniu do wielkich ludzi Starego Zakonu tłumaczyła się p. Jadwiga.

- Nie potrzeba było kanonizacyi kościelnej na gruncie Objawienia. Ono samo starczyło za nią nadobficie. Dlatego nie byli kanonizowani także biblijni święci Nowego Zakonu, z Królową wszystkich świętych, Matką Boską, u szczytu. Kanonizacya formalna i uroczysta, obowiązująca dzisiaj, rozwinęła się, zresztą, dopiero z biegiem czasu... Dziś, np., prócz cnót w stopniu bohaterskim, Kościół wymaga cudów od kandydatów, tak do beatyfikacyi, jak i kanonizacyi, czego dawniej ściśle nie przestrzegano. Nie mówiąc już o Matce Boskiej, ani o Janie Chrzcicielu, o których nie wiemy, żeby jakie cuda za życia spełnili, nie pozostawili po sobie pamięci cudów tacy nawet święci kościelni (w odróżnieniu od biblijnych), jak Augustyn i Jan Złotousty.

- To czemu - zapytał p. Ludwik - katolicy nie używają imion starobiblijnych, z wyjątkiem chyba Adama i Ewy?

I tych, które się w Nowym Zakonie powtórzyły jak: Józef, Jan, Jakób, Joachim, Szymon, Elżbieta (zdrobniale staropolskie Halszka), Anna (po staropolsku Hanna), Marya (staropolskie, dotąd ludowe Maryanna) i t. d. Otóż raz dlatego, żeby się i na punkcie imion nie mieszać z żydami; powtóre, że, ponieważ z imieniem łączy się patronat niebieski, lepiej jest nosić imiona świętych, których wydał Kościół. W pierwszych wiekach jednakże zdarzały się imiona starotestamentowe, nawet wśród świętych. Jest np. św. Abraham, pustelnik z wieku IV; jest św. Dawid, najprzód zakonnik, potem arcybiskup brytański z VI wieku. Zapamiętałem tego drugiego z powodu pięknej o nim legendy, że kiedy na synodzie przeciwko herezyi pelagiańskiej przemówił do

tłumów pod otwartem niebem, miejsce, na którem stał, podniosło się w pagórek, aby mógł być lepiej widziany i słyszany. To kazanie wielu zbłąkanych nawróciło. Obecnie, tylko wśród protestantów imiona starozakonne są w użyciu. Tłumaczy się to po części niechęcią do Kościoła, więc i jego świętych, których wogóle protestantyzm, jako bankrut moralny, roztropnie nie uznaje; po części zaś rozpowszechnieniem wśród nich czytania Biblii.

— A dlaczego u nas Kościół czytać Pisma Św. zabrania? — zapytał p. Artur.

— Pan zapewne mocno tego żałuje, bo pragnąłby Pismo Św. czytać?... Zresztą, nie zabrania bezwzględnie. Żąda tylko, żeby brano do ręki Pismo z komentarzem, przezeń aprobowanym. Specjalnie do czytania Ewangelii zachęca nawet mocno. Tylko Staremu Testamentowi stawiał dawniej pewne utrudnienia, a dziś nie każdemu czytać go zaleca. Dlaczego? Tłumaczy to Skarga: „Pismo Św. ma kości, którymi prosty udawić, a hardy zabić się może; ma głębokość, w której pyszny może się utopić: jako to na dzisiejszych heretykach (protestantach) widzimy, że z Biblii źle zrozumianej wszystkie swe błędy i bluźnierstwa brać chcą“. Pisarze angielscy przypisują czytaniu Biblii wojny domowe i zabójstwo Karola I. Dodajmy, że niektóre, mianowicie historyczne, księgi Starego Zakonu zawierają patryarchalnie proste opisy scen drażliwych, z których liczni amatorowie dziejów grzechu mogliby czerpać zgorszenie. Wiadomo, iż egzemplarze Biblii w rękach sekciarzy nieważą zatłuszczone przedewszystkiem owe karty drastyczne. „Nieczystym wszystko nieczyste“ — powiedział św. Paweł. Oni nawet najczystsze postacie

biblijne potrafią „artystycznie“ splugawić, jak świeżo u nas p. Choromański uczciwą Zuzannę; jak obiecujący z początku idealista Daniłowski, który z pokutnicy, Maryi Magdaleny, uczynił kusicielkę, co zresztą potrafili już malarze renesansu; jak Oskar Wilde i Kasprowicz, którzy kazali lubieżnej Salome owionąć lubieżnem tchnieniem surową postać „Marszałka Pańskiego“, jak nasz Wujek nazwał Jana Chrzciciela... Podziwiać więc tylko możemy pedagogiczną roztropność Kościoła.

Podsumowuję wywód, którego przypadkowym punktem wyjścia stała się piła i który kogoś z obecnych tu podobno „spiłował“...

— „Nożyce“ wolą się nie odzywać na to uderzenie w „stół“ — z miną żartobliwej niewinności odezwał się pan Artur.

— Wymowne milczenie... Kto milczy, gdy w interesie jego leży głośny protest, ten przyzwala... Zatem podsumowuję. Chrystyanizm, chrystyanizm katolicki, jest stary, jak świat, świat ludzki. Począł się w raju, razem z sądem Bożym na upadłego człowieka: sądem miłosiernym, który zawierał obietnicę zesłania Zbawiciela. W Starym Testamencie przechodził chrystyanizm swój proces embryologiczny, aż przyszedł na świat w Osobie Chrystusa, żeby następnie rozwinać się w Kościele i przez Kościół. Cóż tedy dziwnego, że ten Kościół adoptował świętych Starego Zakonu? Uczynił on to z upoważnienia samego Chrystusa, który po śmierci krzyżowej „zstał do piekieł“, kędy Jego przyjścia, swego zaś wyzwolenia, oczekiwali wszyscy sprawiedliwi, zmarli od początku świata aż do spełnienia przezeń ofiary od-

kupiennej na ołtarzu krzyża. Byli oni poniekąd chrześcijanami przez antycypację...

— Ależ, wedle przedstawienia księdza, — zawołała zdumiona p. Jadwiga — mamy tu do czynienia z ideą ewolucyi, którą Kościół zwalcza, jako bezbożną?!

— Nieinaczej, mamy do czynienia z ewolucją. Dobrze to pani jednym wyrazem ujęła. Jest to jednak ewolucya, od początku do końca, w całym swoim przebiegu, *nadprzyrodzona*, więc raczej niemiła zwolennikom bezwzględnej ewolucyi w przyrodzie: — nie takiej tylko „wstydlivej do pasa“, jak wyrażają się oni złośliwie przeciwko uczonym katolickim, którzy ją przyjmują również, lecz doprowadzają hypotetycznie co najwyżej do ciała ludzkiego, gdy dla duszy ludzkiej wymagają osobnej interwencji Bożej. Już dawniej katolicki ewolucjonista, anglik Mivart, a dziś jezuita niemiecki, o. Wasmann, zgodzili się na przypuszczenie zwierzęcego pochodzenia ciała ludzkiego. W szczególności Mivart posunął się aż do wyobrażenia sobie pierwszej pary ludzi w postaci grubej, na pół zwierzęcej, ujawniającej wyraźne pochodzenie małpie. Ale to tylko hipoteza, gdyż nauki doświadczalne bynajmniej nie dostarczyły jeszcze dość poważnego materiału dowodowego na zwierzęce pochodzenie człowieka, względnie jego ciała. Braknie dotąd, i to coraz beznadziejniej, ogniwa pośredniego między „paszkwilem na człowieka“, t. j. małpą, a człowiekiem: ogniwa, któremu, choć go niema, dano już nazwę *praczłowieka*. Dziwna to rzecz, iż gdy paleontologia odnajduje nieledwie masami i odbudowywa mamuty, ichtyozaury, plesiozaury, brontozaury, laelapsy, iguanodony i t. p., nie odgrzebała ona

do tej pory poszukiwanego tak zapamiętałe antropitekosa: choć tenże, jako bezpośredni przodek transformistyczny człowieka, powinienby znaleźć się rychelej, aniżeli szkielety owych zwierząt „przedwiecznych“. Uderza to tem silniej, że jednak małpa ma swego przodka w gatunku małpóźwiera.

— Jest zato inny dowód — wtrącił nauczyciel — w słynnem prawie biogenetycznem Haeckla, które stanowi jego chwałę i które on sam sformułował w słowach: „filogenia jest rekapitulacją ontogenii“.

— Tak, i które on sam również poparł sfałszowanymi rycinami embryonów i szkieletów, do czego nawet, przyparty do muru przez Paulsenów i Brassów, przyznał się, tłumacząc swoje fałszerstwa koniecznością odtworzenia całego łańcucha ewolucyi. Niebezpiecznie jest powoływać się na Haeckla, nawet z punktu widzenia czystej nauki, w stosunku do której jest on wstecznikiem i z tego choćby względu, że głosi ewolucyonizm w postaci jego darwinistycznej, która dawno zbankrutowała. Paulsen wyznał, iż jego „*Natürliche Schöpfungsgeschichte*“ czytał „z uczuciem palącego wstydu“. Nie Haeckel zresztą, lecz Müller ogłosił pierwszy rzekome „prawo“ życiotwórcze, jakoby rozwój płodu powtarzał w skrócie proces przemiany gatunków.

— Cóż przeszkadza wierzyć w Pana Boga i jednocześnie wyznawać choćby „bezwstydną“, a raczej śmiałą i pokornie szczerą ewolucję w myśl magicznych słów Micińskiego o „ludzkości, spokrewnionej z aniołami i małpami“? — tonem szczerego przekonania zapytała p. Jadwiga.

— To, że celem teoryi ewolucyi, pojętej bezwzględnie, jest wykazanie, iż wszechświat ma dosta-

teczną rację bytu i rozwoju sam w sobie i może się obejść bez Pana Boga. Nie pulsują w tej doktrynie pobudki szczere i bezinteresowne, nie chodzi jej o czystą prawdę naukową. Działa w niej przyjęta z góry idea ewolucyi, więc ewolucjonizm metafizyczny, pod osłoną którego usiłuje się quand même przemycić ateizm. Trzecio i dziesiątorzędni uczeni, a raczej popularyzatorzy nauki, często nie przyznają się do tych dążeń i gotowi się od nich z oburzeniem oddegnywać. Są one mimo tego wyraźne i pewne. Są one koniecznością monistycznego (jedynobytnego, t. j. uznającego jedyny tylko byt, np. jedynie materję) na świat poglądu, któremu ewolucya służy za narzędzie. Dlatego szczerzy aż do cynizmu i konsenkwentny aż do absurdu Haeckel ekshumuje pogrzebaną przez Pasteura teorię samorodztwa. W dobrej wierze i bez żadnej *arrière-pensée* przypuszczali ją już myśliciele teistyczni, starożytni i średniowieczni, jak: Arystoteles, Pliniusz, Wirgiliusz, św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu, Albert Wielki i t. d. Może ona być przeto uważana za symptom niskiego poziomu nauk doświadczalnych, skoro rozproszył ją blask nauki wieku XIX. W świetle tych danych można zmierzyć tendencyjność tych, co wślad za Haecklem wskrzeszają teorię samorodztwa, rzekomo w imię nauki, a właściwie w imię bezbożności, której właśnie postulatem w systemacie monistycznym jest samorodztwo, jako punkt wyjścia ewolucyi biologicznej.

— A jednak — oponował dalej nauczyciel, usiłując utrzymać się na stanowisku, — słynny Bathybius Huxleya potwierdza teorię samorodztwa!

— Charakterystycznie jednostronnie jest pan poinformowany! Rzekome żyjątko, które miało powstać

samorodnie i zostało ochrzczone przez Huxleya mianem Bathybiusa (to znaczy: „Żyjącego w głębinie“), okazało się zwykłym mułem morskim, złożonym z siarczanu wapna. Huxley dedykował rzekomą protoplazmę Haecklowi, który przyjął podarek, jak objawienie naukowe z głębin oceanicznych, i należycie go wyzyskał. Niestety, w kilkanaście lat potem sam wynalazca protoplazmy wyśmiał swój wynalazek... Nie o wiele lepiej dzieje się z dalszym ciągiem samorodztwa, z ewolucją. Nie dość, że braknie wciąż ogniw między małpą człekokształtną a człowiekiem, ale, co gorsza, łańcuch transformistyczny, uchodzący za mniej więcej ustalony, rwie się tak, iż uczeni zaczynają trąbić do odwrotu z imprezy ewolucjonistycznej w dotychczasowem jej rozumieniu. Zamiast monofilogenezy, t. j. teorii pochodzenia wszystkich gatunków od jednego jednokomórkowego pierwotniaka, powstaje teoria ewolucyi polifiletycznej, która wywodzi gatunki od całego szeregu typów pierwotnych. Żmii ewolucyi ateistycznej grozi posiekanie na osobne dzwona!

- Są ewolucyoniści, — sięgnął z innej beczki p. Ludwik — którzy widzą przodka człowieka, zarówno jak i małp człekokształtnych, w jednym i tym samym gatunku małpoludów, których gromady całe uwsteczniły się i wytworzyły dzisiejszych gibbonów gorylów, szympansov i orangów, kiedy jedna szczęśliwsza gromada pramałpia, odłączona jakąś katastrofą od reszty, pod wpływem nowych a sprzyjających warunków bytu, rozwinęła się w człowieka.

- Goła, naciągana do powziętego z góry założenia, hipoteza, świadcząca tylko o bankructwie swojej poprzedniczki, która utrzymywała pochodzenie

człowieka od małpy w linii prostej. Co tu ciekawe, to, że ci sami *ewolucyoniści*, którzy w tym wypadku *dopuszczają uwstecznienie* anatomiczne większości osobników odmiany małpiej, odrzucają samą myśl przypuszczenia, żeby plemiona, zwane przez nich pierwotnemi, również się uwsteczniły i zdziczały, albowiem ewolucya obowiązuje do ustawicznego postępu. Wybieg pomysłowy, ale widoczny. Niech nam pokażą nareszcie choć jedną autentyczną kość praczłowieka i pramałpy w jednej osobie! Bo ten hałas, który podniesiono z powodu odkryć jawajskich oficera Dubois, okazał się hałasem o... kości pospolitego gibbona: jakkolwiek fanatycy ewolucjonizmu uznać tego nie chcą i wciąż wojują wysmianemi przez Virchowa odkryciami. Czy nasz domniemany praszczur poprzedził małpy człekokształtne, czy też się z nich rozwinął, to kwestyi w oczach paleontologii nie zmienia ⁵).

— Przepraszam księdza, — przerwała p. Jadwiga — że jeszcze raz zakwestyonuję tendencyjność teoryi ewolucyi w kierunku bezbożnym. Jeżeli, jak sam ksiądz utrzymuje, *nawet* tak groźną teorię samorodztwa przypuszczali *nawet* teologowie i święci, to tembardziej teoria ewolucyi, *nawet* ta „bezwstydną“, może być niezależna od dążności ateistycznych.

— Czy wiadomy jest pani głośny przed kilku laty pojedynek naukowy w Berlinie między Haecklem a jezuitą Wasmannem, znakomitym badaczem mrówek? Nie chodziło już o teorię ewolucyi, lecz o kwestyę, czy katolik wierzący może być jej wyznawcą, jak nim jest o. Wasmann. Haeckel, wzięwszy na siebie rolę inkwizytora, tego strasznego z fanatycznej

fantazyi niedowiarków, z właściwą sobie furją dowodził, że Wasmann powinienby albo zrzucić suknię duchowną, albo wyrzec się i przekląć ideę przemiany gatunków. Jaki zaś dogmat wiary wchodził tu w grę bezpośrednio? Może Bóstwo Chrystusa? Nie, jeno wprost i przedewszystkiem istnienie Boga. Zatem Haeckel uważa za niemożliwe pogodzenie wiary w Boga z wiarą w transformizm.

— Niezależnie od Haeckla, który może jest fanatykiem niewiary... upierała się p. Jadwiga.

— Mówiąc absolutnie, teoria samorodztwa nie jest sama przez się groźna dla światopoglądu chrześcijańskiego. Sam o. Wasmann z całą swobodą katolicką stwierdza, że nie jest ona związana ściśle z dogmatem stworzenia, który odnosi się raczej do pramaterii, gdy wywołanie życia nie jest aktem stwórczym we właściwym słowa znaczeniu. Stwórca mógł już w materję pierwotną wlać siły życiotwórcze, przez co nawet tem potężniej wyraziłaby się Jego wszechmoc, podobnie, jak większym mistrzem okazałby się ten, ktoby jednym uderzeniem kuli bilardowej potrafił wszystkie inne, aniżeli, ktoby do wywołania tego samego skutku potrzebował tylu uderzeń, ile kul na bilardowym stole.

Jeżeli Wasmann przeczy samorodztwa, tak samo, jak i małpiego pochodzenia człowieka, to dla zupełnego braku dowodów naukowych. Nie na tem też spoczywa punkt ciężkości sprawy. Ewolucjonizm skrajny jest i musi być bezbożny dlatego, że jest z gruntu materialistyczny. Wczepia on *całego* człowieka w łańcuch transformizmu, jako najwyższe jego ogniwo. Jeśli mówi o duszy, to z dodatkiem „tak zwana“. Nie uznaje wogóle pierwiastka duchowego

i może tym sposobem logicznie włączyć i „t. zw.“ duszę ludzką do procesu przemian rozwojowych w przyrodzie. Wiąże też konsekwentnie ewolucję biologiczną z ewolucją kosmiczną „odwiecznej“ materii, co Krzywicki wyraził w nagłówku osławionego odczytu: „Od mgławicy do człowieka“. Słowem, tak rozumiana ewolucya okazuje się wymarzonem narzędziem, niby naukowem, dla filozoficznego uzasadnienia ateizmu. Nie dziw, że ateści tak je wyzyskują, tak w nie ślepo i fanatycznie wierzą i nie dają go sobie z rąk wytrącić.

— Jeżeli z ciała zwierzęcego, drogą postępowych przemian, mogło się wyłonić ciało ludzkie, — poparł nauczyciel nauczycielkę, którzy oboje czuli się wyraźnie śmielszymi na gruncie naukowym, niż na religijnym, — to już prostem następstwem rozwoju fizycznego musi być także rozwój duchowy.

— Otóż wtedy właśnie mielibyśmy duszę „tak zwaną“, różną tylko ilościowo na całej skali zwierząt, począwszy od protoplazmy, skończywszy na gatunku homo sapiens. A to jest materjalizm. Pomyśleć: niebosiężna myśl, oceaniczne uczucie, anielstwo lub chociażby dyabelstwo duchowe — rezultatem rozwoju fizycznego, stanu żołądka, wydzieliny mózgu, grą nerwów, robotą sercowego worka! Czy nie odwrotnie raczej się stało, stać się musiało? Czy nie duch nieśmiertelny wpłynął decydująco na uszlachetnienie ciała, rozrost i wysubtelnienie mózgu, jako narzędzia myśli? Zaiste, jeśli anatomia człowieka wykazuje liczne podobieństwa z anatomią najbardziej wykształconych ssaków, a skład krwi jego ze składem krwi . . . prosięcej, to duch ludzki, nawet w ciele kafa, botokudosa lub hotentota, ujawnia może waz-

ka, lecz niezgłębioną przepaść różnicy od duszy zwierzęcej.

— Krajowcy Australii wykonywają psi taniec na czworakach! — strzelił desperacko p. Ludwik.

— Uczone zaś pieski europejskie służą na dwóch łapkach, zatem ze swej strony zbliżają się do pokrewieństwa z człowiekiem; a znowu ludność Francyi południowej uprawia sport, zwany gymkhaną, polegający zaś na bieganiu na rękach, gdy inni trzymają takich biegunów za nogi, przeto . . . Dodam poważnie, iż australczycy jednocześnie ubierają się po europejsku, chociaż tandetnie, czego ich ulubiony dingo, na którego cześć owe tańce wyprawują, nie czyni. Jeżeli między człowiekiem a zwierzęciem jest przepaść różnicy, to między europejczykiem a buszmanem, papuasem, irokezem, aztekiem czy karaibem zachodzi jedynie różnica ilościowa, skoro wszyscy oni zarówno są ludźmi. Wypełnić ją może kultura, do której żaden inny gatunek nie jest zdolny.

— Dziś psychofizyka — nie ustępował imien-
nik ostatnich Burbonów francuskich — robi pomia-
ry czynności duchowych, określa je formułami ma-
tematycznymi, chwytą nawet na klisze. Zdrowy duch
w zdrowem ciele, chory — w chorem!

— Zdanie, w gruncie rzeczy, materialistyczne:
źródło „zdrowej“ zmysłowości i umysłowej tępoty.
Zastosowane bezwzględnie, zdolne wydawać Pytlasiń-
skich i Cyganiewiczów, ale nie wiecznie cherlają-
cych Krasińskich Zygmuntów. Silne zdrowie fizycz-
ne lubi też chadzać w parze z osławioną „zdrową“
zmysłowością, wślad za którą idzie zwyrodnienie
fizyczne. Psychofizyka zbadała tylko bliżej to, co wie-
dzieli już i uznawali scholastycy średniowieczni, mia-

nowicie wzajemną zależność duszy i ciała. Zależność ta jednak nie jest bezwzględna, jak wskazują zdrowe w chorych ciałach geniusze. Doświadczenia empiryczne ujmują bezpośrednio nie objawy czysto duchowe, lecz towarzyszące im procesy fizyologiczne. Gdyby zjawiska duchowe były poddane bezwzględnie prawom fizycznym, wówczas mieliby słuszość materyaliści, prorokujący hodowlę specjalistów: uczonych, artystów i myślicieli — za pomocą stosowania odpowiednich odżywek. Ale przepraszam! Broni pan skrajnego ewolucjonizmu z takim zapalem, jak gdyby się pan przyznawał do światopoglądu materyalistycznego?

— Broń Boże! Jestem czystej wody idealista!

— Z odmiany pewno materyalistycznej . . . W przeciwieństwie do brutalnego materyalizmu Büchnerów i Vogtów z połowy XIX wieku, materyalizm bieżący metafizykuje i otęcza się barwami ideałów etycznych, usiłując nawet przelicytować na tem polu etykę ewangeliczną. Znamy się na tym fortelu, zwanym „ruchem etycznym“ bez dogmatu, a raczej z dogmatem, tylko materyalistycznym. Barwy tęcze we zjawiają się i na bagnie i na bańce mydlanej . . .

— Ewolucjonizm prorokuje epokę nadezłowieczeństwa!

- Przez usta obłąkańca Nietzschego, który w swej „Woli Mocy“ szalał: „Żeby przywrócić filozofii poszanowanie, należy powywieszać naprzód moralistów“! Postęp ewolucjonistyczny daje nam tymczasem zadatek w postaci gatunku podludzi, mnożącego się pod jego kierunkiem i panowaniem w sposób, doprawdy, groźny; wówczas gdy katolicyzm od-

dawna już urzeczywistnia nadczołowieczeństwo w postaciach świętych.

— Święci katolicycy rozwijają ducha na koszt ciała, które zabijają morderczą ascezą. Nadczołowieczeństwo w duchu ewolucjonizmu szarmonizuje ideał ciała z ideałem ducha.

— Wiara niedowiary! Próbowali tego starzy już grecy i próba skończyła się upadkiem ducha na rzecz ciała. Kult ciała, początkowo idealistyczny i „boski“, stopniowo zniżał się, aż wśród przepychu sztuki stoczył się w kałużę morderczej podwójnie, bo zabijającej ducha i ciało, zmysłowości. Z Wenery Uranii powstała Venus vulgivaga, ubóstwiony ideał hetery. Potem próbował tegoż poganiejący z biegiem czasu renesans i z tym samym wynikiem. Dziś doszło już do tego, że sztuka stała się niewolnicą rozpasania, jak to obraz Świdomskiego przedstawia: taniec nagiej kobiety przy klaskaniu bata dozorecy, jak w cyrku wobec tresowanych zwierząt. Dziejowe te doświadczenia na wielką skalę dowodzą próżności marzeń o przywróceniu rajskiej równowagi między duchem a ciałem. Zburzył ją grzech i odtąd między aniołem a zwierzem w człowieku musi być walka. Za zwycięstwo w człowieku anioła walczy chrystyanizm, za przewagę zwierza — rewolucyjny ateizm, który tylko stroi się w maskę idealizmu, żeby uwieść tłum niekrytyczny. „Panie bracie, na rzemiośle się nie znacie!“ powiem panu z Krasickim. Wierzy pan z milionem ludzi inteligentnych w doktrynerską Panamę ewolucjonistyczną, podobnie jak starożytni wierzyli w płaskość Ziemi. Wyśmiewali oni twierdzenie o jej kulistości, jakkolwiek mocno nieprawidłowej (geojda), jak to dziś wykazano, — za pomocą

rysunku (Kosmasa Indikopleustesa z VI w.), przedstawiającego czterech na krzyż antypodów-wielkoludów, stojących na maleńkiej kulce. To był „dowód“ tak oczywisty! Niemniej „oczywiste“ są dowody na ewolucjonizm ateistyczny, co jednak zgoła nie przeszkadza „wierzącym“ przyjmować i podawać hipotezy za dogmat nauki. Bezbożny postęp cywilizacyi społecznej przypomina mi potępieńców dantejskich, wirujących z wykręconemi wstecz twarzami. Koniec końców, czy pan, panie Ludwiku, przyznaje się do materyalizmu, jakkolwiek wyidealizowanego?

— Co znowu!? jestem przecież człowiek szczerze wierzący! odmawiam pacierz, chodzę do kościoła, bywam u spowiedzi...

— To pozwoli pan, a i pani także, panno Jadwigo, że im zarzucę grubą niekonsekwencyę. Albo, albo! Albo wyznaje się wiarę pseudonaukową, albo wiarę chrześcijańsko-katolicką. Tymczasem oboje państwo wyznajecie jednocześnie jedną i drugą. Tę uczuciowo, tamtę rozumowo. Jest to dualizm psychiczny. W każdym z was siedzi po dwoje osobników, między którymi braknie zupełnie jakiejkolwiek komunikacyi, tak, iż jeden niewie o drugim, wiedzieć nie chce. Nie łączy ich jednolita świadomość. Tym sposobem, przy braku wzajemnego porozumienia, utrzymują się oba przy swoim stanie posiadania. Taki jednak dualistyczny stan duszy przeciwny jest jej naturze i nie może trwać bez końca. Pewnego dnia obudzi się samokrytycyzm ze strony jednego lub drugiego z tych osobników i nastąpi między nimi starcie. Wynikiem jego będzie unicestwienie tego lub tamtego na korzyść zwycięscy, który zapanuje w duszy niepodzielnie. Wobec przeważającej siły uzbrojonego nowo-

wcześnie naukowca nad zaniedbanym umysłowo wiarowcem, przewidywać można zwycięstwo tamtego, o ile ten drugi nie zostanie zawczasu wzmocniony przez pogłębienie wierzeń religijnych. I czy wiecie państwo, jak się ów stan duszy, uzasadniony doktrynalnie, nazywa? Jest to potępiony przed kilku laty przez Piusa X modernizm, herezya nad herezjami!

— Więc ksiądz — rzekła tonem skargi p. Jądwiga — propaguje rozdział między wiarą a nauką XX-go wieku!?

— Przedewszystkiem, między wiarą, z górą dziewiętnastowiekową, a pseudonaukową efemerydą, których tyle już przeżył i pogrzebał Kościół, choć każda z nich w swoim „Sturm und Drang“ okresie śpiewała mu egzekwie. Niedawne to czasy, kiedy między innymi Büchner w pysznem upojeniu przedwczesnego tryumfu wołał katolicyzmowi: „Die Zeiten sind vorüber!“ Oto zaś, jak przez usta Połanieckiego, znienawidzonego i ośmieszonego przez obóz wolnomyślicielski (choć także nie ideał katolika), powiedział Sienkiewicz: „Wszystkie systematy dyabli biorą, a Msza po staremu się odprawia“. Następnie, rozdział między wiarą a nauką ateistyczną, w dalszem zaś, praktycznem następstwie — rozdziały: Państwa od Kościoła, patryotyzmu od religijności, życia publicznego od zakrystyi, świecczyczyny od kapłaństwa, literatury i sztuki od moralności, tak, iż co pisano w duchu religijnym, choćby z talentem, ignoruje się lekceważąco i poza nawias brutalnie wyrzuca: te wszystkie rozdziały są głoszone, szerzone lub nawet już dokonane przez obóz bezwyznaniowy lub wręcz bezbożny. My tylko stwierdzamy fakt i wyciągamy zeń konsekwencye, jakie stąd dla naszej taktyki wypły-

wają. Byłoby, oczywiście, dowodem braku szacunku dla samych siebie z naszej strony, gdybyśmy za cenę ustępstw i kompromitujących kompromisów darli się gwałtem pod firmy nieprzyjazne. Mamy własną naukę, własne piśmiennictwo! Jeżeli ono ubogie, uboższe niżeli owo zlaicyzowane, t. j. spoganiałe, winna to w znacznej mierze wasza, szanowni katolicy (mówię zum Fenster hinaus), którzy odmawiacie mu swego poparcia, przy całej zaś swojej zdziecinniałej katolickości popieracie literaturę mu wrogą, jakoby ona jedna tylko była dojrzała i godna waszej inteligencji. Zresztą, co tu owijać w bawełnę! Większość was odżywia się przeważnie kuryerami i powieścią, tą literaturą rasy niższej, jak się któryś z pisarzy francuskich wyraził. Lektura taka daje w najlepszym razie surogat wykształcenia, błyskotliwość pozłoty: gdy nie tylko sprawie religii, lecz wogóle powadze życia dotkliwe szkody przynosi.

— Wszak mamy Sienkiewicza, Prusa, Choińskiego, Weyssenhoffa, Kosiakiewicza i tylu beletrystów katolickich! — zaoponowała gospodyni domu.

— A przepadamy za Żeromskimi, Berentami, Makuszyńskimi, Neuwerth-Nowaczyńskimi i tylu innymi paradoksalistami, cynikami, historyonami, błaznami, zielonymi balonikowcami, nagoduszcami, żonglerami frazesu, dlatego że utalentowani a drastyczni, dlatego że nas podnieca fosforescencya moralnego próchna — dokończę za panią. Cieszymy się posiadaniem Sienkiewicza, Choińskich i Kosiakiewiczów, ale zarazem jesteśmy z nich trochę smutni. Są to pisarze, w pewnem specyjalnem tego słowa znaczeniu, na ogół chrześcijańscy, lecz sporo im braknie do czystej, świadomej siebie oraz konsekwentnej kato-

lickości. Nie dorośli do jej wyżyn! Osobliwie poczy-
niłbym poważne zastrzeżenia co do działalności pi-
sarskiej Kosiakiewicza, mimo jego „Z powrotem“
i także jego (nieosobliwego!) przekładu filozoficznych
dzieł kardynała Merciera, byłego profesora uniwersy-
tetu katolickiego w Lowanium. Nie można go oce-
niać z wyżyn katolickiego Mont-Blancu. Sam on kie-
dyś wyznał, że tematy do powieści nosi w jamie, za-
wierającej przyrządy do trawienia pokarmów. Z te-
go samego źródła, zdaje się, pochodzi jego działal-
ność publicystyczno-literacka, skoro, chcąc uchodzić
za pisarza, który do Kościoła powrócił, mimo tego
trzyma się w kołach prasy liberalnych i z niemi
kompromisuje. Świadczą o tem mętne poglądy, ja-
kie nieraz wypowiada. Powiedział sobie: „Z powro-
tem“, przecież dawnych związków nie zerwał. Zapew-
ne dla „różowego ciała homara“, za który płaci drob-
nemi odstępstwami od zasady katolickiej. Braknie
mu pełnej, zdecydowanej solidarności z obozem ka-
tolickim, nie zapewniającym ani lepszych z pióra
dochodów, ani rozgłosu. Dziś katolicyzm stawia swoim
adeptom wymagania wyższe!

Wspomniała pani także Prusa. Dla niego z pun-
ktu katolicyzmu trzeba całkiem osobnej kategorii,
odkąd zawrócił z dróg bezwyznaniowych. Jest on
sympatycznym sympatykiem nauki katolickiej, nie
jest jej wyznawcą. Wyobraził sobie, jakoby kato-
licyzm legł w gruzach, on zaś z pod ruin wydo-
bywa skarby prawd katolickich, wybierając rozumo-
we, filozoficzne, odkładając zaś na bok z szacunkiem
te, które mają charakter nadprzyrodzony, czysto teo-
logiczny. Określiłbym Prusa w jego fazie obecnej,
jako katolickiego racjonalistę, który może wywierać

wpływ dodatni na odurzonych niedowiarstwem inteligentów, ale nie może rościć sobie pretensyi do wpływów na Kościół, który stoi ponad nim wysoko i na jego działalność spogląda z pobłażliwym i życzliwym szacunkiem. Życzy mu on, żeby go poznawał wciąż lepiej i w końcu bez zastrzeżeń pokochał¹⁾.

— Przepraszam księdza, — wstawiła się za Kosiakiewiczem pani domu — lecz wyrażenie francuskie: „avoir quelque chose dans le ventre“ jest przysłowiowe i oznacza jakiś pomysł do wykonania.

— Tak, proszę pani, tłumaczył się p. Kosiakiewicz, czy też tak go tłumaczyli jego przyjaciele literaccy. Wcale mnie to jednak nie przekonało. Powiedziałem sobie: A! więc to dogmat stylu francuskiego: w takim razie kapituluję! Dziwna rzecz, żeby nie znaleźć nic elegantszego na bulwarach paryskich, ale właśnie to, co tak akurat do postaci p. Kosiakiewicza pasuje. Należy mieć przytem na uwadze okoliczność, że każdy język ma swoje specjalności wyrażeniowe, które w przekładzie dosłownym na inny wychodzą niedorzecznie lub zgoła brzydko.

— Podzielim zdanie księdza o Kosiakiewiczu odezwała się p. Jadwiga. — Spowiednik mój kazał mi za pokutę przeczytać jego „Z powrotem“ i rzeczywiście była to dla mnie sroga pokuta. Dobrze o bohaterze tej powieści powiedział w *Sfinksie* Strzelecki, że takich Janów Woskich „idzie 12 na tuzin“. Spamiętałam ten szczegół dowcipny, bo z powodu pokuty zainteresowała mnie krytyka „Z powrotem“...

¹⁾ Pisano przed śmiercią ś. p. Bolesława Prusa. Śmierć, przecinając nić jego zasłużonego żywota, przecięła jednocześnie przędzę jego „Przemian“, drukowanych w *Tygodniku Ilustrowanym*. Symbolicznie!

— I sprawiła ulgę pokutującemu sercu pani: nieprawdaż? Wystąpić tu muszę w obronie Kosiakiewicza. Nie z ducha katolickiego wypłynęła krytyka Strzeleckiego, ani przyzwolenie na nią ze strony naszej osobliwej pokutnicy. Mnie również zainteresowała w swoim czasie krytyka „Z powrotem“ w *Sfinksie*. I spamiętałem, że „dowcipny“ krytyk wpadł w rażącą sam ze sobą sprzeczność.

Przyznał on łaskawie, że temat zajmującej nas powieści jest „tak dobry, jak każdy inny“, zastrzegł atoli, że ten osobliwie temat wymaga całego szeregu nadzwyczajności. Więc: „nadzwyczajnego pogłębienia psychologicznego, nadzwyczajnej subtelności analizy, nadzwyczajnego pogłębienia intelektualnego, motywującego każdą przemianę w intelekcie, wymaga wreszcie nadzwyczajnego pogłębienia uczuciowego, potężnych, wstrząsających całym jestestwem katastrof i przełomów uczuciowych, ponieważ tak kolosalne przewroty, jak utrata wiary, albo jej odzyskanie, oparte być muszą o tło uczuciowe“.

Osobliwe to równouprawnienie tematów artystycznych, wymagające wyjątkowo od jednego z nich tak nadzwyczajnych nadzwyczajności! Dowcipnemu krytykowi zbrakło dowcipu, żeby sprzeczność tę dostrzedz. Dziś modne są wszelkie wogóle równouprawnienia, począwszy od kobiety z mężczyzną, robotnika z burżujem, dziecka z rodzicami, władzy z podwładnym i t. d., skończywszy na równouprawnieniu Boga z człowiekiem, a człowieka ze zwierzęciem. Wymaga tego tyran nowoczesny, zwany duchem demokracji. Nie mogła i sztuka pozostać obcą temu, niwelującemu wszystko, płaskiemu jak nos negra, duchowi. Równouprawnienie tematów w sztuce stało się

zdawkowym frazesem, obowiązującym każdego szanującego się, jak salonowiec, literata. Powtarza się go bez zastanowienia nad logicznymi konsekwencjami, które zeń wypływają i które każdego myślącego człowieka naprawdę obowiązują. Zasada równouprawnienia tematów prowadzi do nihilizmu ideowego i moralnego w sztuce. Ta bezmózgowość i ten aetyzm sztuki, mający na celu królewskie jej usamoistnienie i wywyższenie, w istocie rzeczy obniża ją do poziomu chińskich cacek i do wartości potraw z masy papierowej na chińskich stołach biesiadnych. Wtedy bowiem forma, technika jest wszystkim. Ona o wartości dzieła decyduje, wartość tę stanowi. Zrewoltowana przeciw rozumowi oraz moralności sztuka gilotynuje tych swoich wzgardzonych sprzymierzeńców, żeby się kosztem ich wynieść, a w rezultacie sama się tylko spłaszcza lub nawet spada w błoto moralne.

Tymczasem p. Strzelecki, mimo uznania za swoją teoryi równouprawnienia tematów... Pominąwszy tę sprzeczność, podyktowaną nieświadomem powtórzeniem modnego frazesu, pozostaje nadto fałszywe wyobrażenie o społecznej psychologii niewiary.

Dziś traci się wiarę już w latach szkolnych w taki właśnie tuzinkowy sposób, jak to przedstawił Kosiakiewicz na osobie Woskiego i zwłaszcza jego towarzyszków. Jeżeli się to p. Strzeleckiemu i pannie Jadwidze nie podoba, to może dlatego, że chcieliby zataić sami przed sobą fakt, że w zwierciadle, podstawionem im przez Kosiakiewicza, ujrzeli sami siebie i nie podobali się sami sobie. Chcieliby we własnych oczach uchodzić za duchowych arysto-

kratów, którym przystoi mieć do czynienia nawet nie „z kokietującymi katolicyzm“ w swoich „powieściach“ Bourgetami, ale z Huysmansami i Brunetièr'ami.

Wiara jest rzeczą wielką, utrata jej może i powinniaby być zawsze wstrząsającą całem jestestwem katastrofą moralną. Do tego jednak trzeba, żeby była głęboka, żywa i świadoma siebie. Dziś, niestety! zwłaszcza u nas, wzięwszy za nawias masy ludowe, tak wierzą przeważnie tylko księża i oni też mogą takim katastrofom ulegać. Pozatem bywają one tylko ładną pozą najczęściej. Jeżeli zaś chodzi o psychologię procesu odwrotnego, t. j. nawrócenia, to wprawdzie sprawa trudniejsza, tak samo, jak trudniej piąć się na stromą, niebosięzną górę, aniżeli z niej spaść na łeb, na szyję. Nawrócenie wymaga jakichś przełomów i przeżyć, których wszakże stopień potęgi jest w zależności od skali duchowej każdego po szczególe osobnika. Trzeba przytem bezwarunkowo przyjąć w rachunek — nadprzyrodzony czynnik łaski, która nie zna gnuśnych ociągów i przygotowań, jak rzekł św. Bernard. Panu Kosiakiewiczowi podobało się przedstawić ten proces na duszy przeciętnego inteligenta — i z tego niepodobna czynić mu zarzutu. Przeciwnie, przyznać mu należy zasługę, że dał nam artystyczną fotografię z życia, z tą wysoce etyczną.

Krytyk czepia się formy pamiętnikowej utworu i utrzymuje, że tylko pamiętnik człowieka genialnego może być interesujący. Jak to jest zgodne z teorią równouprawnienia tematów! Przecież każda powieść, bez względu na formę, przedstawia dzieje jakichś ludzi, zwykle niegenialnych. Sztuka w tem,

żeby to nie były manekiny czy maryonетки, ale postacie, ożywione tchnieniem sztuki. Pozatem dopiero można i trzeba ustanowić gradacyę płodów twórczości artystycznej, stosownie do poziomu duchowego bohaterów. A człowiek genialny może nie być artystą i pamiętnik jego w takim razie nie będzie artystyczny, zainteresuje czem innem, co nie ma nic wspólnego ze sztuką.

Dla p. Strzeleckiego: „pamiętnik miernoty, płytkiej, bladej, tuzinkowej duszyczki, nawet przy największym artyzmie stylowym (gdzież znowu teoria równouprawnienia tematów?!), musi być zabójczo, piekielnie nudny“.

Wierzę chętnie wrażeniu p. Strzeleckiego, jeno jego źródło gdzieindziej odkrywam: nie interesują go wogóle zagadnienia religijne w duchu katolickim. Kogo one bowiem interesują, ten nie znudził się apologetyczną powieścią Kosiakiewicza. A wrażenie osobiste p. Strzeleckiego mogłoby nas zaciekawić tylko wówczas, gdyby on nam okazał dyplom na genialność. Wedle jego własnej recepty...

— Odbiegliśmy daleko od zagadnienia ewolucyi w Kościele — zauważyła pani domu. — Ciekawa byłabym jeszcze się dowiedzieć, jak je rozwiązują ludzie niewierzący. Nie widzę, jak możnaby było sprawę tę przedstawić inaczej, niż ją przedstawił książd...

— Zapytaniem swoim przenosi nas pani w sferę ewolucyi historycznej, związanej w systemie światopoglądu monistycznego, przeciwkatolickiego, z ewolucją kosmiczną i biologiczną. To trzeci, najwyższy etap rozwojowy. W myśl tej swojej teorii ewolucjonistycznej, bezwiercy widzą ewolucyę także w chry-

styanizmie, ale zupełnie inną od tej, którą sam w sobie postrzega Kościół. Gdy my w bezwierstwie społecznem widzimy wyższą, unaukowioną formę starego bałwochwalstwa (skąd zowiemy go neopoganizmem), formę, która ma także swoją mitologię, rozwiniętą głównie przez Comte'a, twórcę religii ludzkości, — to katolicyzm w oczach wierzących po antykatolicku przedstawia sobą tylko wyższą formę mitologii starożytnej. Oni z pogaństwa wzięli jego treść i uzasadnili ją niby naukowo; my jakoby przejęliśmy w spadku po niem cudowną bajkę, którąśmy jeno rozwinięli, uszlachetnili, wysubtelnili. Np. Msza św. w oczach Karłowicza przedstawia się jako trafne zastąpienie ofiar bydłobójnych ofiarą chleba i wina, lecz ta i tamte zarówno są zabobonne. Chrześcijaństwo, jako wyższa forma mitologii, stanowiło w swoim czasie postęp; dziś jednak rzekomo się przeżyło i musi oddać berło nauce, mianowicie opartemu jakoby na niej światopoglądowi monistycznemu, który już w duchu „proroczym“ ogarnia i podbija cały świat w przestrzeni i czasie: w swoim rodzaju chce być także „katolickim“, t. j. powszechnym. Rzymianie uważali chrześcijan za sektę żydowską; neopoganie, jak widzimy, niedaleko od nich odbiegli. Zresztą, jakkolwiek wszyscy przeciwnicy chrześcijaństwa, w jego pełnej, autentycznej postaci katolickiej, tłumaczą genezę jego w sposób naturalistycznie ewolucyjny, to nie wszyscy posuwają się równie daleko w negacyi nadprzyrodzonego charakteru jego powstania i rozwoju.

Zaciekawienie moje skupia się na tym punkcie kwestyi i dochodzi do szczytu! — poruszyła się żywo pani domu. A panna Jadwiga zauważyła z przekąsem:

— Zapewne ksiądz będzie się teraz ucierał z Niemojewskim: nie ciekawego!

— Czemu?

— Zbyt gruba sensacya umysłowa!

-- Zgoda. Nie zamierzam też zajmować się tu bliżej osobą „gubernatora wolnej myśli“. Niepodległej rozumowi i nauce sztuki jego doświadczyłem osobiście w sposób dość skutecznie pouczający, żeby go nie traktować poważnie. Zarzucił „nieuctwo“ całej mojej „Wtórej Podróży do Ciemnogradu“, ponieważ twierdziłem, że droga mleczna składa się z mgławic, kiedy wedle niego budowę jej stanowią roje gwiazd, zlewających się światłem wskutek niezmiernego oddalenia. Miała to być wystarczająca próbka mego „nieuctwa“. Tymczasem analiza spektralna łącznie z fotografią potwierdziła, co przeczuwał Herschel, że droga mleczna w istocie rzeczy przedstawia nierozwinięty, chaotyczny stan tworzących się nowych światów ⁶⁾. Przytaczam ten drobiazg, bo daje on próbkę charakterystyczną metody, wedle której panowie, niepodlegli nauce, zwalczają katolicyzm w imię nauki. Bezczelnie imputują nam ci apasze i bokserzy wolnej myśli nieuctwo, gdy sami są nieukami. Tak mocno uwierzyli w swój naukowy monopol!... W stosunku do zajmującego nas zagadnienia, o skandalicznym „Bogu-Jezusie“ Niemojewskiego zaznaczę tylko, że nie jest on tu bynajmniej oryginalnym. Obłądną teorię mitów astralnych, zastosowaną do Ewangelii, do wszystkich jej postaci, z Chrystusem na czele, głosili przed Niemojewskim: Jensen, Drews, Kalthoff, Morozow e tutti quanti. Ich wszystkich uprzedził Karol Dupuis (wiek XVIII), który pierwszy postawił hipotezę, że Chrystus jest mitem. Tamci odgrzali te-

raz baśnie wieku „Oświecenia“, nad któremi krytyka rzetelna przeszła była oddawna do porządku. Nie księża też, lecz świeccy, nawet wolnomyślecy, jak Mi-ciński, rozprawili się u nas z Niemojewskim, z jego Bogiem Jezusem astralnym, dowodząc bez trudu historyczności postaci Chrystusa. Warto przeczytać, co mag tatrzański napisał przeciw magikowi warszawskiemu! My tu tymczasem zajmijmy się mniej radykalnymi przeciwnikami Objawienia.

W ostatnich czasach, specjalnie co do Starego Testamentu, zasłynęła teoria, wywodząca Biblię z Babilonu, t. j. jakoby jej podstawowe podania stamtąd wzięły swój początek. Racja tego ta, że kultura babilońska, posiadająca tradycyę te same, co i żydzi, była od żydowskiej nie tylko świetniejsza, ale i starsza. Babilon odegrywał swego czasu rolę podobną, jak później Rzym, dziś poniekąd Paryż. Mojżesz był poprostu „plagiatorem“ Hammurabiego, wielkiego króla i prawodawcy Babilonii, którego kodeks i nawet wizerunek w płaskorzeźbie odkryto. Ponieważ podania babilońskie są bajeczne, zatem taką samą wartość mają i biblijne. Teorię tę spopularyzował racjonalista niemiecki, Fryderyk Delitsch, głównie przez swoje, jakoby wiele mówiące, a w gruncie rzeczy będące przypadkową grą słów, sugestyjne zestawienie: „Babel und Bibel“. Wystarczy tu zauważyć, że nie znaczy starszeństwo tam, gdzie istnieje wspólne dla wszech narodów źródło podania, sięgające kolebki rodu ludzkiego. Znaczenie starszeństwa Babilonu jest względne i bynajmniej z niego nie wynika, żeby nie skądinąd, jeno stamtąd czerpał natchniony autor Pięcioksięgu, stanowiącego fundament Biblii Starego, pośrednio i Nowego Zakonu.

Te same też odkrycia wykopaliskowe, które niedowiarstwo wyzyskuje tendencyjnie przeciw autentyczności i wiarogodności Pisma św., bibliści katolicy podnoszą tryumfalnie, jako dowody, potwierdzające stare i stałe przekonanie Kościoła o boskim tegoż Pisma charakterze. „Kamienie wołać będą” — przepowiedział Chrystus — i kamienie wołają. Wykopaliska babilońskie istotnie potwierdzają to, co opowiada Biblia i co Kościół zawsze za prawdę poczytywał, a co racjoniści dawniejsi ogłaszali z góry za mity. Dziwne bo wogóle bywają zmiany frontu, jakie wykonywają racjoniści, stosownie do okoliczności. Przed odkryciami w Mezopotamii — mity, no bo niema faktów z poza Biblii, któreby je potwierdzały, rozum zaś nie może ich przyjąć. Po tych odkryciach archeologicznych — także mity, no bo babilończycy byli przecież bajkarze, mimo całej skądinąd świetności ich kultury, a żydzi bajki ich tylko powtórzyli. Tak czy owak, mity zawsze, bo inaczej katolicyzmby wygrał, co jest niedopuszczalne. Osądzono i potępiono go z góry. Wszystko przeciw niemu winno przemawiać i basta! Zamyka się jednak przytem oczy na charakter podań u chaldejczyków z jednej strony, a w Biblii z drugiej. Tam wyraźnie jest on bajeczny, skażony, zabarwiony politeizmem. Z cheruba np., co stanął z mieczem płomienistym u wrót Raju, mitologia chaldejska uczyniła skrzydłatego byka.

Zauważmy na korzyść Biblii także i to, że, wedle nauki Kościoła, nie należy w niej szukać naukowego przedstawienia rzeczy, dotyczących przyrodzności, gdyż jej celem jest tylko religia. Opisy przyrodnicze są w niej popularne, uzmysłowione, przy-

stosowane do grubej umysłowości owoczesnej. Sama nawet działalność Jehowy pełna jest figur antropomorficznych i antropopatycznych, przyczem pojęcie o Nim — z biegiem czasu i odzwierciadlających go Ksiąg świętych — wyraźnie się doskonalili. Krytyka katolicka, w miarę istotnych postępów nauki, odwija opowieści biblijne z ich formy popularnej i ukazuje nam ich treść, z pewnością nieraz przewyższającą rozum ludzki, ale nigdy z nim nie sprzeczną. Jeśli zaś mitologie pogańskie opowiadają rzeczy podobne do biblijnych, to te w tamtych znajdują potwierdzenie. Jak biologia, ta, która przysięgła na ewolucję, z podobieństwa form gatunkowych zwierzęcych wnioskuje bezkrytycznie o wspólnem ich pochodzeniu, tak samo racjonalisci postępują w dziedzinie porównawczo-religijnej. Któż atoli widział kiedy banknoty dwu-, cztero-, i sześciorublowe? Fałszuje się tylko to, co ma wartość istotną. Słusznie też powiedział Mickiewicz w kursie literatur słowiańskich, że „mitologia jest niczem więcej, tylko zepsuciem rewelacji“. Wszechbabiloństwo, upatrujące wszechwładne wpływy Babilonu na cały Wschód starożytny, warte w nauce tyleż, co i pangermanizm lub panslawizm w polityce.

Mamy kapitalne przeciw niedowiarkom precedensy, które niepomyslnie wróżą im na przyszłość. Przeczyli potopu, teraz uznają potopy⁷⁾; przeczyli jedności rodu ludzkiego, zmuszeni zostali do uznania jej przez naukę. Podezas wyprawy naukowej, która towarzyszyła Bonapartemu do Egiptu, w pobliżu wsi egipskiej Denderah uczeni odkryli zodyak, z którego wywnioskowali istnienie kultury egipskiej od 12—15 tysięcy lat. Wniosek był niezmiernie pojętny ze względu na chronologię biblijną, tem łatwiej też go przyję-

to i tem goręcej okrzyknięto. Tymczasem w kilkanaście lat potem, twórca egiptologii, Champollion, który pierwszy znalazł klucz do odczytywania hieroglifów, na tymże zwierzyńcu niebieskim odczytał imiona cesarów: Augusta, Tyberyusza, Nerona. Sam zodyak przytem okazał się robotą, nie astronomiczną, jak orzekli byli uczeni bonapartystowscy, lecz astrologiczną. Biblia tryumfowała...

Nie przeczę wpływów wyższej kultury babilońskiej, jak przedtem egipskiej, na kulturę żydowską. Musiała być jednak wyższa ta ostatnia przynajmniej na punkcie religijnym, skoro Biblia przez usta Izajaszów i Jeremiaszów przepowiedziała Babelowi doszczętny upadek, który się spełnił dosłownie. Skruszony został ręką Pańską on „złoty kubek, Babilon, upajający wszystką ziemię“, z którego „pili narodowie“ (Jeremiasz). Dziś, kiedy z olbrzymiej odległości dziesiątków stuleci patrzymy w duchu na Babilon, maleje w oczach naszych on sam i katastrofa jego upadku. Spróbujmy tedy wyobrazić sobie podobny upadek takiego np. Paryża. Wyobraźnię naszą porazi potworny ogrom katastrofy i wyda się nam ona niemożliwością. Ta niemożliwość jednak została przepowiedziana i spełniła się na Babilonie. Księgi, które zawierają takie proroctwa, muszą być czemś wyjątkowem. Nazwano je też księgami par excellence (greckie „Biblia“ stanowi liczbę mnogą od „Biblion“, co znaczy księga).

Racę bytu żydów, jako narodu, stanowiła i stanowi religia, w owe czasy wyjątkowo monoteistyczna. Stąd znany ich konserwatyzm religijny, który dostatecznie zabezpieczał ich od przemożnych wpływów politeistycznej Babilonii. W psychologii narodów znane są zjawiska takie, jak wyższość kultury religijno-mo-

ralnej obok niższości kultury materyalnej. Już potomkowie bezbożnego Kaina, synowie ludzcy, prześcignęli w postępie kulturalnym potomków Seta, synów Bożych. Psychika narodów zarysowała się w konturach już wtedy. Która zaś z tych dwóch wyższości sprzyja więcej stosunkom społecznym, a najprzód, jako ich podstawie, wartości indywidualnej, odgadnąć nietrudno. Odpowiadają na to stosunki moralne pigmejów, plemienia najpierwotniejszego z pośród znanych, stosunki na podziw proste a piękne. Przemawiają one ponadto za tradycją katolicką, że od początku nie było tak, jak to wypada z doktryny ewolucjonistycznej, żeby lono małpy lub małpoluda wypiastowało ludzkość, ale że już pierwszy człowiek nosił na czole wyraźne znamię człowieczeństwa, z czystą choć prostotną religią i moralnością. Trzymając się niei tradycyi, która się z tego kłębka początku rozwija, znajdziemy i z tej również strony potwierdzenie dalszego ciągu tradycyi katolickiej, że kultura żydowska pod względem religijnym była nawskroś samodzielna i w swoim czasie najwyższa; że ona to z potopu bałwochwalstwa, zalewającego ziemię, ocaliła, w czystości przechowała i rozwinęła Objawienie pierwotne, jako najstarszą rodowi ludzkiemu tradycję.

– Łatwo przypuścić, że owo proroctwo zostało *ex post* napisane zarzucił z niedowierzaniem p. Ludwik.

Nie łatwiejszego rzeczywiście, jak powierchownie i lekkomyślnie coś przypuścić... Społeczny uczonec, dr. Hamlin, opowiedział takie zdarzenie z życia własnego. Było to wkrótce po wojnie krymskiej. Bawił on w Konstantynopolu. Pewnego dnia odwiedził go pewien pułkownik turecki z żądaniem dowodu na boskość Biblii. Unikając na razie odpowiedzi,

dr. Hamlin zapytał z kolei pułkownika, czy był w Babilonie. Na to turecki oficer opowiedział szczegółowo swoją wyprawę myśliwską do zwalisk Babilonu. Ze względu na bezpieczeństwo osobiste najał ludzi, którzyby mu towarzyszyli. Rozbito wśród ruin namioty. Przed zachodem słońca myśliwy zrobił małą wycieczkę dla zrekognoskowania miejscowości i sprawdzenia obfitości zwierzyny. Gdy wrócił, najęci arabowie z pośpiechem zwijali namioty. Czemu? Co się stało? Bo w nocy tu straszy. Duchy porywają śmiałków bezpowrotnie. Żaden jeszcze arab nie widział zachodu słońca nad ruinami Babilonu... Nie pomogły ni obietnice wyższego wynagrodzenia, ni prośby, ni groźby pułkownika. Najemnicy zgodzili się co najwyżej rozłożyć obóz w odległości mili od olbrzymich zwalisk. Polowanie przepadło. Wysłuchawszy opowieści, Hamlin otworzył księgę Izajasza proroka (XIII) i zaczął z niej czytać:

„I będzie Babilon, on zawołany w królestwach, zaenry (sławny) pychą chaldejczyków: jako Pan wyrócił Sodomę i Gomorrhę.

„Nie będą w nim mieszkać aż do końca i nie osadzą go (nie odbudują) aż do narodu i narodu: ani tam rozbije namiotów arabezyk, ani pasterze tam odpoczywać będą.

„Ale się tam chować będą zwierzowie i napelnią się domy ich (rozwalone i tworzące jaskinie) smokami: i mieszkać tam będą strusiowie, a kosmaczowie (kozły) tam skakać będą.

„I będą się odzywać sowy w domach jego, syreny (płazy salamandrowate) we zborach rozkosznych“.

Turek sądził na razie, że Hamlin wyczytał to z opisu jakiegoś społecznego: tak wiernie słowa Iza-

jasza, napisane na 700 lat przed Chrystusem, odpowiadały społecznej rzeczywistości. Gdyby one nie miały być proroctwem, trzebaby je było napisać za dni naszych, nie już wkrótce po spełnionym fakecie zburzenia Babilonu przez medów i persów, którzy nie szukali tam złota ni srebra i dlatego nie szęczędzili potężnej stolicy. Prawda proroctwa do oczu wprost skacze!

— Jeżeli katolicyzm jest dalszym a doskonalszym ciągiem religii Mojżeszowej, oraz bierze początek już w raju, — rzekła pani domu — to uderzyć każdego musi ciągłość jego rozwoju wśród błędów balwochwalstwa.

— Tak jest niewątpliwie, jak pani trafnie zauważyła. Katolicyzm, wzięty w najszerszem historycznie znaczeniu, przewija się przez dzieje coraz jaśniejszą i coraz szerszą wstęgą jednolitego postępu. Stanowi on jakby prąd równikowy wśród oceanu dziejów, który ciepłe swoje wody roznosi po świecie. Obok niego natomiast widzimy tysiączne postacie jednego zawsze w istocie błędu, który ze swojej proteuszowej zmienności czerpie tumaniące pozory postępowości, choć jest z natury wsteczny. Katolicyzm, przeciwnie, ma przeciw sobie pozory bezwzględnej zachowawczości, chociaż w istocie wciąż się rozwija, tylko że na jednych i tych samych stale zasadach, z jednego i tego samego ziarnka Prawdy Bożej, która musi być niezmienna. Chcąc ocenić wartość i doniosłość rozwoju nadprzyrodzonego w Kościele, rozwoju myśli religijnej i stosowania jej do życia, dość obejrzeć się na Wschód, gdzie chrześcijaństwo, oderwane od życiodawczego pnia katolicyzmu rzymskiego (nie polskiego, bo inaczej trzebaby było uznać i niemiecki i włoski i... wscho-

dni), skrzepło i skamieniało. Stosunek postępowy Kościoła do Synagogi określił sam Chrystus przeciwko przewrotnym, jakkolwiek mającym za sobą pozory słuszności, zarzutom faryzeuszów i nauczycieli zakonnych: „Nie przyszedłem rozwiązywać Zakonu, ale go dopełnić“. Chodzi przytem, oczywiście, nie o formy i praktyki kultu mozaistycznego, jak zwłaszcza ofiary bydłobójne, które upaść musiały w następstwie spełnienia się Ofiary Krzyżowej, — lecz o istotę religii. Z kolei rozwój Kościoła samego zapowiedział Nauczyciel, między innemi, w przypowieści o ziarnku gorzycy, które: „najmniejsze jest ze wszystkiego nasienia, ale gdy urośnie, większe jest ze wszech jarzyn i staje się drzewem, tak, iż przychodzą ptacy niebiescy i mieszkają na gałązkach jego“. Postęp tedy w rozumieniu katolickiem i wogóle jedynie prawdziwem kładzie za warunek tożsamość natury ziarna z naturą wyrosłego zeń drzewa. Tem się tłumaczy, dlaczego katolicyzm stale i bezwzględnie odrzuca wszelkie surrogaty postępu, rozwinięte z obcych mu ziarn ideowych, które, ponieważ on sam jest prawdą, muszą być zarodkami błędów.

— Ależ to ekskluzywizm, na który nigdy się nie zgodzę! Więc wszystko bez wyjątku poza Kościołem było i jest błędem?! — zawołała p. Jadwiga z grymasem zgorszenia. Gdybym w to uwierzyła, musiałabym, chcąc pozostać w doskonałej zgodzie z Kościołem, wyrzucić z głowy większą może część swego balastu umysłowego, a z biblioteczki swojej wyrzucić i spalić za przykładem Omara większą część książek, o czem i pomyśleć bez zgrozy nie mogę.

Wyrzucić, żeby na to miejsce coś lepszego a trwalszego włożyć do główki i biblioteczki... Niech

się pani zbyt nie przeraża! Kościół nigdy nie propagował ani nie protegował omaryzmu, który oznacza tępienie wszystkiego poza religią. On uznaje naukę, on ją czei, hoduje, krzewi. Co więcej, uznaje rację bytu błędów, jako zła pożytecznego, jako zła, z którego on dobro wyciąga i które na dobro obraca. W myśl słów Apostoła: „Boć muszą być i kacerstwa, aby i którzy są doświadczeni, stali się jawni między wami“. Słowa te, rzecz znamienita i ciekawa, przytoczył Leon XIII na wiadomość o śmierci Renana. Nie należy tu jednak zapominać i o podobnych słowach Zbawiciela: „Albowiem muszą przyjść zgorszenia: a wszakże biada człowiekowi onemu, przez którego zgorszenie przychodzi!“

Na wzór i podobieństwo dogmatu: „Poza Kościołem niema zbawienia“, nie należy również postawionej przeze mnie zasady rozumieć zbyt materyalnie. Byli i są mędrzy i myśliciele niekatolicy, którzy potęgą nieskażonego namiętnościami rozumu wznosili się do naturalnych prawd chrześcijańskich. Jest to nawet dogmat Kościoła, że człowiek może dojść tych prawd samym tylko rozumem. Ojcowie pierwszych wieków chrześcijaństwa, którzy myśl chrześcijańską urabiali na Platonie, nazwali go ze względu na wzniosłą treść jego filozofii „Mojżeszem zgreczonym“, lubo z drugiej strony, ze względu na metodę jego filozoficzną, wynoszącą indywidualizm przekonań przeciwko rozsądkowi powszechnemu ludzkości, uważanemu słusznie za jeden z głównych probierzy prawdy, nazwali tegoż Platona „patryarchą kacerzów“, a dzieła jego „warsztatem wszelkich herezy“. Arystoteles, jakkolwiek na samym wstępie do przybytku filozofii katolickiej wieków średnich spotkał się z powściągliwą

podejrzliwością ze strony Kościoła, doszedł jednak u scholastyków do takiej powagi, że go „Filozofem” par excellence nazywano. Sokrates uchodzi za zwiastuna etyki, Pythagoras — ascezy chrześcijańskiej. Przy sposobności zauważę, że słynny moralista „niezależny”, Payot, wbrew dawniejszym nieco, a i dziś jeszcze pokutującym w wielu „postępowych” głowach (piję do p. Ludwika), poglądom o „morderczej” ascezie, uznał wiele katolickich praktyk ascetycznych, jak: umartwienia, medytacje i rachunek sumienia, za konieczne dla wykształcenia charakteru i siły woli. Jak to odbija od przytoczonego w ciągu tej dyskusji zdania Nietzschego o powywieszaniu moralistów! Ale bo też to była głowa rozklekotana, jak koła u wozu w czasie posuchy...

Dowodzenie księdza sprawia mi żywą satysfakcję, trafia mi do przekonania rozkosznie — przerwała pani domu. Kiedy Rousseau wzywał do powrotu na łono natury, potępiwszy cywilizację, zachwycono się, doktrynę jego wprowadzono w modę; kiedy Ruskin przeklinał kominy fabryczne, unoszono się nad nim; kiedy Nietzsche ogłosił brutalny arystokratyzm, palono mu kadzidła: niechby kto w imię katolicyzmu z czemś podobnem wystąpił!...

P. Jadwiga znowu, jak duch przeciwności, wtrąciła:

— A mnie wywody księdza bynajmniej rozkoszy nie sprawiają...

Jeden i drugi efekt zarówno mię zadawała: każdy ma to, na co zasłużył. Ciągnę dalej:

Podobnie, jak to sam dopiero co uczynilem z Payotem, pisarze i nawet kaznodzieje katolicycy przytaczają na poparcie prawd wiary wielu myślicieli

nowożytnych, poza- i przeciwkatolickich, nie wyłączając samego patriarchy oświeceńców XVIII wieku, Woltera, którego samo imię brzmi w uszach katolickich złowrogo. Gdyby też kto zadał sobie benedyktyński trud zebrania zdań dodatnich z pism wrogów Kościoła, zdołałby bodaj ułożyć z nich dość pełną mozaikę apologetyczną. Zauważyć jednak muszę, że myśliciele nowopogańscy wychodzą na ogół niekorzystnie na porównaniu ze staropogańskimi. Dziwne to z pozoru zjawisko tłumaczy się po prostu złośliwą tendencją przeciwkatolicką, która się okazuje tak bardzo złym przewodnikiem prawdy, nawet w dziedzinie nauk ścisłych. Powiedziano trafnie, iż gdyby ludzie mieli najmniejszy w tem interes, zaprzeczyliby zasadom geometrycznym Euklidesa (Hobbes). Otóż Kościół w nauce swojej przedstawia wyjątkowo wiele interesu moralnego i umysłowego dla ludzi złych, przewrotnych i głupich, żeby mu zaprzeczano. Zapowiedział to w duchu proroczym starzec Symeon, gdy trzymał na ręku Dziecię Jezus w świątyni jerozolimskiej: „Oto Ten położon jest na znak, któremu wielu sprzeciwić się będą“. Póki tedy nie było Kościoła, nie było i powodu wyjątkowo silnego do złośliwej negacyi. Z chwilą jednak wystąpienia Kościoła na widowni dziejów, pojawiła się wraz i szczególna złośliwość przeczenia uznanej prawdzie chrześcijańskiej. Klasycznym przejawem jej w murszejącym Rzymie Cezarów, kiedy w katakumbach dojrzewał Rzym Papieski, był skomponowany przez pogan bluźnierczy rysunek Chrystusa z ośłą głową, jako rzekomy przedmiot kultu chrześcijańskiego. Prawdziwie ośle bluźnierstwo! Obiegała też wśród pogan plotka oszczereza o zjadaniu dzieci przez chrześcijan: tak

rozumiano sakrament Eucharystyi, jako Komunię... A czegoż nie dokazywał Julian Odstępca, żeby chrystyanizm poniżyć, zubożyć materyalnie i umysłowo, ośmieszyć, w końcu zniszczyć?! Wzbronil chrześcijanom wykładów nauk klasycznych w szkołach ich własnych, zamknął im dostęp do wyższych uczelni państwowych, zakazał im wogóle zajmować się naukami wyzwolonemi. Wiek nowożytny jest takim zbiorowym Julianem Odstępcą. Przejął jego „kulturalne“ metody prześladowcze, naśladuje jego przewrotność, powtarza jego gwałty. Cóż innego czyni ochrzczony w Prusach, światowy dziś Kulturkampf? Albo krakowska antizimmermaniada, robota Tow. etycznego, jednej z maskowanych ekspozytur masoneryi? Lecz i ten wiek kiedyś w rozpacz o zniszczone dzieło swoje zawoła: „Galilae, vicisti!“

Oburza panią ekskluzywizm katolicki. Ależ wypływa on logicznie z samego charakteru katolicyzmu, jako prawdy. Podobnie ekskluzywny jest zresztą każdy inny światopogląd, przeciwny chrześcijańskiemu. Wszystkie one, za wyjątkiem najniedorzeczniejszego z nich liberalizmu, mniej lub więcej wyłączają przedewszystkiem katolicyzm, podając same siebie za jedyną i całkowitą prawdę. Szerokość ich, którą one same sobie, w przeciwieństwie do „ciasnego“ katolicyzmu, przypisują, polega na fatalnem złudzeniu, wynikającym z przyjęcia podawanego za prawdę błędu, który my odrzucamy i przeto jakoby ciasniejemy. W istocie rzeczy, one raczej są ciasne i wąskie, skoro odrzucają olbrzymią prawdę katolicką, razem z jej pierwiastkami czysto rozumowemi i naturalnemi. Każdy z nich, stosownie do swego jednostronnego punktu wyjścia, patrzy na świat pod ściętno-

nym kątem widzenia, ograniczonym przez materję (materyalizm), naturę (naturyzm), rozum (racjonalizm), społeczeństwo (socjalizm) i t. d.; podczas gdy szeroko rozwarty kąt widzenia katolicki obejmuje, uznaje i harmonizuje między sobą wszystkie te części, na które wszechprawda została przez antykatolików różnego autoramentu rozparcelowana i które oni za pełne prawdy ogłosili. Dochodzi do tego, że pewna szczegółowa nauka puchnie w myśli jej fanatyków do rozmiarów wszechwiedzy. Tak właśnie, zagrzebany po uszy w gwiazdźiarstwie Flammarion—nie więcej poza niem nie widzi i nie uznaje. „Astronomia”—powiada paryski astronom-filozof—jest wszystkim: poza nią niemasz nic, obok niej błąd tylko istnieje“. Coś podobnego stwierdza Reville o panbabilonizmie Jensena: „... zachodzi tu rzeczywiście przypadek patologiczny *idée fixe*. Trudnoby znaleźć wyborniejszego przykładu niebezpieczeństwa, jakie sprowadza przesadna specjalizacya. Dla Jensena istnieje na Wschodzie starożytnym jedynie pierwiastek babiloński. Kto nas uwolni od niedorzecznej przesady pewnej liczby asyryologów!“

Sprawa ciasnoty światopoglądów, rozwiniętych z założeń naukowych specjalnych, jest przedmiotem świetnego traktatu społecznego filozofa francuskiego, Józefa Serre'a, p. n. „*La religion de l'esprit large*“. Religiją umysłu szerokiego, w konkluzyi wywodów autora, jawi się katolicyzm. „Niedowiarstwo, mówi ten świetny, ale nieznany, bo katolicki, pisarz, prawie zawsze wypływa z ciasnoty umysłowej, jest krótkowidztwem oka, brakiem szerszego horyzontu. Stąd ów olbrzymi wylew niedowiarstwa, że nauka zasklepiała się wyłącznie w materyi. Pojęta w ten sposób nauka jest ciasna, jest też antykatolicka. Katolicyzm—oto

godło umysłu szerokiego: jest to wielkie słowo bez granic, całkowite, boskie“. Katolicyzm, dodam od siebie, jest dziś, jeśli nie jedyną, to z pewnością najsilniejszą, niezwyciężoną twierdzą wiary w Boga, co już samo jedno przemawia za nim, jako za prawdą pełną i boską. Do niego też w chwilach krytycznych nawraca zwykle błądząca poza nim myśl „wolna“ i „postępowa“. Zawołać trzeba za jednym z Ojców Kościoła: „O fortunatos nimis, sua si bona norint, christianos!“ - „O szczęśliwi nad miarę chrześcijanie, gdyby dobra swe znali!“

— Jeżeli jednak i w poganizmie jest coś prawdy, -- krytykowała p. Jadwiga — to nie można go w czambuł mianem błędu piętnować?

— Gdybyż pani miała tyle krytycyzmu w stosunku do przeciwników Kościoła, ile go ujawnia względem jego obrońców!... Ale się wytłumaczę. Co innego jest przyznać okruciny, nawet odłamy prawdy myślicielom poszczególnym; co innego jest wydać sąd ogólny o całokształcie panującego w danych czasach i danym społeczeństwie światopoglądu. Kruszyina kwasu chlebnego zakwasza całą masę ciasta. Podobnie błąd zakaza prawdę, tak, iż ona cała własnościami błędu zostaje przejęta, przenikniona. Błąd zresztą musi mieć prawdę za podścielisko, inaczej nie ostałby się sam przez się, jako pusta, na wiatr rzucona negacya. Prawda bowiem jest afirmacyą tego, co i jak jest rzeczywiście; gdy błąd jest zaprzeczeniem jej twierdzenia. Jest on pasorzytem prawdy. Stąd właśnie i złośliwość błędu nowożytnego większa i on sam potężniejszy, niżeli błąd starożytny, bo w katolicyzmie pojawiła się większa i potężniejsza, niż kiedykolwiek, afirmacya. Stąd również prawda (nie mówię tu o prawdach naukowych, empi-

rycznych, które zwykle błąd raczej poprzedza) zawsze jest pierwsza, gdy błąd przychodzi dopiero ją zwalczać. Skąd znowu wynika, że prawda jest w prawach posiadacza i przeto na przeciwnym jej błędzie spoczywa cały ciężar dowiedzenia domniemanej jego słuszności, tak zwany w logice „onus probandi“. Bo jeszcze zauważyć trzeba i to, że błąd w swoim podmiocie, t. j. umyśle błędzącym, zazwyczaj podaje się za prawdę, czyli, innemi słowy, jest prawdą subiektywną. Nie chodzi wreszcie o jego formę, która może być twierdzącą, lecz o jego istotę, będącą zawsze w stosunku do prawdy przeczeniem. Wystarczy obecnie zastosować te zasady ogólne i oderwane do konkretnego faktu katolicyzmu, jako pełności prawdy, aby wszędzie poza nim ujrzeć i uznać same tylko błędy, zwłaszcza gdy i te cząstki prawdy, które się poza katolicyzmem znajdują, są jego własnością prawowitą, ile że on pierwiej je posiadał. To też nam tłumaczy owe fakty adoptacyi katolickiej „zgrezczonych Mojżeszów“ i zescholastycyzowanych Stagirytów (Arystotelów).

— Wiem, że mię ksiądz za to, co powiem, znowu potępi odezwała się, cała płonąca oburzeniem, p. Jadwiga. — Powiedzieć jednak muszę, com w tej chwili pomyślała, że niezem zachłanna zaborczość polityczna Rzymu Cezarów wobec zaborczości duchowej Rzymu Papieży, którego wyraziciela widzę w księdzu!

— Zachwycająca dobra wiara w błędzie rozbraja mię, a rozgrzesza panią w moich oczach. Powiem nawet, że pani rzekła prawdę, jeno ujrzała ją w antypatycznym, szczególnie dla nas, Polaków, świetle zaborczości politycznej. Postaram się sympatyczniejsze rzucić na nią blaski. Rzym Papieży jest rzeczywiście zaborczy duchowo, jak się sama pani wyraziła. W inter-

pretacyi katolickiej znaczy to, że Roma papieska pożąda władztwa dusz, i nie dla siebie, lecz dla Chrystusa. Tak zaboreza, tak w końcu światowładna musi być Prawda, jeżeli tylko w duszach ludzkich instynkt prawdy nie zwyrodniał, nie zanikł. Tak zaboreczy jest sam Bóg, dzierżący wszystkie berła świata, albo lepiej berło nad berłami: „Cesarz Nieba“, jak lubił Go nazywać boski Dante, zwolennik monarchii powszechnej... Ach! pani, jako gorąca patryotka, przypomniała sobie słówko straszliwe, które dyabeł podpowiedział kończącemu improwizacyę Konradowi z „Dziadów“, i chciałaby je w twarz miotnąć Dante-mu? Nie mieszajmy tu pojęć, które okoliczności przywizały do skróconej odmiany słowa w wyrażeniu dantejskiem... Otoż jeżeli uznajemy w katolicyzmie pełność prawdy, musimy przyjąć konsekwencyę, które z pojęcia o pełności prawdy wypływają. Katolicyzm w samej nazwie swojej nosi znamię panowania *powszechnego*, światowładnego. Tak samo prawda wogóle jest powszechna, to znaczy *katolicka*.

Czy oburzały panią, kiedy je pani czytała, słowa w „Quo vadis“, któremi autor daje wyraz myślom Piotra Rybaka, kiedy tenże proroczo uświadomił sobie posłannictwo Romy: „A Piotr zrozumiał, że ni cesar, ni wszystkie jego legie nie zmogą prawdy żywej, że nie zaleją jej ni łzy, ni krew, i że teraz dopiero (z rozpoczynającym się prześladowaniem nerońskim, które zapaliło Świeczniki Chrześcijaństwa) zaczyna się jej zwycięstwo. Zrozumiał również, dlaczego Pan zawrócił go z drogi: oto to miasto pychy, zbrodni, rozpusty i potęgi poczynało być jego miastem i podwójną stolicą, z której płynął na świat rząd ciał i dusz“. Albo te drugie, kiedy już pierwszy

Papież szedł z lochów Mamertyńskich na Janiculum, żeby się poddać męce ukrzyżowania głową na dół: „Panie, kazałeś mi podbić ten gród, który panuje światu, więcem go podbił. Kazałeś mi założyć w nim stolicę swoją, więcem ją założył. To Twoje miasto teraz, Panie!...“ Czy panią te wspaniałe w swej prawdzie słowa oburzały, kiedy je pani czytała?... Oto blaski słowa, już nie moje, ale sienkiewiczowskie, rzucone na „zachłanną zaboreczność“ Papiestwa, to jest wogóle Kościoła. Oto w przedstawieniu Sienkiewicza Wieczna Urbs, rodząca się na duchową stolicę Orbis...

— Wyrażenie księdza o Bogu, jako dzierżącym wszystkie berła świata, wtrącił p. Ludwik — przypomina mi bożyszcze japońskie, którego rysunek kiedyś widziałem, z kilkunastu parami rąk, a w każdej ręce berło.

— To ma kompromitować chrześcijańskie pojęcie o Bogu — rozumiem! Mimowoli jednak dał mi pan możliwość okazania na przykładzie prawdziwości tego, com mówił o stosunku katolicyzmu do wszystkich innych wierzeń i światopoglądów. W owem bożyszczu japońskim widzimy jeden ze szczątków rozbitej w pogaństwie, a starej jak świat, idei monoteizmu. Mniejsza o naiwność symbolizmu w wyobrażeniu japońskiego bożyszcza: chodzi o treść jego wewnętrzną, która jest w gruncie rzeczy chrześcijańska, jakkolwiek synowie Wschodzącego Słońca nie są tego świadomi. Tak samo starosłowiański Światowid, bóg bogów, czczony szczególnie w Arkonie na Rujnie (Rugii), klasycznej ziemi mitologii słowiańskiej, miał cztery głowy, wyrażające myśl zupełnie chrześcijańską, że Bóg wie i widzi wszystko. Widzimy też tu tolerancję

katolicką, wyszukującą wszędy podobieństw, pokrewieństw i wspólności, które muszą być wszędzie i zawsze w jednorodnych zjawiskach duszy ludzkiej,—jak niemniej upatrującą w nich mądrze punktów oparcia dla gorliwości apostolskiej. Tak Paweł Apostoł, stanawszy w areopagu ateńskim w obliczu arystokracji umysłowej grodu Pallas Ateny, do opowiadania Ukrzyżowanego wziął za punkt wyjścia—poświęcony tamże ołtarz „Nieznajomemu Bogu“. „Którego, nie znając, chwalicie, ja wam opowiadam“ — rzekł genialnie. W tej mowie swojej powołał się przytem na słowa dwóch poetów greckich, Aratusa i Kleanta: „Bożym rodzajem jesteśmy“.

— Powiedział ksiądz, zabrała głos p. Jadwiga po chwilowem milczeniu powszechnem — że wszelka prawda należy do katolicyzmu: a Kopernik?!... a Galileusz?!

— Obaj byli jak najlepsi katolicy; Kopernik był nawet księdzem, kanonikiem i omal nie biskupem, proszę pani... Kwestya jednak dość poważna, choć tysiąc razy wyjaśniona. Nie chcę zbywać jej żartem. Nie będę też pani wyprawiał do bezwyznaniowego Ciemnogradu. Mniemam, że nikt z pośród szanownych moich słuchaczy nie wierzy w bajeczkę wolnomyslicielską o krachu czy śmiertelnem potknięciu się Nieomyślności Kościoła z powodu zwycięskiej teoryi kopernikańskiej. Nie zbłądził Rzym, jeno zbłądzono w Rzymie, nie zbłądził Kościół, jeno zbłądzono w Kościele. Nieomyślność nie była tu zaangażowana, skoro nie tylko nie było wyroku *ex cathedra*, ale nawet nie było podpisu papieskiego na dekrete Kongregacyi Indeksu, która główne dzieło polskiego gwiazdziarza obłożyła cenzurą, zresztą dopiero w 73 lata

od daty jego wyjścia z pod tłoczni norymberskiej. Sprawa była domowa między katolikami: jedni głosowali za nową teorią heliocentryczną, inni przeciw niej, jak w wielu innych sporach naukowych, towarzyszących narodzinom nowych odkryć. Zwyciężyli więc nie wolnomyśliciele (w dzisiejszem tego słowa znaczeniu) przeciw katolikom, lecz katolicy przeciwko współwyznawcom. Twierdziłem, że wszelka prawda, istniejąca poza światem myśli ściśle katolickiej, należy także i do niego. Otóż teoria kopernikańska była rewolucyjną nowością w stosunku do panujących przed nią pojęć kosmograficznych: nowością, przedtem nikomu nieznaną, zaledwo co najwyżej przeczuwaną niekiedy przez umysły dzielniejsze; były to jednak nikle przeczuć płomyki, które nie zwróciły uwagi powszechnej, kiedy oto z genialnej głowy Kopernika narodził się cały uzasadniony systemat. Jak każda inna, tak i ta nowość musiała przejść przez krzyżowy ogień krytyki. Ostatecznie nowa prawda przyrodnicza weszła do przybytku Myśli katolickiej z tryumfem.

— Ksiądz Surowiecki jeszcze w początkach wieku XIX-go zwalczał teorię Kopernika na rzecz ptolomejskiej — zauważył nieco złośliwie p. Ludwik. — Dzieło zaś „*De revolutionibus orbium coelestium*” dopiero w r. 1822 usunięte zostało z Indeksu.

— Ks. Surowiecki, to jeszcze nie Kościół. Powiem więcej, że nawet o.o. jezuita spóźnili się z uznaniem i wprowadzeniem do swoich szkół teorii słońca środkowej. Onego czasu, św. Tomasz Akwinateński, potem także jego uczniowie zwalczali późniejszy dogmat Niepokalanego Poczęcia, więc prawdę czysto religijną, z dziedziny, podległej bezwzględnie i bezpo-

średnio kompetencyi Kościoła Nauczającego. Tem łatwiej mogło się zdarzyć coś podobnego tam, gdzie chodziło o prawdę przyrodniczą, kompetencyi *takiej* niepodległą, mającą tylko luźną styczność z Objawieniem. Jak dalece ta prawda podlegała wątpieniu, dowodem fakt, że nawet znakomity Tycho Brahe był przeciwnikiem Kopernika i przeciw jego układowi świata postawił swój własny. (System, stanowiący coś pośredniego między systemami kopernikańskim a ptolemejskim: planety obracają się około słońca, które razem z niemi krąży dokoła ziemi). Nie wspominać już Lutra i Melanchtona, dla których Kopernik był kamieniem obrazy. Co się tyczy późnego usunięcia z Indeksu dzieła, które genialny autor dedykował był papieżowi Pawłowi III, to była to czysta formalność, gdyż teologia na długo przedtem się z niem pogodziła.

-- Powiedział ksiądz, krytykowała z chytrą minką p. Jadwiga — że niewiara jest złym przewodnikiem nauki. Tymczasem tu się okazuje, że wiara jest przewodnikiem nauki, jeśli nie złym zupełnie, to bardzo niepewnym.

— Nie wiara, lecz błędne rozumienie wiary: mianowicie, jak w danym przypadku, błędne pojmowanie, wbrew lepszej tradycyi kościelnej, stosunku Pisma św. do nauk przyrodzonych, skąd wyniknęło błędne rozumienie wiadomego tekstu z księgi Sędziów. Na myśl nowego poglądu kosmograficznego naprowadziło Kopernika pojęcie o Stwórcy, jako doskonałej Harmonii, która musiała znaleźć odbicie w stworzeniu. W kursie literatur słowiańskich Mickiewicz stwierdza za jednym z pisarzy francuskich, że nasz sławny astronom wpadł na swoje wysokie pomysły,

czytając Biblię. „Tanta est haec Dei Optimi Maximi fabrica!“ - wykrzyknął on w zachwyceniu nad swoim odkryciem: „Tak wspaniała jest ta Wielkiego i Dobrego Boga budowa!“ Jeżeli się wielu teologów zdezyorientowało, winą to racjonalistów i niedowiar-ków nowożytnych, którzy wyzyskiwali naukę Kopernika na szkodę Objawienia. Tendencyjność niedowiarcza odbija się o tęższe nawet głowy katolickie tendencyjnością przeciwniedowiarczą. To rzecz taka ludz' a, przemijająca, której niema żadnego powodu składać na karb pierwiastku Boskiego w Kościele. Na jego zaś tylko obronie tutaj zależy. Bezwyznaniowcy przywłaszczają sobie Kopernika przeciw Kościołowi prawem takim samem, jak niemcy czynią to samo przeciw polakom. Kopernik jest chwałą szczególną nie tylko Polski, ale i Kościoła. Polska dała mu ciało i wrodzony geniusz, Kościół dał mu na-tęchnienie i naukę, która była wówczas wszędzie katolicka.

— Gdyby nie ówczesny monopol naukowy katolicyzmu, inożeby teoria Kopernika łatwiej oraz szybciej zwyciężyła. Nauka powinna być zupełnie od wszelkich pęt wolna - wyrecytował sentencyonalnie p. Ludwik.

-- A ja powiem, że przy dzisiejszym monopolu wolnomyślicielskim, gdyby nie opór ze strony wierzących, tryumfowałby już dawno na całej linii ateizm, jako dogmat filozoficzny, wysnuty z nauki. Świadkiem rządowa szkoła francuska, gdzie ateizm narzuca się dzieciom. Jeżeli katolicyzm oddziaływa na postęp nauki, jak hamulec, to gwo-li najwyższym ideałom ludzkości, jakie przedstawia religia. Im szybszy pociąg kolei żelaznej, tembardziej mu potrzeba

hamulców. My dziś pędzimy w przyszłość z szybkością zawrotną. Błogosławione więc niech będą hamulce roztropności, ktokolwiek nas nimi zabezpiecza od katastrofy rozbicia lub wpadnięcia w przepaść! Wyjaśnić zresztą winienem, że Kościół bynajmniej nie zaprzecza nauce praw rozumnej wolności. Zwalcza tylko jej bezprawne uroszczenia i po prostu fałszerstwa, obrachowane z góry na otrzymanie ateizmu w ostatecznym wniosku filozoficznym. Jeżeli w średnich wiekach filozofia uchodziła za służebnicę teologii, to dziś jest ona niewolnicą niedowiarstwa.

— Wiara sprzyjała zawsze tworzeniu się legend, które czysta nauka rozwiązała — opierał się nauczyciel.

— Wolę legendy naiwne, tworzone w dobrej wierze, aniżeli legendy w rodzaju haecklowskich embryonów i Bathybiusów, albo büchnerowskiej hodo-wli specjalistów wedle potrzeby. Starożytne trytony, syreny, nereidy, średniowieczne gęsi drzewne, wi-szące dziobami na drzewach, jak gruszki, dalej: węże, mniuchy i dyabły morskie — były to istoty przynaj-mniej poetyczne, czego trudno powiedzieć o haecklow-skich protoplazmach i embryonach. A nauka czy-sta, która jedno i drugie rozwiewa, jest katolicka, lubo nie zawsze markę katolicką posiada. Dr. Den-nert wykazał, że na 300 najwybitniejszych uczonych z okresu ostatnich czterech stuleci, 242 wierzyło w Boga, przyczem większość ujawniała głębokie przy-wiązanie do religii. Prawdziwi uczeni są wogóle umiarkowańsi, roztropniejsi i uczciwsi, aniżeli ich popularyzatorowie, których słuchają tłumy i którzy właśnie w tłumach mają silną pokusę do nadużyć.

Panna Jadwiga i p. Ludwik, widzę, wyczerpali na razie strzały zarzutów ze swoich kołczanów. Ko-

rzystam z ich milczenia, żeby złożyć syntezę poruszonych tu zagadnień, które obracały się około idei ewolucyi. Buduję idealny gmach dwupiętrowy z głębokiem podziemiem. To ostatnie jest dziełem całokształtu nauk przyrodzonych, tych, które Arystoteles objął jednym mianem Fizyki. Pierwsze piętro, wsparte na sklepieniach fizykalnych, stanowi Filozofia, idealne dzieło rozumu ludzkiego, operującego danymi, których dostarczają nauki ścisłe. Z Arystotelesem nazwijmy je metafizyką, t. j. nadfizyką. Daje ono podstawę piętru drugiemu, które nazwać trzeba Teologią. Jest to nadbudowa nadprzyrodzona. Materiału do niej dostarczyło Niebo, narządzi do jego obrobienia dostarczył rozum ludzki, twórca Filozofii, budowniczym jest Kościół, robotnikami teologowie. Tam siedzibę swoją ma Wiara, najsubtelniejsze, najwyższe, najbardziej arystokratyczne z rozumnych uczuć ludzkich. Oto budowa harmonijna, pełna, odpowiadająca zarówno potrzebom człowieka, jak i twórczej idei Boga, którą człowiek w ciągu wieków w tej budowie odtwarza. Bo, jak powiedziała pięknie w Prologu do „Jadwigi“ Deotyma:

„... myślom ludzkim długich lat i wieków trzeba,
nim potrafią wyczytać jedno słowo z Nieba“.

A z Nieba jest wszystko, tak samo porządek przyrodzony, jak i nadprzyrodzony. Sam początek przyrody, polegający na powołaniu jej do bytu z nicości, jak również początek życia, jest poniekąd nadprzyrodzony. Człowiek, król stworzenia ziemskiego, w swoich aspiracyach mistycznych posiada zadatki i zaczyna nadprzyrodzoności. Jeżeli niema granicy-

muru między gatunkami bytów ustrojowych, tembardziej niema go w jaźni ludzkiej między przyrodzonością a nadprzyrodzonością. Człowiek stąpa po ziemi, a zanurza głowę w niebiosach. Pył marny, jeśli chodzi o słabość jego i znikomość cielesną w stosunku do ogromów kosmosu; olbrzym ducha w stosunku do wszechmateryi. „Praeambula fidei“, t. j. „przesłankami wiary“ nazwał nieśmiertelny Tomasz Akwinateński prawdy religii naturalnej, jak przedewszystkiem istnienie Boga i duchowość oraz nieśmiertelność duszy. Znowu cuda przyrody ukazały się genialnym oczom Augustyna z Hippony większymi i bardziej godnymi podziwu, aniżeli cuda we właściwem tego słowa znaczeniu, t. j. nadprzyrodzone. Jeśli, powiedział on, podziwiamy więcej te, niż tamte, to tylko z powodu ich rzadkości i niezwykłości. Chrystus przemienił wodę w wino? Co dziwnego dla wszechmocy Bożej, skoro stworzona przez Boga natura dokonywa tego stale na polach Południa, pokrytych winnicami? Rozmnożył chleby na puszczy? Ależ rozmnaża je On stale na łąkach, „pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem“. Wskrzesił przyjaciela swego, Łazarza, młodzieńca z Naim, córkę Jaira? Ależ On, Chrystus, jako Bóg, stworzył miłość przyrodzoną i polecił jej milionami powoływać istoty ludzkie do życia: „Rośnijcie i rozmnażajcie się“. Leczył cudownie? On wszak stworzył wszystkie leki, które poznaje medycyna, stworzył same władze poznawcze. Spełnił wreszcie akt miłości nadprzyrodzonej względem rodu ludzkiego w Samoofierze Golgockiej i zażądał podobnej miłości wzajemnej, z Boską poręką nadobfitego zato szczęścia w Bogu. Dziw to nad dziwy niepojęty, który jednak ma również w naturze ludzkiej swoje pod-

stawy, w jej nieumarzalnych tęsknotach do nieskończoności i doskonałości.

A ta płaska pseudonauka, która kiedyindziej podnosi indywidualizm do absolutu, każe mi się cieszyć po śmierci nieśmiertelnością i szczęściem nie indywidualnem, lecz w pokoleniach następnych!! Zgoda, że i to mogłoby być pociechą; ale, żebym się mógł tem cieszyć, trzeba, do kroćset! żebym żył sam i oglądał „nieśmiertelność“ ziemską i szczęście przyszłych pokoleń! Czułbym się nieskończenie pokrzywdzonym, gdyby koniec mój, obnażony z pseudonaukowych iluzji, miał być ten sam, co psa, kota, wymoczka i choćby trzystoletniego dębu. Dlatego chętnie wierzę w to, czego naucza Kościół, że jeśli muszę z tworam i niższymi podzielić śmierć naturalną, to tylko wskutek prazgrzechu, który odebrał rodzajowi ludzkiemu mimonaturalny dar nieśmiertelności fizycznej, udzielony prarodziom. Rodzajem Bożym z ducha, nie zwierzęcym, jesteśmy!

Suggestye religijnego wychowania? To czemu trafiły mi one do głębi duszy? Czemu się ich trzymam wytrwale, mimo ataków ze strony suggestyi przeciwnych, których jestem świadomy? Czemu te suggestye religijne są zjawiskiem powszechnem na łonie ludzkości w czasie i przestrzeni, na całej siatce geograficznej? Bo są one zgodne z naturą duszy ludzkiej, jak dwa kawałki jednej tablicy, bo dusza ludzka, jak powiedział już stary Tertulian głęboko, jest naturalnie chrześcijańska; wówczas gdy suggestye ateistyczne — to czyste, raczej brudne doktrynerstwo, które odczepia się od shołodowanych mu dusz przy silniejszych wstrząśnieniach moralnych i które może wprowadzić uwieść nawet tłumy, ale nie na długo,

nigdy na stałe, przenigdy całej ludzkości. Zarzucają nam, księżom, że mówimy tak, jak mówimy, bo musimy. Musimy istotnie, ale dlatego, że to nam nakazuje przekonanie. A wolnomyslecy muszą mówić tak, jak mówią, bo są niewolnikami ducha czasu, bałwochwalcami panującej mody, jak owi eleganci i elegantki, coby się spalili ze wstydu, gdyby wyszli na ulicę nie według mody ubrani.

Ewolucjonizm ateistyczny odcina od siebie najwspanialsze ogniwo nadprzyrodzoności. Marząc o nadczołowieczeństwie, zatrzymuje się u jej progu i odrzuca cudowne perspektywy przemian, wyanieleń. w życiu przyszłym. Katolicyzm go zatem prześciga nieskończenie w jego własnym kierunku. Widzi on wszędzie Mądrość, Wszechmoc i Miłość Bożą, rozwijające się w przyrodzie po szczeblach bytów coraz wspanialej i dochodzące w porządku nadprzyrodzonym do szczytu ⁸⁾).

— Serdecznie księdzu dziękujemy! — odezwała się pani domu.

— Dziękujemy!... Dziękujemy!... huknęli razem Zbyszko i Bolko, choć zrozumieli dyskusję piątą przez dziesiątą.

— Dziękujemy, dziękujemy! — potwierdził pan Artur, przebudzony widocznie z drzemki.

W tej chwili wszedł do salonu służący i zameldował „kolacyę na stole“.

— Chwała Bogu! — ożywił się pan domu. — Jestem głodny jak wilk.

— W samą porę, — tuszowała znowu pani domu — skoro dyskusya dobiegła do mety. Posililiśmy dusze, czas posilić i ciała. Proszę...

— Po wieczery będziemy mogli podjąć kwestyę wojny włosko-tureckiej i związane z nią zagadnienie Italii Zjednoczonej. To może więcej zajmie szanownego gospodarza?

— Owszem, z przyjemnością...

— Tem chętniej, — dodała p. Jadwiga — że ukulałam już nową strzałę zarzutu przeciw spodziewanym wywodom księdza. Z własnych jego słów na temat ewolucyi... Ciekawam odpowiedzi!

— W głowie pani, jak w Etnie, jest kuźnia pogaińskiego Wulkanu. Przychodzi tam pani, jak Ate-ne, i zamawia broń przeciw katolickiej Troi. Ale poniekąd to dobrze. Du choc des opinions jaillit la vérité. Przytem rodzaj zapowiedzianego zarzutu, nicia idei ewolucyi, nawiąże dyskusyę poprzednią z tą, która nastąpi. Wybornie!

— Więc pan — zwróciłem się do gospodarza — trzyma stronę Włoch przeciwko Wielkiej Porcie. A pani, panno Jadwigo?

— Ja, ze względu na wieszczbę Wernyhory o koniu tureckim nad Wisłą, wieszczbę, która skłoniła Mickiewicza do tworzenia w Turcyi legionów polskich, choć z bólem serca, lecz stoję przeciwko Włochom. Tem bardziej, że wojna zaczepna z ich strony jest niesprawiedliwą.

— Pobudka bardzo mistyczna, jak na główkę bardzo naturalistyczną. Jak w religii, tak i w patryotyzmie, widzę, rządzi się pani uczuciem, oddając rozum wyłącznie na usługi oderwanej od życia nauki, no i związanych z nią w przekonaniu pani zarzutów przeciw katolicyzmowi. Ciekaw jestem teraz, które uczucie stawia pani wyżej: religijne czy patryotyczne?

— A ksiądz — wymijająco zapytała panna Jadwiga — po której ze stron wojujących stoi?

— Zanim odpowiem na pytanie pani, wprzód wyreczę ją w odpowiedzi na pytanie własne. Dla pani, jak dla każdego nacjonalisty, interes narodowy jest trybunałem do spraw religii. Religia powinna się wysługiwać polityce narodowej, a ponieważ interesy narodów są sprzeczne, zatem każdy naród powinien mieć własną religię narodową, własnego boga, boga przez b małe. Z ducha tej teorii zrodził się w Krakowie pomysł, godny don Kichota, wystawienia legionu polskiego przeciwko Włochom⁹⁾. Ten duch każe się tureczyć i bisurmanić Czajkowskiemu i różnym Enwerbejom, z których jesteśmy dzieciennie dumni.

— Przecież rodzimy się polakami, a dopiero potem przez chrzest zostajemy chrześcijanami!

— Rodzimy się goluteńkimi ludźmi, dopiero wychowanie polskie czyni nas polakami. Chodzi zresztą nie o kolej historyczną, lecz o zasadę. Rzecz jaśniejsza nad słońce, że uczucie religijne, jako wszechludzkie, jest z natury swojej wyższe od najpiękniejszych uczuć narodowych. Bez religii nie dałby się nawet pomyśleć ideał braterstwa narodów.

— W imię ideałów religijnych, morza krwi zostały przelane!

W imię wspólności religii, narody się łączyły i bratały, jak w wojnach krzyżowych. Gdy najlepsza religia zwycięży ostatecznie wszystkie inne religie, wtedy ona zbrata ze sobą wszystkie narody.

Przewiduję zatem, że w wojnie obecnej ksiądz trzyma stronę katolickich Włoch przeciw muzułmańskiej Turcyi.

— Myli się pani... Wziąwszy rzecz na rozum,

jestem neutralny. Mojem zdaniem, jedna strona zasługuje na basarunek, druga na bastonadę, stosownie do narodowości... Mam też nadzieję (tu wchodzi w grę uczucie), że tak się stanie. Jakkolwiek Włochy zostaną panami Trypolisu, będzie on je drogo kosztował!¹⁰⁾ Nie osądzam zresztą Włoch zbyt surowo za ich rolę zaczepną. W dotychczasowem studyum etyki politycznej każde państwo silniejsze postąpiłoby tak samo. Niejedno pewnoby nie zachowało nawet pozorów przyzwoitości międzynarodowej jakie zachowały Włochy, proponując Turcyi pokojowe odszkodowanie. Czego jednak znowu nie poczytuję Włochom za osobliwą cnotę, chyba... dyplomatyczną, za którą w niebie niema nagrody.

— To ksiądz zostaje w sprzeczności z Papieżem, który nakazał we Włoszech modły publiczne na intencję powodzenia oręża włoskiego? — zauważył p. Artur, rad, że i on znalazł sposobność do wzięcia czynnego udziału w rozmowie i zadokumentowania swojego z niej zadowolenia.

-- Chybił pan, niestety, fatalnie, za co mu jednak jestem wdzięczny ogromnie. Dał mi pan sposobność do okazania, co to znaczy być czytelnikiem prasy wyłącznie liberalnej, a lekceważyć katolicką. Znaczy to, mówiąc niedyplomatycznie, dawać się wystrychnąć na dudka, ilekroć chodzi o sprawy kościelne i wogóle katolickie. Niech się pan atoli pocieszy: takich dudków, skądinąd nieraz bardzo szanownych, inteligencya polska liczy na dziesiątki i setki tysięcy. Wiadomość o rzekomych modłach była zwyczajną kaczka dziennikarską, a raczej maśońską. Celem jej było oburzyć przeciw Papieżowi Turcyę, która, jakkolwiek muzułmańska, ma po-

czucie tego, co byłoby ze strony Głowy Kościoła krokiem fałszywym, przeciwnym jej religijnemu, więc pokojowemu posłannictwu. Uświadomieni katolicy byli z góry pewni mętnego źródła i tendencyjnego charakteru tej kaczkii błotnej. Znając ducha rzymsko-katolickiego, nie można ani na chwilę nawet przypuścić, żeby Namiestnik Chrystusa, w naszych osobliwie czasach, usłuchał raczej głosu krwi, aniżeli powołania. Turcyja liczy wielu obywateli chrześcijan, zmuszonych stanąć zbrojnie przeciw chrześcijanom włoskim. Już z tego więc względu Papież nie mógł się okazać partyjnym narodowcem. Ale i względem Turcyi muzułmańskiej czuje się on obowiązany do uczuć ojcowskich, bo patrzy na nią, jak i na wszystkie inne kraje niekatolickie, jako na teren przyszlých podbojów na rzecz Chrystusa. Jeżeli od kogo, to przedewszystkiem od Głowy Kościoła należy oczekiwać i uczyć się polityki chrześcijańskiej, polityki miłości ku wszystkim narodom.

— Żal mi tej kaczkii, zabitej niemiłosiernie przez księdza — westchnęła p. Jadwiga. — Ona mi powiedziała rzecz bardzo miłą mojemu sercu, że Papież jest patryotą włoskim, jak nim być powinien, mimo zaboru Rzymu.

— Nie sądzono było, niestety, wyrosnąć tej kaczee, jak owej andersenowskiej, w łabędzia. Zbyt była kaczką, godną ustrzelenia. Jeżeli pani tak pragnie patryotyzmu włoskiego w Papieżach, nawet pozaborowych, to mogę ją zapewnić, że im go nie brakło i nie braknie, tylko w gatunku wyższym, niżeli sięgają serca nacyonalistyczne. Papieże podporządkowują uczucie patryotyczne uczuciom wszechludzkim, jak to i każdy chrześcijanin czynićby winien.

jak tego dziś uczy nawet etyka niezależna, np. przez usta Payota. I patryotyzm nietylko nie na tem podporządkowaniu nie traci, ale, owszem, w retorcie wyższego uczucia solidarności międzynarodowej wykształca się, oczyszcza, szlachetnieje.

— Juliusz Payot w swoim „Wykładzie Moralności“ — przerwał p. Ludwik — kładzie nacisk szczególny na bogactwa ekonomiczne sąsiednich narodów i wartość ich dla Francyi motywuje bardzo prozaicznie korzyścią jej materyalną, jako producentki na wielką skalę artykułów zbytku i posiadaczki, wabiącej turystów, górskiej Sabaudyi, oraz „Jasnego Brzegu“. Ładniebyśmy wyszli na tej teoryi, my, polacy, gdyby nasi sąsiedzi niemieccy wciąż w tem samem tempie wzrastali w potęgę ekonomiczną!..

-- A my jednocześnie gdybyśmy wciąż byli ekonomicznymi niedołęgami, t. j. arystokratami od chłopa do księcia — przerwałem p. Ludwikowi z kolei. — Nie dowodzi to jednak niczego za nacjonalizmem, a przeciwko dezyderatowi pomyślności sąsiadów. Dowodzi to tylko, że obok bogactw materyalnych trzeba koniecznie bogactw etycznych, t. j. sprawiedliwości i uczciwości, czego, o ile pamiętam, oraz o ile można wnosić z ducha jego etyki, Payot nie zaprzecza... Podejmijmy jednak z powrotem upuszczony wątek naszej tezy. Chce pani, panno Jadwigo, przykładu i zarazem dowodu wielkodusznego patryotyzmu Papieża? W roku 1896 armia włoska została zmasakrowana pod Aduą w Abisynii. Leon XIII obchodzić miał rocznicę swojej koronacyi, gdy wieść hiobowa o tej klęsce przyleciała do Rzymu. Papież kazał zaniechać uroczystego „Te Deum“. Podzielił żalobę narodową, jakkolwiek nie podzielał

awantury kolonialnej rządu i, co ważniejsza, jakkolwiek sam w osobie swego poprzednika był przez armię również włoską zwyciężony i osobiście ponosił następstwa dokonanej wówczas nad Papiestwem przemocy... Ale! proszę mi powiedzieć, panno Jadwigo, czemu to pani „z bólem serca“ oświadczyła się przeciwko Włochom z powodu wojny? niesprawiedliwość jej bowiem wymieniła pani tylko dodatkowo, jako argument „a fortiori“.

- - Bo przecież z Włochami daleko więcej, niżeli z Turcyą, wiążą nas węzły wielowiekowej tradycyi kulturalnych stosunków, oraz wspólnych walk na polu chwały!

— Tego właśnie wyznania oczekiwałem: tych „wspólnych walk na polu chwały“. To znaczy, że pani apoteozuje garybaldezyków polskich pod „włoskim Kościuszką“ — nieprawdaz? Bo w danym wypadku chyba nie tych szalaawitów, co szli z Bonapartem na Włochy, żeby na cudzej skórze, która nam nic nie zawiniła, „uczyć się wojny“, jak mówi Żeromski przez usta swego „Sulkowskiego“, a właściwie Żeromski, przecharakteryzowany na polskiego adjutanta Napoleona. W takim razie oskarżam panią o sprzyjanie masoneryi, zresztą, choć bardzo szkodliwe, ale i bardzo naiwne, bo bezwiedne i mimowolne.

— Herezya historyczna! bluźnierstwo przeciw-narodowe!

— Prędzej może taką herezyą i takim bluźnierstwem nazwaćby należało akt postawienia na-równi z Naczelnikiem, przypominającego raczej warchoła Mierosławskiego, kondotyera rewolucyi włoskiej, zorganizowanej przez masoneryę, która trakto-

wała zjednoczenie Włoch (zjednoczenie materyalne, okupione rozdarciem moralnem) jedynie jako środek do zgwałcenia Rzymu Papieży; a ten gwałt fizyczny uważała znowu za środek do obalenia samego Papieństwa¹¹⁾. Dla pani zapewne to wielka nowina, przepraszam! wielka herezya?

— Oczywiście, nowinka heretycka! Historia milczy o tem, co ksiądz powiedział. Jest to nieprawdopodobna potworność i trzeba mieć złe serce, żeby ją zarzucać uczeiwym i wielkim dążnościom Piemontu do zjednoczenia Włoch.

— Milczy o tem historia, komponowana na użytek liberalnych „delfinów“. Nie pozwala ona poczeiwym, łatwowiernym profanom, zahypnotyzowanym przez liberalizm, zajrzeć za kulisy dziejów, za którymi ukrywa się potężna i złowroga reżyserya masonska. Ba! może samo istnienie masoneryi jest dla pani, jeśli nie herezyą, to przynajmniej legendą?

— Cóż znowu? Jaki ksiądz złośliwy!

— Trudno nie „pisać“ satyry wobec tak kolosalnej łatwowierności z jednej strony, a takiego niedowiarstwa z drugiej... Ułatwia mi to bardzo moje zadanie, że jednak wieść o istnieniu masoneryi dotarła już do wiadomości naszej sławnej polskiej inteligencji, którą widzę w osobie pani...

— Ksiądz widzi więcej, niż jest w rzeczywistości, jak ten strach, co ma wielkie oczy. Masonerya istnieje, ale nie jest taka straszna, jak ją ksiądz przedstawia. W Polsce była ona bardzo patriotyczna.

— Nawet religijna! Należał do niej kochany Brodziński, Chrzciciel polskiego romantyzmu, tak przecie podniosłego religijnie; należał do niej Ta-

deusz Matuszewicz, minister skarbu za Księstwa Warszawskiego i tłumacz ksiąg „O Naśladowaniu Chrystusa”; należeli nawet pralacy i biskupi. Polacy bawili się w masoneryę, bo to było w modzie, dawało szyld wyższości umysłowej. My wogóle lubimy modzie hołdować i dlatego nie głębiej w nas nie przeniknie, lecz spływa, jak woda po gęsich skrzydłach. „Pawiem i papugą narodów” byliśmy i pono dotąd jesteśmy. Mistrzujemy też w patryotyzowaniu prądów umysłowych i społecznych, nawet kosmopolitycznych z natury. Spatryotyzowaliśmy więc onego czasu i masoneryę. Nie wiedzieliśmy tylko, wskutek własnej powierzchowności, żeśmy byli marionetkami w ręku braci łożowych wyższej rangi, wtajemniczonych w jej arkana, którzy theatrum z nas dawali dla zabawienia opinii narodowej, a tymczasem swoje za kulisami robili.

Pani nie wie, bo, żeby o tem wiedzieć, trzeba by czytywać dzieła lub przynajmniej czasopisma katolickie, że za czasów pruskich w Warszawie wolnomularze polscy kumali się z „braćmi” pruskimi: urzędnikami i oficerami, pomagając im w dziele germanizacyjnem. Rząd pruski darzył wolnomularstwo polskie swoją wysoką protekcją, tem więcej, że ono jednocześnie zwalczało nienawistny mu katolicyzm. To też kiedy szef policyi pruskiej w Warszawie, de Filly, posłał do Berlina raport, oskarżający loże warszawskie o spiski narodowe polskie, otrzymał odpowiedź uspakajającą, aby sobie tem głowy nie zaprzętał, gdyż owe knowania są jedynie pozorem, potrzebnym dla wyższych celów polityki państwowej.

Sam zresztą rząd Fryderyka Wilhelma III,

mniemając, że sam jeden trzyma końce nici swoich intryg politycznych, był narzędziem w ręku masoneryi. Dla niej dobre każde narzędzie, byle się dało użyć przeciw katolicyzmowi: jest ona antykatolicyzmem, antykościółem, i kiedyś wyda Antychrysta. „Momenty wszelkich wstrząśnień, czyto politycznych, czyto naukowych lub społecznych, powiada znakomity krytyk francuski, Ferdynand Brunetière, potrafi Wielki Wschód zawsze wyzyskać, jak sępy i kruki każde pobożowisko, dla własnego żeru wyłącznie“.

Proszę mi nie powoływać się daremnie na „Łukaszińskiego“ Askenazego, z jego wolnomularstwem patryotycznym. Mówię o wolnomularstwie rzeczywistem, które z natury jest kosmopolityczne w najgorszem słowa znaczeniu. Popiera ono i patryotów, poto jednak tylko, żeby ich namiętności narodowe podpędzać przeciwko Rzymowi. Proszę zauważyć, co za przewrotność potworna: sekta, z gruntu kosmopolityczna, razem z patryotami oskarża Rzym o kosmopolityzm, wówczas gdy on jawnie uznaje i uświęca wszelkie prawa narodowe, jest zaś kosmopolityczny o tyle, o ile katolicką nicią solidarności i braterstwa wiąże narody. Przypomina to złodzieja, który goni już nie na oślep, lecz wprost tego, kogo sam obrał, z okrzykiem: trzymajcie, łapcie!

Podobnie loże kierowały akcyą zjednoczenia Włoch, podniecając i wyzyskując uczucia narodowe włoskie dla swego celu, którym było zadanie Papieżowi rany śmiertelnej przez zabór Rzymu. Użyły królewskiej ambicji dynastji sabaudzkiej w osobie Wiktora Emanuela, jako narzędzia, żeby je w swoim czasie odrzucić precz, skoro tylko w następstwach jego wyznaczoną sobie rolę wykona. Niedawno prasa

włoska, naturalnie ta bezwyznaniowa i masońska, oklaskiwała upadek portugalskiego Manuela, potomka Wiktora, któremu dziś Włochy urzędowe wzniosły pomnik na Kapitolu, żeby podkreślić rocznicę zaboru Rzymu. Bracia pięciopromienni do czasu przestrzegają skrupulatnie zasady dyabelskiej, którą Skarga tak energicznie wyraził w słowach: „Nigdy dyabeł na nas odkrytem polem nie idzie“. Pan Artur, jako zawołany myśliwy, może ocenić siłę i dosadność skargowskiego wyrażenia.

— Rzeczywiście, świetne! Nie przypuszczałem, żeby świątobliwy Skarga umiał się zdobyć na taki dosadny obraz...

— Świątobliwość nie jest bynajmniej z natury mazgajowata. Rodzi ona silaczów ducha!... Wracam jeszcze do masoneryi. Czy pani, panno Jadwigo, która tak poczeiwie wierzy w masoński patryotyzm, czytała, że masonerya włoska była przeciwna wojnie obecnej?

— Pierwsze słyszę!

— Nowy dowód na to, że, chcąc być wszechstronnie poinformowanym, trzeba czytywać prasę katolicką. A wie pani, czem się tłumaczy ta postawa masoneryi? Także, oczywiście, nie! Otóż tłumaczy się to po prostu kosmopolityzmem sekty, która ma swoich członków także wśród młodoturków i nie chciałaby stracić na nich swego wpływu.

— Nie jest więc ona widocznie wszechpotężna, skoro nie zdołała wybuchowi wojny zapobiedz!

— Opanowała rząd włoski, nie opanowała jeszcze włoskiego narodu, który chciał Trypolisu, zatem i wojny.

-- To dlaczego w takim razie ksiądz życzy Włochom tureckiego basarunku?

Zasługuje na to naród, który dopuścił do świętokradzkiego zaboru ojcowizny św. Piotra i go toleruje. Stał się on przez to współwinnym razem z rządem. Nadzieję zaś, że się stanie wedle mego życzenia, czerpię z historyozofii chrześcijańskiej. Odnośny jej pewnik wysnuł Skarga z dziejów ludu wybranego, w słowach: „Poganom Pan Bóg na złych chrześcijan siły przyczynia“. Nawet i „chory człowiek“, jak nazwano Turcyę, teraz niby uzdrowiony i odmłodzony, a właściwie w nową wpędzony chorobę, może się dać we znaki, gdy go rozpali muzułmański fanatyzm.

— Ksiądz jest okrutny!

-- Przypominam, że sama pani oświadczyła się za Turcyą. Lecz mniejsza z tem: chodzi o zasadę. „Kogo Bóg miłuje, tego karze“ — orzekło Pismo. Pan Bóg niewątpliwie chce mieć naród włoski lepszym, chce, żeby spełnił, co mu nakazuje obowiązek katolicki względem praw Papiestwa do Rzymu. Kara bywa do tego bardzo pomocna, jak się okazuje z dziejów Izraela, którego Bóg miłował w sposób szczególny.

-- Czemu w takim razie ksiądz życzy włoskiej bastonady Turcyi, tej Turcyi, która jedyna z państw europejskich nie uznała rozbiorów Polski?

— Raz dlatego, że Turcyja muzułmańska jest w Europie intruzem, który się zasiadł na żywem ciele greków i słowian; powtóre dlatego, że dziś zostaje pod wpływem masoneryi, a tym sposobem z dwóch naraz ognisk fanatyzmu chwyta i rzuca głównie na podwładnych jej chrześcijan. Paniby

chciała, żeby, gdy się dwóch bije, obaj wyszli cało. Składając hołd kobiecemu jej sercu, obstaruję przy swoim dezyderacie, żeby raczej obie strony walczące wypisały sobie nawzajem na skórze pogładową lekcewą sprawiedliwości politycznej.

— Książdz jest, doprawdy, niemożliwy! Przecież Turcyą odmłodziła, odrodziła się przez konstytucyę!

— Podobnie, jak „konstytucyjna“ Rosya. Rząd młodoturecki, odmłodzony przez masoneryę, prześladowuje chrześcijan srożej od dawnego, absolutystycznego. Przedtem patriarchy chrześcijańscy posiadali pewną niezależność, mieli władzę nad szkołami i wogóle instytucjami narodowemi, oraz wymiar sprawiedliwości. Chrześcijanie nie dawali rekruta, jeno płacili pogłównę. Dziś wszystko odebrane — zniwelowane strychnulcem konstytucyjnym. Równocześnie w imię tureckiego nacyonalizmu następuje tureczenie wszystkiego i wszystkich, wali balwan reakcyi przeciw kulturze chrześcijańskiej. „Odrodzenie“ Turcyi, polegające na zastrzyknięciu w jej krew muzułmańską złośliwych zarazków ideologii żydowsko-masońskiej, jest dla niej niebezpieczne tembardziej, że ona i bez tego już chora, właśnie na krwiożercze a leniwe muzułmaństwo. Skazanej i tak na zagładę, masonerya upadek Turcyi tylko przyśpiesza.

A co do rozbiorów Polski, jeżeli polak wie, że ich nie uznała Turcyą, to polak-katolik wiedziećby powinien, że nie uznała ich także Stolica Apostolska, i dlatego powinien choćby przez wdzięczność nie uznawać zaboru Państwa Kościelnego.

— Wskrzeszenie Państwa Kościelnego jest rzeczą niemożliwą — wtrącił p. Ludwik. — Gdzieżby się podział król włoski, gdyby go wyrzucono z Kwiry-

nału? Papież ma swój Watykan, a Rzym jest naturalną stolicą włoską.

A wierzy pan w odrodzenie Polski? Niekoniecznie zresztą przez wojnę lub dynamitowe zamachy w myśl patryotardów Katerli. Wyżej oraz podnioślej pojmował patryotyzm Grottger, który wyłączył ze swojej „Warszawy“ karton p. t. „Plac Zygmunta“, wyrażający artystycznie żądę krwawej pomsty. „Warszawa“ też, jak ją charakteryzuje prof. Bołoz Antoniewicz, autor wybornej monografii o Grottgerze, „nie zna tego boga, wielbionego przez pieśń niemiecką, co to kazał rość żelazu“. Wierzy pan, pytam, w odrodzenie Polski, choćby na drodze przyjaznego porozumienia z odrodzoną Rosyą? Przecież to niemożliwość w warunkach obecnych! Czemu przykładać różne miary do spraw analogicznych? To metoda żydowska!

Gdzieby się podział król włoski? Mała troska! Wszak już na dziesięć lat przed historyczną datą XX Września, kiedy Piemont zrobił wyłom w Porta Pia, dziele Michała Anioła, stolicą Włoch był „prześławny gród u Arnowej fali“, jak mówi Dante, była liliowa Florencyja, Firenze la bella. Pałac Pitti był rezydencją królewską. Ale masonom potrzeba było koniecznie papieskiego Rzymu...

Tak pan dba o stolicę Włoch Zjednoczonych; a gdzież troska o stolicę świata katolickiego?! „Watykan?“ Wymysł masonski, to skurczenie Rzymu Papieży do terytorium watykańskiego i dobranie mu nowego miana, odpowiednio do zmienionych warunków politycznych. Utał się „Watykan“ i w ustach katolickich, gdyż odpowiada rzeczywistości obecnej, ale początek jego masonski, który powinien kato-

likom zawsze przypominać domagającą się rozwiązania kwestyę rzymską. Watykan! Przeciwwstawienie jego zowiemy Kwirynałem, ale ten kukuleczy Kwirynał, nie prawowity Watykan, panuje nad Miastem Wiecznem, historyczną stolicą katolickiego świata. Kwestya rzymska — to kwestya międzynarodowa, nie wewnętrzna włoska. Wszystkie państwa, które mają obywateli katolickich, zainteresowane w niej są, być powinny. A jeśli nie one, tedy katolicy wszystkich narodów na własną rękę powinni wytwarzać potężną opinię, wtórującą protestom Papieży. I tak czynią katolicy niemieccy, francuscy, angielscy; tylko chór polskich taki cichy, że ledwie go słyhać u nas, cóż dopiero na szerokim świecie! Głasć nas tylko świadoma jest tego obowiązku i wypełnia go wedle możności. Bóg wie nie czego domagamy się od wielkiego Więźnia watykańskiego i lada co, lada pozór wzburza nas przeciw niemu. Czego się pragnie, w to się i wierzy, a gdy się pragnie i wierzy, tedy się dokona. Katolicy ze św. Pawłem wierzą w „nadzieję przeciwko nadziei“. Odrodzi się duch katolicki, odrodzi się i Państwo Kościelne.

Więzienie Papieża jest całkiem dobrowolne — rzekł p. Ludwik. Gdyby Papież zrezygnował narazie z Państwa Kościelnego, co od niego samego zależy, skończyłoby się i więzienie, bardzo zresztą przestronne, miłe i wygodne.

Byłem jeszcze młodzikiem, kiedym się znalazł w towarzystwie i rozmowa toczyła się na ten sam temat. Pewna postępową dama odezwała się: „Chciałabym być takim więźniem, jak Papież“. Odpowiedziałem odruchowo: „Kiedym był dzieckiem, proszę pani, sądziłem tak samo“. W danym wypadku dzie-

ciństwo skojarzyło się ze złośliwością i dlatego stało się możliwe w osobie dojrzałej i nawet przejrzałej. Tendencyjna, ignorancka złośliwość prowadzi często do dzieciństwa. Więzienie „przestronne, mile, wygodne!“ A gdyby tak pana internowano podobnie na całe życie, bez nadziei wyzwolenia? Płacze pan zapewne przy każdej sposobności nad więzieniem Galileusza, choć nie było to także więzienie pospolite, lecz honorowe: „*honorifica detentio*“. Galileo miał „więzienie“ w willi pod Florencją i chwalił sobie wspa-
niałomyślność Papieża. Dla Stolicy Apostolskiej ma pan inną miarę, dlatego, że więzienie papieskie jest niby dobrowolne. Nowa naiwność, będąca skutkiem niewiedomości tego, co katolik oświecony wiedziećby powinien. Otóż należy wiedzieć, że Papieże od czasu zaboru Rzymu zmuszeni są moralnie do uważania Watykanu za więzienie. Zmusza ich do tego naprzód sam Kościół, który nie może, nie ma prawa się rzec, nabytego mocą rozwoju historycznego, Państwa, jako jedynej wystarczającej gwarancyi niezależności w sprawowaniu rządów duchownych nad całym światem. Papież, Głowa Kościoła, wykonywa przeto sam na sobie rygory, wynikające z owego postulatu. Składa ofiarę z osobistej wolności na ołtarzu dobra Kościoła. Czyni to dla nas, katolików, a wielu z nas jeszcze mu zato uraga! Z nas, którzybyśmy powinni być osobliwie skłonni do współczucia wszelkiej niewoli! Niestety, Stolica Apostolska znajduje się w pojęciu naszym na prawach wyjątkowych a tyrańskich...

Następnie, do samowięzienia znagła Papieży pozaborowych otoczenie wrogie dokoła, grożące przy sposobności niebezpieczeństwem obrazy Majestatu

Głowy Kościoła. Gwarancye nietykalności i bezpieczeństwa, udzielone Papiestwu przez rząd zaboreczy? Ależ on sam znajduje się pod władzą masoneryi, dzięki której powstał. Dlatego możliwy się stał, mimo gwarancyi specjalnej, napad na kondukt żałobny, przeprowadzający zwłoki Piusa IX z bazyliki Piotrowej do Św. Wawrzyńca za murami, przyczem usiłowano zrzucić je z mostu Św. Anioła do Tybru. Dlatego możliwe są bluźniercze i prowokacyjne mowy pana na Kapitolu, Nathana, żyda i masona, w rocznicę Wyłomu przy Porta Pia. Dlatego możliwa się stała gloryfikacya ohydnej, bo symbolizującej świętokradzki gwałt i brutalną przemoc, daty XX Settembre, nie tylko przez nadanie jej, jako nazwy, ulicom wszystkich prawie znaczniejszych miast włoskich, z Rzymem na czele, ale i przez kolosalny pomnik Wiktora Emanuela u stóp Campidoglio i związaną z nim wystawę jubileuszową, co wszystko jest po prostu nikiemnem naigrawaniem się ze zwyciężonego fizycznie Papiestwa.

— Ksiądz nie może sobie dać rady ze swoim sześciomorgowem „państwem kościelnem“, — wtrącił krotochwilnie p. Artur, — a cóż dopiero rządzić obszernem, prawdziwem Państwem Kościelnem! Może i lepiej się stało, że je Papieżom zabrano. Są swobodniejsi w rządach duchownych.

— Państwo Kościelne było politycznie zadowolane — dodał p. Ludwik. — „Oddajcie, co jest cesarskiego, cesarzowi...“

— Wystawa rzymska była dziełem kultury, więc jej nie można, jako takiej, potępiać — dorzuciła p. Jadwiga.

— Uf! *Nec Hercules contra plures...* Poproszę szanownych oponentów po kolei na ławę oskarżonych o grzeszną niewiadość. Naprzód proszę szanownego gospodarza. Proboszcz i biskup mogą się ostatecznie obejść bez swoich dawnych „państw kościelnych“, o ile byt materyalny mają zabezpieczony skądinąd. Inaczej z Papiestwem, gdzie nie chodzi o byt materyalny, lecz o interesy najwyższej wagi całego Kościoła: o niezależność w rządach duchownych, o czem już wspominałem. Fryderyk II powiedział, że żaden monarcha nie chciałby traktować z Papieżem, poddanym innemu monarchy. Co pierwszy oskarżony ma na swoją obronę?

— To, że pozbawienie Papiestwa władzy doczesnej wyszło mu na dobre. Kosztem utraty tej władzy wzrosła w oczach ludów powaga jego moralna.

— Podziękujmyż tedy i my naszym zaborcom, że zdjęli z naszych bark ciężar państwowości polskiej, albowiem kosztem jej utraty rozbłysła świetniejszymi niż kiedykolwiek blaskami literatura polska, sztuka zaś polska się narodziła. Wprawdzie wpadamy wskutek niewoli politycznej w wady i grzechy, dawnym przeciwne, a mniej od nich sympatyczne, ale na ogół z nich się leczymy... Upadek władzy doczesnej Papiestwa, niewątpliwie dopuszczony przez Opatrzność, ma również niewątpliwie na celu dobro Kościoła, lecz w taki sam sposób, jak wszelkie prześladowanie. Nie zasługa też to, ani cel masoneryi, która przez zburzenie podstaw materyalnych Papiestwa dąży do zwalenia bazyliki powagi moralnej, do zgębienia i pohańbienia Kościoła. Dziś w szkołach stolicy świata katolickiego trzeba walczyć o prawo nauczania katechizmu!

— A jednak Papieżom, razem z niezależnem terytoryum, pozostawiono tytuł królewski...

— Pozostawiono na razie, ale się dąży dalej, aż do zagarnięcia Watykanu i wygnania Papieża z Rzymu. Proszę z kolei na ławę p. Ludwika. Pius IX przygotowywał dla Państwa Kościelnego konstytucyę, i tylko złośliwe, nienasycone rozruchy wolnościowe, wszczynane sztucznie przez ukrytą za kulisami masoneryę, rozruchy, których ofiarą padł zasztyletowany minister papieski, hr. Pellegrino Rossi, a Pius IX w przebraniu zwykłego księdza zmuszony był ujść do Gaety, — te rewolucyjne i prawie nieustające rozruchy pod hasłem: „precz z Rzymem papieskim!“ — udaremniły szlachetne zamiary „bożyszcza Włoch“, jak w czasach spokojniejszych lud rzymski nazywał Piusa IX. Wciąż mało było ustępstw i swobód politycznych, gdyż pod ich pozorem dążono do wyparcia Papieża z Rzymu, co w końcu i głośno wyrażone zostało przez przekupione zgraje uliczne, jako niby wola narodu. A jakież to postępy uczyniły Zjednoczone Włochy? Do dziś istnieje tam pańszczyzna; nędza ludu, zwłaszcza na południu, niesłychana! Dodajmy do tego analfabetyzm, emigracyę (największą w Europie), wzrost alkoholizmu, podatków (o 50 %) i drożyzny, оголоcenie kraju z lasów, żyzne pola Kampanii, zamienione na stepy, etc. Albowiem rząd włoski zajmuje się raczej wielką polityką, która kosztuje miliony. Sam Rzym dziś lepiej się przedstawia, niż za czasów papieskich. Ale i pod rządami papieskimi zrobiłby przez 40 lat pewno większe jeszcze postępy. Wiele w końcu jeszcze mu braknie. Rzym najnowszy, królewski, to prawie koszary. O brudach nie mówię, bo to „enota“ wło-

ska wszystkich czasów. Słusznie Pius IX przyrównał Włochy Zjednoczone do Mszy żałobnej, że jak w niej, tak i w Italia Unitá, niema ni „Gloria”, ni „Credo”, ni benedykcyi, a zato jest długie „Offertorium”, co oznacza wzrost podatków. Wszystko to, razem wzięte, weale nie przemawia na korzyść rządów królewskich przeciwko papieskim. Natomiast z innych tytułów wypada tu zastosować raczej te drugie słowa Chrystusa: „Oddajcie, co jest boskiego, Bogu”. „Sprawa papieska, jak mawiał wspomniany hr. Rossi, jest sprawą Bożą”. Do tego przybywają prawa historyczne Papiestwa do Państwa Kościelnego ze stolicą w Rzymie.

Co drugi oskarżony ma na swoją obronę?

— Podobne prawa miały udzielne państewka włoskie, które padły konieczną ofiarą zjednoczenia Włoch. Tymczasem nikt się za nimi nie ujmuje.

— Podobne, ale i głęboko różne zarazem. Świadczy o tem sam fakt, stwierdzony przez pana, że gdy za tamtymi państewkami nie ujmuje się nikt, to Kościelne, choć upadło, porusza umysły całego świata. Wchodzi tu w grę czynnik religijny, nadprzyrodzony.

— „Królestwo moje nie jest z tego świata” — zastawiał się p. Ludwik.

Oklepane w tem obłudnem zastosowaniu słowa! Królestwo Chrystusowe nie jest z tego świata, ale jest na tym świecie i z materyalnymi warunkami jego liczyć się musi. Wszelka idea musi iść w parze z monetą, bez której nie da się urzeczywistnić. Nie postawi nikt kościoła, nie wyda książki, nie wymaluje obrazu bez pieniędzy. Gdyby wypadło stosować zacytowane przez pana słowa ewangeliczne

bezwzględnie, trzebaby było zaprzeczyć księżom, jako duchownym i sługom Królestwa nie z tego świata, prawa do przyjmowania pokarmów. Cieleśno-duchowa natura człowieka znajduje swoje odbicie we wszystkich jego dziełach. Najszczytniejsze ideały domagają się materyalizacyi, a to wymaga materyi. Tym sposobem, nawet materya w służbie ducha uszlachetnia się i uświęca. Państwo Kościelne jest materyalnym warunkiem moralnej wolności i niezależności Głowy Kościoła.

Poproszę teraz na ławę oskarżonych pannę Jadwigę. Stawiam twierdzenie, że polacy z pod zaboru pruskiego postąpili sobie niekulturalnie, bojkotując wystawę niemiecką w Poznaniu. Postąpili sobie w dodatku niepatryotycznie, skoro nie dali się na nią zwabić nawet Białym Orłem, zdjętym chwilowo z wieży poznańskiego ratusza.

— Wolno księdzu żartować!..

— Bynajmniej nie żartuję. Twierdzenie moje jest analogiczne z tem, które pani orzekła o wystawie rzymskiej. Jeżeli żartuję, to i pani także chyba żartowała? Porównajmy jedno z drugim. Zaborec Rzym królewski urządził wystawę jubileuszową pod bokiem Watykanu, potwierdzając i gloryfikując manifestacyjnie gwałt, dokonany nad Papiestwem. Z drugiej strony, zaborec Prusy urządzają wystawę w sercu Wielkopolski, żeby podkreślić przynależność jej do nich nie tylko polityczną, ale rzekomo i kulturalną, a tem samem przekreślić w oczach świata ten rdzenny szmat kraju polskiego ze szczerem. W obu tych bliźniaczych faktach manifestacja kultury była tylko środkiem do celu. Nad uporządkowanemi skupiskami okazji kultury powiewała chorągiew idei,

niegodziwej moralnie. To z gruntu zmieniało charakter obu wystaw i spowodowało słuszny ich bojkot. W obu też wypadkach bojkot się udał, przyczem w wypadku rzymskim Papieżowi sekundowała wyraźnie Opatrzność. Kogo nie wstrzymały od wyjazdu na wystawę rzymską względy moralne, tego wstrzymały laseczniki cholery. Zestawmy tu jeszcze znamienne szczegóły epizodyczne, towarzyszące obu wystawom, obchodzące zaś osobliwie nas, polaków. Na wystawie pruskiej była pokusa polska pod postacią Orła Białego i nie daliśmy się wziąć. Międzynarodowa wystawa rzymska, dbająca tylko o silnych tego świata, nie dała miejsca narodom ujarzmionym i w szczególności odmówiła go artystom polskim. Była więc raczej międzypaństwowa. Ta okoliczność powinna była zrazić polaków do wystawy rzymskiej, choćby tylko ze względów dumy narodowej. Pani tymczasem, panno Jadwigo, taka żarliwa patryotka... Co oskarżona ma ku swojej obronie?

Świeżo (r. 1911) zjazd naukowy w Peszcie powziął uchwałę, że w prezydyach mają być reprezentowane wszystkie narody kulturalne, przyczem tak samo, jak w Rzymie, utożsamiono narodowość z państwowością. W ten sposób Polska za jednym zamachem straciła przedstawicielstwo w zjazdach naukowych. Taki już duch czasu, na nieszczęście nasze!

Ten kiedyindziej ubóstwiany duch czasu, o ile zwraca się przeciw katolicyzmowi, nie obowiązuje wcale w Kościele. Na międzynarodowych kongresach katolickich, jak eucharystyczne i maryjańskie, polacy otrzymują w prezydyach reprezentacje oraz własne polskie sekeye¹²⁾. Grzech nie przestaje być grzechem, dlatego, że powszechny... Może jeszcze co

więcej oskarżona powie na swoją obronę? -- zapytałem, widząc, że p. Jadwiga płonie niecierpliwością dorwania się do słowa.

A Leon XIII nie pozwolił umieścić herbów polskich, także przez wzgląd na silniejszych! Co ksiądz na to powie?

— Gdzie nie pozwolił umieścić?

— Konopnicka napisała przed kilkunasty laty wspaniały protest.

— Słyszeliśmy, że dzwonią, ale nie wiemy, w którym kościele, nieprawdaż? A tonący brzytwę się chwyta... Przebaczam już pani sofizmat, polegający na wyjściu z kwestyi i odpowiadaniu zarzutem z innej beczulki na zarzut, którego nie można odeprzeć. Ale poco tonać i w dodatku kaleczyć się brzytwą, zamiast podać rękę gotowej do pomocy ręce? Oskarża pani Leona XIII na podstawie wspomniałego, prawda, artystycznie, ale szkaradnego moralnie wiersza Konopnickiej, nie wiedząc dokładnie, o co chodzi. Czytała pani i spamiętała jej protest, nie wie zaś nie a nie o protestach przeciw protestowi. W takich zwłaszcza warunkach powoływać się na Konopnicką, nie zasługującą na zaufanie, gdy chodzi o sprawy katolickie, to znaczy właśnie chwycić się brzytwy. Odbieram ją pani i wzamian podaję rękę ratowniczą.

Uprowadzając przewidziany na zakończenie wieku XIX całoroczny odpust jubileuszowy, postanowiono w Rzymie na jego pamiątkę wznieść ze składek międzynarodowych jubileuszowy kościół pod wezwaniem św. Joachima, jako patrona ze chrztu Papieża Leona XIII, Joachima Pecci. Narody katolickie miały w nim posiąść swoje kaplice. W roku 1896, kiedy

gmach już stanął, ale dużo mu jeszcze brakowało szczegółów zdobniczych, zwiedziła go Konopnicka: i na portyku, ozdobionym w tarcze herbowe w medalionach, nie ujrzała odpowiedniego medalionu polskiego. Zawrzało w jej sercu namiętne i kropnęła tyradę siarczystą, gdzie rzuciła gromy liberalnej klątwy na Papiestwo i ojców zmartwychwstańców, jako leniwych i zdradzieckich stróżów polskości w Rzymie. Tymczasem, jak to stwierdziły potem wyjaśnienia w prasie katolickiej, medalionu nie było tylko z powodu braku pieniędzy polskich na rzeczy polskie. Konopnicka nie dała na nie złamanego szelaga i potępiła, nie samą siebie, jakby należało, lecz Papiestwo. A ci z polaków, co ofiary składali, z jej powodu cierpieli, jako katolicy. Jest w onej świątyni kaplica polska, poświęcona, jak głosi napis: „Sanctis Poloniae“. Pożal się, Boże, jak ona wygląda ubogo w porównaniu z kaplicami innych narodów! Może i zato poweźmiemy urazę do Watykanu? Przypuśćmy jednak, że Leon XIII naprawdę nie pozwolił na medalion polski: czy wówczas przynajmniej możnaby mieć do niego żal i pretensyę? Znajac jego rozum i serce, należałoby taki wypadek wytłumaczyć powzięciem względu raczej na słabszych, żeby ich uchronić od następstw podrażnienia silniejszych. Po tem wyjaśnieniu, sędzę, byłoby okrucieństwem złośliwem z mojej strony, gdybym jeszcze chciał pytać panią, co może powiedzieć na swoją obronę. Chyba niewidomy (żeby nie powiedzieć: ślepy) patriotyzm...

Tak! — chwyciła się z zapalem innej brzytwy niepoprawna w uporze p. Jadwiga. — Na wypadek konfliktu interesów katolickich ze sprawą polską,

choć z sercem rozdartem, lecz poszłabym za nią przeciw katolicyzmowi!

— I, za przykładem szalonego bohatera tetmajerowskiej „Gry fał“, z rozdartem sercem wysadziłaby pani bazylikę św. Piotra w powietrze, gdyby tego było potrzeba dla zbawienia Polski...

— Tego powiedzieć nie chciałam. Wypieram się narzucanego mi szaleństwa.

— Konsekwencya obowiązuje, ale widać nie... pleć piękną i dlatego słabą... Przynajmniej atoli jest pani zapewne przeciwna katolicyzmowi rosyjskiemu i ma za złe Piusowi X, że oddał rosyanom kościół rzymski św. Andrzeja, metropolicie zaś mohylewskiemu, że im oddał kaplicę Maltańską w Petersburgu?

— Naturalnie, gdyż z biegiem czasu może upaść przegroda, jaką stanowi dotąd różnica wyznaniowa, dzieląca polskość murem ochronnym od dążności rasyfikatorskich.

— Otóż to wązki nacjonalizm tego samego gatunku, który tak żywo potępiamy w nacjonalistach rosyjskich, zwanych przez rosyjan rozumnnych „patriotami w cudzysłowach“. I tego samego jeszcze, któremu hołdowali faryzeusze żydowscy i który doprowadził ich do ukrzyżowania Chrystusa, rozbijającego obręcz wyłączności żydowskiej; a nas może doprowadzić do apostazyi od Kościoła. Centrum niemieckie bądźco bądź przemawia raczej za jednością religijną nieprzyjaznych sobie skądinąd narodów. Jeżeli zdarzają się centrowcy, usposobieni względem nas wrogo, to wbrew katolicyzmowi i mimo katolicyzmu¹³⁾. Ta przegroda, tak przez panią pożądana, toż w gruncie rzeczy nie innego, jeno nie-

nawiść wyznaniowa. Jest ona wprawdzie złym przewodnikiem dla tendencji rusyfikacyjnych, ale nie mniej złym także dla przyjaznego porozumienia. To chiński mur między narodami. Za dni naszych między Polską a Rosją istnieje już jedna platforma. Stanowi ją światopogląd bezwyznaniowy, reprezentowany przez partię kadecko-żydowską. Ta bowiem tak sympatyczna dla nas kadeterya okazała się zażydzoną i zżydzoną, zatrutą „ideałami“ wszechżydostwa. Garbatonosy i pejsaty Perseusz, uwalniający Andromedę od smoka! Zachowaj nas, Panie, od takich Perseuszów, mających ukrytą w zanadrzu intencję ożenku z wyzwoloną Andromedą polską czy rosyjską, na prawach męża-pana! Obok więc tej platformy musi powstać platforma katolicka, jeśli mamy się uchronić od bezwyznaniowych podarków politycznych. I, rola-ż to narodu katolickiego, przedmurza chrześcijaństwa, bronić od katolicyzmu sąsiada, zwłaszcza gdy on sam od niego się broni całą potęgą swej władzy? Nie byłoby to zrzeczeniem się swej naturalnej misji na rzecz włoskich Palmierich, i francuskich asumpeyonistów,¹⁵⁾ którzy nie zaniebabaliby jej pochwycić i z pewnością nie na korzyść naszą wyzyskać? Ach, katolicyzm jest dobry, byle służył Polsce, tylko Polsce! Marny to „katolicyzm“ taki polski, marny i „patryotyzm“! Weźmy oboje ostrożnie we wzgardliwe cudzysłowy, jak w szczypce, i wyrzućmy za nawias naszych pojęć i naszego życia...

- Niech nam ksiądz będzie łaskaw wytłumaczyć, -- zveksłowała taktycznie pani domu -- jak należy się zapatrywać na kwestję przeniesienia stolicy Papiestwa do jakiego innego miasta, np. Jerozolimy, jak to, wedle gazet, umyśliły zaproponować

Watykanowi jakieś sfery rzymskie. Czytałam w „Kurjerze“, iż jeden z kardynałów powiedział: „Jeżeli Turcyja obecnie się rozpadnie, to Papież zażąda dla siebie Ziemi św. z tytułem króla Jerozolimy, za co zrzeknie się pretensyi do Rzymu“. Mnie się zdaje, że byłoby istotnie rzeczą bardzo stosowną, ażeby Namiestnik Chrystusa przebywał tam, gdzie jest Grób Chrystusowy?

Mówiąc absolutnie i teoretycznie, byłoby to zapewne stosowne. Tymczasem jednak historia Kościoła, w której należy widzieć bezwarunkowo kierującą Rękę Opatrzności, na Stolicę Świętą wskazała i obrała Rzym. Już sam rozwój Państwa Rzymskiego, widziany w świetle historyzofii chrześcijańskiej, przedstawia się, jako opatrznościowe przygotowanie terenu pod rozwój Kościoła, który w samej nazwie swojej *rzymsko-katolickiego* nosi ustalone, trwałe i niezmiennie tej prawdy uznanie. O wyborze Romy na stolicę Kościoła zdecydował na zawsze Piotr, Książe Apostołów, Klucznik Niebieski, pierwszy Papież. Wiedziony koniecznością dziejową, przenosi swoją katedrę z Antyochii do stolicy ówczesnego świata, tam ją ustala i krwią swoją męczeńską zdobywa dla następców. Odtąd biskupstwo rzymskie i Papiestwo związały się węzłem nierozzerwalnym i, jak twierdzą powszechnie teologowie, z prawa nie kościelnego tylko, więc w zasadzie zmiennego, ale z prawa boskiego. Nie należy wprowadzić tego pojmować materyalnie, t. j. jakoby Papież nie mógł przebywać gdzieindziej, prócz w Rzymie. Chodzi zasadniczo o to, żeby był biskupem rzymskim, bo tylko ten może być prawowitym Piotra następcą.

Potwierdzają to dzieje t. zw. Niewoli Awinioń-

skiej, kiedy Papieże przez lat 70 mieszkali w Awinionie, mimo tego zaś byli biskupami rzymskimi. Te same jednak dzieje pouczają przytem, jak szkodliwe być muszą takich przenosin następstwa. Historia nazwała słusznie ten okres 70-letni „Niewolą“, bo rzeczywiście Papieże ówczesni podlegali przemocy wpływom królów francuskich, ze szkodą dla całego Kościoła. W tej też Niewoli upatrują historycy powód osłabienia powagi Stolicy Apostolskiej, a w dalszem tego następstwie — wielkiej Schyzmy Zachodniej, kiedy to przeciw Papieżom powstawali antypapież i gorszącą walką między sobą rozdawali i nawet *roztrajali* Kościół na wrogie sobie wzajem obozy, zwane „obedyencyami“. Stąd wreszcie krok był tylko jeden do pseudoreformacyi. Nawet więc ówczesna żywa wiara nie wytrzymała w rezultacie niemożliwego dziś zgorszenia.

Za naszych czasów, wobec wrogich Stolicy Apostolskiej knowań sekty międzynarodowej, nie jest niemożliwością, żeby Papież nie był zmuszony do ustąpienia z Rzymu. Mogłoby to nastąpić np. wówczas, gdyby rząd włoski, za poduszczeniem masoneryi, zażądał od Papieża przyjęcia poddaństwa włoskiego. W tym sensie, przedstawiciel niemieckiego Centrum, poseł Erzberger, powiedział: „W pewnych okolicznościach moglibyśmy popierać przesiedlenie się Papieża do Jerozolimy. Musianoby jednak mieć gwarancję: protektorat mocarstw nad Palestyną. Myśl nie dziwna. Przecież niedawno rozważano projekt oddania Papieżowi Alzacyi. Palestyna, państwem chrześcijańskim pod władzą Papieża, musiałbyśmy skłamać, gdybyśmy zaprzeczył, że cieszyłby się z tego: sądzą ze mną wszyscy katolicy“. Mojem zda-

niem atoli, Erzberger trochę przesadził, ujawniając, że niedostatecznie zdaje sobie sprawę ze strony dogmatycznej zagadnienia. Poza murami Rzymu Papież może być tylko wygnańcem, jakkolwiek z pozoru dobrowolnym, jak jest obecnie „dobrowolnym” więźniem Watykanu. Stąd możemy zmiarkować, że przytoczona przez panią wiadomość „Kuryera” jest pospolitą kaczką dziennikarską, jedną z tych, które wysiaduje, wylęga i puszcza na światowe wody sekta, mająca do czynienia z mopsami, żeby bałamucić dla swoich celów opinię katolicką.

Temat to wogóle, przedstawiający szerokie pole dla bujnej fantazyi. Nie pominęła go też fantazyja myślicieli i powieściopisarzy katolickich. Przenosząc się w czasy Antychrysta pod koniec świata, umieszcza ona ostatniego Papieża w Petersburgu, jak w „Powieści o Antychryście” Solowiewa; lub w Jerozolimie, jak to uczynił Benson (ksiądz katolicki, syn anglikańskiego arcybiskupa kantorberyjskiego) w powieści „Pan świata”. I tam nawet, gdzie się począł był chrystyanizm, masonerya ściga ostatniego Papieża we flotylli napowietrznej. Papież idzie na czele procesyi z N. Sakramentem, flotylla górą nadpływa i tak wszystkich zaskakuje złowrogi zmierzch słońca, zwiastujący koniec świata¹⁵⁾...

Dokądkolwiek tedy Papież może się schronić, zawsze będzie biskupem rzymskim i zawsze będzie uważał Rzym za swoją naturalną stolicę. Ta zasada stanowi niezłomną siłę moralną, której żadna przeemoc fizyczna nie zmoże. Pogłoski społeczne o rozmaitych projektach przeniesienia Stolicy Apostolskiej z Rzymu do Jerozolimy, Strasburga lub Marsylii pochodzą z kuźni masońskiej. Są to balony próbne,

badające opinię świata i przygotowujące ją do przyjęcia w swoim czasie „faktu dokonanego“, jak w swoim czasie przygotowały do zaboru Rzymu. Katolicy powinni wiedzieć, co o tem sądzić, i umieć przeciw temu reagować. Sprawa Papiestwa, to sprawa ich własna!

— Bardzo księdzu dziękuję — odezwała się pani domu z żywym uczuciem wdzięczności.

— Włochy powinny być dumne i rade, — dodałem — że mają na swej ziemi Papieża. To wielki, nieoceniony ich przywilej, mający nawet olbrzymią wartość ekonomiczną. Wart on stokrotnie ofiary z Rzymu i kawałka ziemi, któraby przez przynależność do Głowy Kościoła nie przestała być włoską. Tylko sekciarska zaciekłość może ten przywilej składać w ofierze Molochowi ateizmu, chrzczonemu dla głupców mianem Wolności i Postępu.

— Pora teraz na mój argument ewolucyjny — zabrała głos niezwykczona p. Jadwiga, która przyszła już do równowagi po doznanych pogromie.

— Ciekawym... słucham...

Dowodził ksiądz, że Kościół podlega nadprzyrodzonemu rozwojowi...

Tak, nie cofam swego dowodzenia...

— Jeżeli tak, to... to...

— To co?

Panna Jadwiga widocznie w ostatniej chwili zaczęła spostrzegać jakąś słabą stronę zapowiedzianego tryumfalnie dowodu. Gdy już-już miała go wcielić w słowo, zmateryalizować, ujrzała w nim niewyraźnie jakąś ryse, w którąby może dość było zlekka uderzyć, żeby się argument rozłupał, jak

orzech. Było już jednak za późno cofać się w rozpędzie. Z rozpaczliwą brawurą wykonała panna Jadwiga salto mortale:

— To ksiądz wpadł w sprzeczność sam ze sobą, dowodząc następnie praw Papiestwa do Państwa Kościelnego. Ono żyło i przeżyło się. Rozwój dziejowy uprzętnął je z powierzchni Włoch Zjednoczonych i Kościół prędzej czy później musi się z faktem dokonanym pogodzić.

— Już tyle razy w ciągu tej rozmowy mogła się była pani przekonać, jak niebezpiecznie jest kopać dołki pod zasadą katolicką, zwłaszcza, gdy się mimo tego jednocześnie chce stać na gruncie katolickim. Wpadła pani fatalnie we własny potrzask, zastawiony na mnie, jako obrońcę zasady katolickiej. Osterkiem analizy zaraz rozłupięmy ten włoski zjednoczony orzeszek, który mi pani dała do zgryzienia, i zobaczymy, że wewnątrz jest pusty. Rozwój Kościoła jest nadprzyrodzony; tymczasem rozwój polityczny, którego wypadkową stał się zabór Państwa Kościelnego, jest przyrodzony, ba! pogański. Tamten jest boski, ten, zważywszy na charakter czarnej sekty, jest, bez przerośni, dyabelski. Pytam: czy Kościół, rozwijający się z własnych swoich pierwiastków i na własnych podstawach, może przyjąć na siebie narzucone mu wyniki rozwoju dyamentalnie przeciwnego, w stosunku doń wstecznego? Dajmy pokój kultowi faktów dokonanych, my szczególnie polacy, dla których jest on mieczem obosiecznym!

Oto streszczony obrazek historyczny powstania i dziejów Państwa Kościelnego, ilustrujący to, com stwierdził w oderwanej zasadzie. Po wyjściu Koś-

ciola z katakumb, ten, który go stamtąd wyprowadził, Konstantyn Wielki, wobec blasku korony potrójnej, tyary, usuwa się dyskretnie do Byzancyum i tam stolicę swoją zakłada. Czuł, że dwum panom świata, jakkolwiek charakter ich władztwa był różny, za ciasno było w Rzymie. Później, po dokonanym rozdziale Imperyum na Wschodnie i Zachodnie, cesarze tej drugiej połowy obierają sobie rezydencję w Medyolanie lub Rawennie, zostawiając Miasto Wieczne Papieżom. Podczas wielkiej wędrówki narodów, wywołanej parciem Wschodu na Zachód, nawet wodzowie barbarzyńców, herulów i gotów, zakładają swoje stolice w podbitej Italii — w Rawennie lub Weronie. Tymczasem Cesarstwo Zachodnie, opuszczone przez prawowitych, ale zgnuśnialych swych władców, wydane na łup barbarzyńców, znajduje z konieczności obrońców w Papieżach, którzy potęgą i majestatem powagi moralnej wstrzymują przed murami Rzymu zapędy Aistulfów i Attyłów. Znajdują oni wreszcie obrońców przeciwko longobardom w osobie franków: Karolów Młotów, Pepinów, Karolów Wielkich. Z tych Pepin, prawem zdobywcy i obrońcy, funduje Państwo Kościelne, a Karol Wielki je zatwierdza. I dotąd trwa ono przez lat z górą tysiąc, raz tylko w ciągu tego czasu zgwałcone przez Bonapartego. Wyklóćby trzeba było sobie oko wiary, żeby nie widzieć Palca Bożego w tym rozwoju wypadków, oryentującym się tak przedziwnie ku stworzeniu Państwa Kościelnego.

Lecz oto wdała się w sprawę ręka piekieł i targnęła się świętokradzko na wolność i królewskość Głowy Kościoła. Zabór Państwa Kościelnego — to punctum saliens tej wielkiej wojny, jaką Piekło

wydało całemu Kościołowi na przestrzeni całego świata i którą prowadzi z całą zaciekłością, dążąc do jego zagłady pod wolterowskiem hasłem: „Ecrasez l'infame!“ Pogodzenie się Kościoła z faktem zaboru Rzymu, dokonany przez jego wrogów śmiertelnych, oznaczałoby przykładanie ręki do własnej zguby. Kościół może do czasu przegrywać materialnie, aby zato wygrywać moralnie.

— Chciałam właśnie powiedzieć to samo — podchwyciła, wciąż niezwalczona, p. Jadwiga. — A jeżeli tak, jeżeli bitwy, przegrane na polu świeckim, przyczyniają się do moralnego podniesienia Kościoła, to tylko życzyćby mu ich należało.

— Tak, prześladowania są Kościołowi pożyteczne; oczyszczają żywioł jego ludzki, hartują, doskonalą. Nie zapominajmy jednak razem z lubującym się w cierpieniach Kościoła Szechem, że my sami stanowimy jego cząsteczki, zatem trzeba i nam solidarnie cierpienia jego na siebie przyjmować, z nimi współzuć. Pani tymczasem, na wzór naszych, nie polskich katolików, lecz polaków katolickich, traktuje Kościół, jakby coś odrębnego, obcego, ba! poniekąd nawet nieprzyjaznego. Następnie, z pożytków cierpienia wynika bynajmniej obowiązek przyklaskiwania tym, co są ich sprawcami. Prześladowanie kogobądź nie może być też uważane za stan normalny bytowania, do jakiego dąży każda żywa istota, osobnicza i zbiorowa. Inaczej, musielibyśmy orzec, że Kościół nie powinien był wychodzić z podziemi katakumbowych na światło dzienne, oraz potępić Konstantyna Wielkiego, że go stamtąd wywiódł. Natomiast należałoby wysławiać Neronów, Dyoklecjanów i Trajanów, że okryli rodzący się w bólach Kościół chwałą

męczeńską i przyczynili się do jego wzrostu, skoro krew męczenników jest nasieniem chrześcijan. Oto ma pani wnioski ze swojego zarzutu. A ponieważ konsekwencya obowiązuje, zatem wypada pani zostać apostołką katakumb i, dla dania budującego przykładu, pierwszej tam zstąpić, zostawiwszy świat światu.

Jeszcze gorzej dla pani! Ucisk bywa w rezultacie pożyteczny nie tylko dla Kościoła, lecz równem prawem także i dla podbitych narodów: leczy je z wad, które były przyczyną ich upadku, i chroni od wynarodowienia. Powinnaby zatem pani pragnąć również ucisku dla...

— Niech ksiądz nie kończy!— krzyknęła p. Jadwiga i ukryła twarz w dłonie.

Panna Jadwiga płakała. Był-li to objaw wzruszenia patryotycznego, czy też ostatni argument zwyciężonej słabości?

Uznawszy raczej motyw pierwszy, rzekłem:

— Tak się reaguje przeciw samej myśli o ciemieniu tego, co się szczerze i gorąco kocha...

Mistrzujący zaś w sympatycznych żarcikach p. Artur, przyjąwszy widzieć motyw drugi, pośpieszył udobruchać płaczącą zapewnieniem, że i on czuje się dotkliwie pobitym, a przecież... nie płacze!

Wszyscy czujemy się zwyciężeni, oświadczyła z taktem, jak zawsze, pani domu — a jednak wszyscy jednocześnie wygraliśmy na uświadomieniu katolickiem. Zasługa to szanownego księdza — zwróciła się do mnie mówiąca, z dziękczynnym ruchem głowy.

— Byłem tu tylko przewodnikiem na gruncie prawdy katolickiej, którą znać wedle możliwości jest

moim obowiązkiem z powołania. Ale i wierni świeccy znać ją obowiązani, skoro nie sami tylko księża są stworzeniami religijnemi, przeznaczonemi do życia wiecznego: i znać ją winni w stopniu, odpowiadającym rozwojowi inteligencji oraz poziomowi wykształcenia w innych dziedzinach wiedzy. W przeciwnym razie, będzie w nich zawsze walczył człowiek normalny przeciw liliputowi religijnemu, aż do smutnej biednego liliputa przegranej. Staralem się wesprzeć i umocnić w umysłach szanownych swoich słuchaczy katolickiego kopciuszka, poskromić zaś niesprawiedliwą przemoc pogańskiego ojczyma, posługującego się prawem siły. Usiłowałem oczyścić zachwaszczoną wolnomyślicielskimi naleciałościami katolicką rolę waszych, szanowni państwo, dusz. To zachwaszczenie jest skutkiem jednostronnego a tendencyjnego czytelnictwa. Należałoby wypowiedzieć służbę tym „démolisseurs stupides”, jak Musset nazywał piszących trucielei jadem niewiary, którzy przeważnie obsługują nasze umysły z naszego własnego wyboru. Jak niegdyś Skarga, tak i dziś, w tonie jeszcze wyższym, skarży się Piśmiennictwo katolickie: „Obroku duchownego pełne są żłoby, ale niema biesiadników”. I nie tylko duchownego, w ścisłym słowa znaczeniu. Biesiadny stół literatury katolickiej zastawiony jest przysmakami wszelkiego rodzaju, godnymi dusz najsubtelniejszych. Trzeba tylko skosztować, żeby w nich znaleźć smak przedziwny, smak prawdy i czystego a wzniosłego piękna. Po ich spożyciu nie uczuwa się niesmaku moralnego, jak po alkoholizowanym namiętnością do złego szampanie chorej beletrystyki wolnomyślicielskiej, rozwiązłej umysłowo i moralnie ¹⁶). O jej autorach po-

wiedzieć można z Izajaszem: „Opuścili Pana, ... odwrócili się wstecz ... Każda głowa chora, każde serce żałosne“.

Postęp! Postęp! wołają. Znał go już prorok hebreów i płakał nad nim ... Co mówię! Używali go w pełni już ludzie przedpotopowi, używali go potem i sodomici, doszedłszy do szczytu „postępu“. Używały go także Pompeji, używała za naszych czasów Messyna. Postęp! Postęp! Za tem hasłem lecą owczym pędem zahypnotyzowane tłumy, tak, iż zdaje się chwilami, jak gdyby to było koniecznością, i koniecznością dobrą, oraz jak gdyby innych już ludzi nie było. Między mieszkańcami Sodomy za sprawą Opatrzności był sprawiedliwy Lot, żeby, jak powiada nasz złotousty Piotr: „nie mówili, już nie masz na świecie innych ludzi, jedno jako my, a bez takich zbytków człowiek żaden być nie może“. Świeciła im sprawiedliwością gwiazda Lota, niestety, daremnie. Miałaby los podobny spotkać i gwiazdę piśmiennictwa katolickiego? A w następstwie tego, społeczeństwa społeczne – los Sodomy i Babilonu, jakkolwiek w innej formie?

Wyrwać się z Paryża, tego dziś Babilonu, ¹⁷⁾ gdzie zepsucie rozlewa się brudnymi potokami wprost na ulice (zastrzegam się, iż uznaję, że i Babilon był żyrandolem świata), wyrwać się z tej waltorni europejskiej i znaleźć się za jednym rozmachem pociągu błyskawicznego na łonie Alp dziewiczych: co za rozkosz! Rozkosz cudownego wyzwolenia, odrodzenia, wyzdrowienia ... Jakbyś uciekł z pod wiszącej nad tobą klątwy: „Mane, Tecel, Ufarsim!“ Podobnej rozkoszy musi doświadczyć ten, kto, porzuciwszy lite-

raturę bezwyznaniową czy tak zw. liberalną, skapie się w krynicy dobrego dzieła katolickiego.

Postęp! Postęp! - raz jeszcze zawołam. Przypomina mi on mój zegarek, któremu co parę tygodni przybywa godzina czasu, wbrew wszystkim ciałom niebieskim, ze słońcem na czele. Pędzi, jak szalony. I pozwalam mu na to, bo choć jestem świadomy, że się śpieszy, jednak, ilekolwiek razy nań spojrzę, zawsze mam wrażenie, że się spóźnia, co jednak właśnie od spóźnień mię chroni. Tak i postęp, w pojęciu tego słowa specyjalnem i zmonopolizowanym, choć obecnie zaczyna tracić kredyt w sferach umysłowych wyższych, galopadą swoją sprawia wrażenie ruchu istotnie bardzo postępowego. Nie odpowiada on jednak rzeczywistości, jest złudzeniem zmysłów, które przytem nie da się wyzyskać na dobre, jak „postępowy“ zegarek, gdyż brakuje świadomości złudzenia, gdyż wierzy się w nie, jak w rzeczywistość. Katolicyzm posuwa się wolniej, lecz zato pewniej, bezpieczniej, nie po manowcach, z którychby trzeba było zawracać, lecz po linii prostej, wytkniętej przez Tego, który rzekł: „Jam jest Prawda, Droga i Żywot“.

- Któraż godzina u księdza? - zapytał w porę p. Artur, któremu, jako rolnikowi, pilno już było do łóżka.

Druga po północy! Okropność! Zmykam do domu.

— W rzeczywistości jest dwunasta.

- Nie, u mnie druga! Przepraszam za nadużycie cierpliwości szanownych domowników mojem gadulstwem, dziękuję za pilną uwagę, komu podzięka zato się należy, i żegnam!

— Dziękujemy i żegnamy! Prosimy o nas nie zapominać...

— Bóg zapłać... Panna Jadwiga niech gniewne łezki obetrze... A szanownego gospodarza uprzedzam, że go zmuszę do przeczytania pierwszego poważniejszego utworu w duchu katolickim: „Lekeyi Katolicyzmu w Salonie“...



(INTERMEDIETTO).

W ZAKRYSTYI. — PRZY KASIE. —
W KAWIARNI.





W zakrystyi.

W pewnem mieście prowincyonalnem, pewien dyrektor drużyny dramatycznej wystawił na scenie teatru miejscowego jakieś pornograficzne farsidło z rodzaju „roman de lit“, gdzie istotnie figurowały łóżka. Z tego powodu znany kaznodzieja miejscowy napiętnował z wyżyn kazalnicy katedralnej propagandę demoralizaeyi ze sceny polskiej. Na kazaniu był obecny kierownik drużyny, widać nie bezbożnik. Można sobie wyobrazić, jak nieszczęsny mienił się na twarzy, jak bladł i czerwieniał naprzemian, słuchając perory publicznej, oraz czując przez powieki spuszczone -- strzały spojrzeń na sobie... Po skończonem nabożeństwie, pan dyrektor postarał się o rozmowę z kaznodzieją, i nie poto, aby mu „nawymyślać“, ale, przeciwnie, aby się przed nim wysumitować. Otóż ciekawa ta sumitacya:

- Nie wiedziałem, -- rzecze -- aby to miasto było tak klerykalne!

- A więc walka z pornografią -- to już klerykalizm! Vogue la galère -- antyklerykalna! Jeśli tak dalej pójdzie, to nieza długo i najslabsze głowy

zwolnomyślnie zrozumieją, że klerykalizm to rzecz zdrowa, dobra i piękna, która mieści w sobie wszystko, co nietylko zbożne, ale i po ludzku szlachetne i uczciwe. Czem w takim razie okaże się antyklerykalizm? -- to już będzie zagadką dla nie-mowląt...

Przy kasie.

Rzecz dzieje się na dworcu kolejowym w Krakowie, przed kasą biletową klasy pierwszej i drugiej. Od strony *wyjścia* za baryerką *wchodzi* dama. W szeregu oczekujących swojej kolei od strony *wejścia* stoi ksiądz. Ujrzawszy damę, *wchodzącą wyjściem* i tamującą tym sposobem strumień wychodzących od strony *wyjścia*, rzekł tonem ugrzecznionym:

Pani będzie łaskawa cofnąć się i pójść od strony *wejścia*...

— Jak ksiądz śmiesz odzywać się w ten sposób do damy?! — zawołał na to stojący nieopodal rycerz, szukający widocznie antyklerykalnej zwady, jakkolwiek odziany w dobrym tonie.

Objąłem tylko pańską damę, żeby się nie naraziła na protest energiczniejszy, nawet oficjalny — bronił się ksiądz. Spełniłem więc akt grzeczności, dobrze zrozumianej.

Damom należy się pierwszeństwo! Nie zapominaj ksiądz, że tu nie Częstochowa! Macoch!

Trzeba mieć dużo siły woli, żeby w odpowiedzi na to nie podnieść ręki...

Bij, księżu, bij! — odparł księżożerczy panek, nadstawiając z mefistofelicznym grymasem pogardy swoje szanowne oblicze.

Ksiądz, pomny poświęcanej swej dłoni, hamulcem woli zacisnął usta i zmilezał, pozostawiając odzianego w dobrym tonie panka przy ostatniem, tryumfującym słowie. Nie chciał ręki swej profanować...

A dystyngowanie ubrany pan, który właśnie na skandal rachował, przechwala się obecnie w towarzystwach swoim bohaterstwem, spotykając się najczęściej z poklaskiem, niekiedy tylko z niezrozumiałym dlań rumieńcem wstydu...



Scenka druga tamże, w okolicznościach podobnych, tylko przy kasie klasy trzeciej.

Od strony wyjścia wpada zadyszany żydek. Na protest oczekujących od strony wejścia, pejsaty pasażer woła:

Ny, ja tylko do Suchej!



Ambo meliores każdy w swoim rodzaju.

W kawiarni.

Do urządzonej z komfortem warszawskim kawiarni w mieście prowincjonalnem, na szklanke porannej herbaty, po Mszy, przyszedł ksiądz przyjezdny. U nas, jak i we Włoszech, w przeciwieństwie do rozwojnionej Francyi, jeszcze to uchodzi, jeszcze nie razi...

Przy innym nieopodal stoliku siedziało czterech panów szlachty, także przyjezdnych, z gatunku tych

bywalców, o których powiedział Rusticus, autor „Listów z dworu wiejskiego“, że „i hakami nie wyciągnąłby ich z Bristolu czy od Lursa“, tak mocno są przywiązani do ... ziemi ojczystej.

Ksiądz, z gazetą w ręku, popijał herbatę; panowie rozprawiali żywo, z owem jaśniepańskim sans-gêne, jakie posiadaczom czterokonnym siarczystych zaprzęgów daje poczucie wyższości nad burżujami, jeżdżącymi w dorożkarskie, dopingowane batem, włoki.

Wtem, do grona czterech przybył posesyonat piąty, snąć dobry znajomy, jak poświadczyły ujmujące serdecznością powitania. Niestety, był to dziecko, goniący resztkami, na którego okrojonem wskutek długów dziedzictwie, gdyby się położył dobry brytan, toby miał ogon za granicą...

Jakże tam wasze interesa?—zagadnął troskliwie przybysza jeden z czwórki, nietęgieh interesów tegoż, widać, świadomy.

Cóż? nie możecie zapomnieć tego szlema z koroną, cotoście go przegrali, że tak markotno z oczu wam patrzy? — zapytał drugi wesoło.

Ech, on koleżeńskiego buzioprania na owej szumce zapomnieć nie może! — rzekł przyeiszonym nieco głosem trzeci. Wnet też głośniej towarzysza szumek pocieszył:

— Furda, panie Józefie! Wszak honor został wykąpany w szampanie dobrej marki, że buzi dać!

— Hm! — mruknął p. Józef, któremu nagle, na wspomnienie szampana, wróciła fantazyja. — Pytacie o moje interesa? Jedno wam powiem: jak mam interes z żydem lub księdzem, to zawsze przegram! ...

Psst! zmiłtygował go czwarty, śnać dyplomata, rzucając głową i oczyma w stronę zaczytanego księdza.

Uczyniła się cisza, jak przed burzą.

Skorzystał z niej ksiądz, mający uszy wyćwiczone w konfesyjonałe, i, zwracając się do dyplomaty, rzekł z uśmiechem:

— Szanowny pan zechce osądzić, czy zdolny jest obrazić katolickiego księdza, kto bierze buzio-pranie i, w dodatku, przegrywa szlema z koroną?!

— Masz, antyklerykalny djable, tabaki! — zaśmiał się dyplomata. — Znowuś przegrał z księdzem i, przyznasz, że słusznie...

II.

O TOLERANCYI RELIGIJNEJ.



Pan, *redaktor „dobroczyнного“ kalendarza.* Nie mogę pomieścić artykułu księdza o tolerancyi, ¹⁸⁾ gdyż razi mię w nim zbyt silna barwa katolicka. Nasz kalendarz powinien być bezbarwny; w imię tolerancyi nie możemy drażnić nieczyich przekonań!

Ksiądz, *autor artykułu.* (*Opanowawszy zdumienie*). Bezbarwność, więc brak silnych i odważnych przekonań, filisterstwo ducha, oportunistyczne lawirowanie między drażliwościami ludzkiemi – to nasze nieszczęście, to choroba chroniczna prasy burżuazyjnej. Blade, pastelowe kolorki są modne, wiem o tem, ale i barwy mocne a żywe, matejkowskie, mają chyba prawo bytu i trzeba mieć dla nich przynajmniej tolerancję. Zresztą, wszak pan, prosząc mię o artykuł w przedmiocie tolerancyi, wiedział chyba, iż jestem księdzem katolickim, więc powinien był pan zdawać sobie sprawę z tego, czego może oczekiwać ode mnie.

Pan. Właśnie wątpię, czy rozwinięty przez księdza pogląd na tolerancję jest poglądem katolickim. Nie sądzę, żeby wszyscy księża pojmowali ją tak samo.

Ksiądz. Co pan chce przez to powiedzieć? Czy, że pogląd katolicki na to zagadnienie jest, według pana, więcej liberalny, czy też ciaśniejszy od przedstawionego przeze mnie?

Pan. Zdaje mi się, iż jest on chyba liberalniejszy...

Ksiądz. (Wesoło). Zabawna historia! Do tej pory zarzucano mi ze strony katolickiej zbyt daleko zapędzający się liberalizm, przeciw czemu zmuszony bywałem bronić się: gdy ze strony „postępowców“ spotykało mnie uznanie, iż posiadam jakoby talent rozszerzania dogmatów katolickich, aż do rozpylenia ich w jakieś mgławice „ogólno-ludzkiego“ racjonalizmu, przeciw czemu również protestowałem. Po raz pierwszy słyszę zarzut wręcz przeciwny z ust pańskich. Zabawna historia! Czyżbym, sam o tem nie wiedząc, uległ wstecznej reakcyi? Sądzę, że raczej postąpił uaprzód w uświadomieniu sobie katolicyzmu, co stanowi postęp najrzetelniejszy... Otóż ręczę panu za to, że odrzucony przez niego artykuł jest od *a* do *z* katolicki i upewniam pana z góry, że każdy katolik uświadomiony podpisałby go bez wahania. W wątpliwości pańskiej widzę jeno dowód jaskrawy nieznamomości nauki katolickiej.

Pan. (Nieco zmieszany). Ksiądz, dając mi swego czasu rękopis, wyznał, że pisał go pośpiesznie. Może zawinił tu pośpiech w pisaniu, może jakieś niedopatrzanie z tego powodu, może w końcu nastrój nietolerancki wskutek jakiegoś przykrego podniecenia...

Ksiądz. (Żywo). Panie! Gotów jestem wrzucić w tej chwili rękopis w ogień, zasiać i napisać nowy. Innemi pewno słowami, w odmiennym może układzie, ale napisałbym zupełnie to samo co do treści. Nie dopiero podczas pisania artykułu urabiałem sobie przekonanie o tolerancyi. Mam je gotowe w głowie na zawołanie. Nie rozumiem pańskich przypuszczeń...

Pan. (*Miękko*). Uczyniłem je dlatego, że spodziewałem się po księdzu szerszego ujęcia przedmiotu. Zawiodłem się. Mam być szczery, skoro ksiądz przypiera mnie do muru, to wyznam, że mam wrażenie, iż ksiądz stanął na stanowisku rosyjskiego biurokraty, i to z czasów przed manifestem tolerancyjnym.

Ksiądz. (*Hamując oburzenie*). Tego zarzutu nie pojmuję! Nie widziałbym żadnej ujemy dla siebie, ani nawet dla katolicyzmu, w tem, gdyby pogląd katolicki, więc i mój, zgadzał się z poglądem jakiegobądź biurokraty, o ile chodzi o teorię. Biurokrata ostatecznie posiada mózg taki sam, jak i każdy inny człowiek. Czemużby jego rozum, podlegający z natury rzeczy powszechnym, koniecznym i od nikogo niezależnym prawom logiki, nie mógł dojść do wniosków tych samych, do których dochodzą rozumy niebiurokratyczne? Nie mogę jednak nie czuć się dotkniętym przez przyrównanie pańskie, jeśli chodzi o szczerłość i bezinteresowność w stosowaniu teorii do życia. Proszę o wytłumaczenie się jaśniejsze!

Pan. (*Z przekąsem*). Wytłumaczenie proste! Ksiądz wyznaje zasady tolerancyi, wspólne z biurokracją. Tylko gdy biurokracya, rosyjska lub pruska, skierowuje je na młyny prawosławia lub protestantyzmu, to ksiądz te same wody puszcza na sympatyczniejszy bądź-co-bądź dla nas katolicyzm.

Ksiądz. (*Z politowaniem*). A w dobieraniu środków walki do tak różnych celów nie widzi pan różnicy?

Pan. (*Z ironią*). Brak siły materialnej nie stanowi zasługi katolicyzmu. Gdyby ją miał, możebyśmy znowu zobaczyli zmartwychwstałą inkwizycję...

Ksiądz. (*Szttywno*). Pańskie widmo inkwizycyi składam na karb liberalnej fantazyi. Inkwizycya zmartwychwstawać nie ma potrzeby, gdyż istnieje w dalszym ciągu na starych zasadach, i to tak spokojnie, że uważał ją pan za umarłą i pogrzebaną: zapewne przez błogosławiony przeciwkatolicki postęp, który, gdziekolwiek dorwał się do władzy, jak we Francyi, Włoszech i ostatnio w Portugalii, daje wzór „tolerancyi“ nie tylko katolicyzmowi, ale i katolików... W danej chwili tymczasem nie chodzi o fakty, lecz o zasady. Za fakty ujemne, za nadużycie zasad katolickich, odpowiadają katolicy, t. j. katolicki ludź; za same tylko zasady odpowiada katolicyzm, którego tu bronię wyłącznie.

Pan. (*Twardo*). Z zasad, wprowadzonych w życie, rodzą się odpowiednie im czyny.

Ksiądz. (*Chłodno*). Bez wątpienia. Otóż katolickie zasady tolerancyi są tego rodzaju, iż żadną miarą, przy dobrej woli, złych czynów sprowadzać nie mogą.

Pan. (*Szttywno*). Zasady, wyłuszczone przez księdza, są tego rodzaju, iż trzebaby być moralnym akrobatą, żeby, trzymając się ich, siebie samego i przeciwników na złamanie karku nie narazić.

Ksiądz. (*Niecierpliwie*). Zejdźmyż nareszcie ze sfery ogólników na grunt realny. W artykule swoim, który sprawił panu tak srogi zawód, zanalizowałem ideę tolerancyi czysto rozumowo i, na kanwie takiej analizy, rozwinąłem obraz i ocenę stosunków faktycznych w tej dziedzinie. Prawa logiki oraz prawa etyczne, te ostatnie — w liniach głównych i na gruncie europejskim, są chyba bezpartyjne, t. j. uznawane powszechnie, bez różnicy wyznania. Jeśli z zastosowania jednych i drugich praw, wspólnych

wszystkim wyznaniom religijnym i nawet doktrynom filozoficznym, wynikał samocheąc pogląd na tolerancję katolicki, to tylko dowód, że jest on ogólnoludzki i jedynie usprawiedliwiony. Takie jest moje przekonanie. Proszę mi powiedzieć, w którym mianowicie punkcie tego poglądu widzi pan słabą stronę?

Pan. (*Zimno*). Przyznać winienem, iż jest on skonstruowany tak prawidłowo pod względem dyalektycznym, że odrzucić go muszę w całości, jako zbyt ciasny.

Ksiądz. (*Spokojnie*). Rozpatruję tolerancję, jako odmianę wolności. Każdy człowiek, myślący logicznie i zarazem etyczny — etyczny nawet nie po chrześcijańsku, ale tylko po europejsku, — zgodzić się musi na formułę: „wolność od przemocy — fizycznej czy moralnej — tylko ku dobremu“. Na tym punkcie zasadniczym schodzą się wraz z katolicyzmem wszystkie umysły idealistyczne — przeciwko biurokracyi. Upada tedy główna podstawa do porównywań tolerancji katolickiej z biurokratyczną. Chyba bowiem nie zechce pan bronić wolności ku złemu. Złe, bądźco-bądź, powinno być spętane, jeśli nie przez kodeks karny, taki lub inny, to przez prawa moralne, obowiązujące w sumieniu i przestrzegane z całą surowością przez opinię publiczną.

Pan. (*Spokojnie*). Chodzi tymczasem jeszcze nie o czyny, złe lub dobre, ale o przekonania, o światopoglądy. Ksiądz występuje, jako wróg przekonań, przeciwnych katolicyzmowi. Ksiądz pozwala je tylko cierpieć i przyznaje im rację bytu, tylko, jako malum necessarium, ze względów taktyki czy oportunizmu, dla świętego spokoju, byle uniknąć prze-

śladowań wzajemnych. Na to żaden człowiek kulturalny zgodzić się nie może!

Ksiądz. (*Z zapaletem*). Panie! W tym kierunku ja dalej nawet idę, niż pan sądzi. Ja bynajmniej nie „cierpieć“ przekonań, które uważam jako błędne, więc i szkodliwe. Ja ich *niecierpię*! Nienawidzę! Ja doświadczam głębokiego bólu, gdy się z nimi spotykam: bólu nie miłości własnej, podrażnionej przez opór przekonaniom własnym; lecz bólu na widok ślepoty ludzkiej, która nie widzi prawdy katolickiej, jaśniejszej nad słońce! Bólu na widok tej poziomości umysłów, błędzących poza katolickim chrystyanizmem, którym prawdę katolicką zasłaniają błędy jej wyznawców oraz ich własne namietności, gdyż one, te umysły, niezdolne są wznieść się orlim polotem ponad przyziemne chmury, gdzie słońce prawdy Bożej zawsze świeci jasne i majestacyjne. Pod wrażeniem tego bólu, jam gotów rzucać się w wir walki przeciw przekonaniom niekatolickim i niechrześcijańskim, a tę walkę uważam za swoje najświętsze prawo i swój najświętszy obowiązek!

Pan. (*Zdumiony*). Ależ z tą swoją zasadą ksiądz rozmija się wręcz z chrześcijańską miłością bliźniego!

Ksiądz. (*Z sarkazmem*). Gdyby doświadczenie nie dało mi było poznać manowców, którymi w ciemnościach ignorancyi katolicyzmu chadzają umysły niewierzących, przyjąłbym jako żart słowa pańskie. Ale je znam i dopowiem za pana, com w jego oczach wyczytał, a czego pan tylko przez dyplomacyę nie dopowiedział: nazwałeś mnie pan w głębi duszy fanatykiem. Tak, to „przywilej“ katolicyzmu spotykać się z tym ponurym i nienawistnym wyrazem! Szafują nim najhojniej właśnie fanatycey antykato-

liccy, którzy nie mogą ścierpieć katolicyzmu, jego powagi, jego potęgi moralnej, jego majestatu!

Pan. (*Cierpko*). Więc ksiądz uważa mię za fanatyka, kiedy domagam się bezwzględnej swobody dla jakichbądź przekonań, bez żadnej niechęci specjalnej do katolicyzmu? Niechęć, i to głęboką, żywię tylko względem wszelkich fanatyzmów.

Ksiądz. (*Sarkastycznie*). Przytem ta niechęć udziela się i temu, w czem się fanatyzm upatruje: upatruje się go zaś tam, gdzie się umieszcza naprzód swą niechęć. Bierze się bowiem gorącość niemilych przekonań za fanatyzm. Wcale ładny *circulus vitiosus*! Wbrew głośłownym zapewnieniom pańskim o nieprawdopodobnej neutralności względem wszelkich przekonań, widzę w panu jawną niechęć do katolicyzmu. I nie dziwię się temu; jest to tylko dowód posiadania przekonań, katolicyzmowi przeciwnych, ale przekonań. Proszę mi jednak wierzyć, iż nikt nie posiada tyle powodów do nienawiści względem fanatyzmu, ile głęboko świadomy prawdy katolickiej katolik. Zna on bowiem nieporównaną jej moc i żywotność, oraz wie, ile ona od fanatyzmu własnych swoich wyznawców, a jeszcze więcej od przeciwników ucierpiała. Fanatyzm wypływa z fałszu i tylko fałsz fanatyzmem nadrabia.

Pan. (*Spokojnie*). Jak więc i czem wytłumaczy ksiądz niezaprzeczone fakty fanatyzmu na gruncie katolickim, skoro uważa katolicyzm za prawdę pełną i bezwzględną?

Ksiądz. (*Spokojnie*). Fałszywą interpretacją prawdy dogmatycznej lub zasady moralnej, albo nawet poprostu gwałtownością temperamentu. Wypadki fanatyzmu tedy na gruncie katolickim nie wypływają

z przedmiotowej nauki katolickiej, nie powstają zasadniczo, ale zdarzają się tylko przypadkowo.

Pan. (*Mrożąco*). Otóż właśnie ta wyłączność katolicyzmu, którą ksiądz stwierdził i podkreślił w tej chwili, ta jego pycha, której mocą przypisuje on sobie monopol prawdy, razi mnie i odstręcza od niego. Taki agresywny katolicyzm nie może nie być nietolerancki.

Ksiądz. (*Kwaśno*). Nie przeczę, żeby w pewnych wypadkach i w pewnych osobnikach katolickich nie było domieszki pychy egoistycznej, narzucającej arogancko przekonania katolickie nie dlatego, że katolickie, że prawdziwe, ale dlatego, że własne. (*Zapalając się*). Lecz na ogół, w owej, jak się pan wyraził, agresywności katolicyzmu, ujawnia się raczej nieziemską potęgą przekonania o jego prawdziwości, potęgą iście jedyną w tym stopniu, potęgą przekonania, płynącego z Góry. W tem właśnie tkwi jego wyższość ponad innemi przekonaniami, w tem i źródło obaw i niechęci i nawet nienawiści względem katolicyzmu ze strony przeciwników, którzy tym sposobem składają mu hold mimowolny. Miarą żywotności i trwałości danego przekonania jest jego duch propagandy. Bo żadne przekonanie prawdziwe i silne, bez różnicy kierunku i barwy, nie uznaje, nie może uznawać tolerancji dogmatycznej; to znaczy: musi zwalczać doktryny przeciwne, żeby wywalczyć sobie prawo bytu i w końcu zatryumfować. Możliwa jest tylko tolerancja obywatelska, którą też katolicyzm wyznaje, owszem, on pierwszy zaczął ją praktykować w pełni.

Powiedziałem, że przekonań niekatolickich niecierpię. Teraz wyjaśnię, iż niecierpię ich, jako takich,

samych w sobie, niecierpię tkwiącego w nich fałszu czy błędu; co nie przeszkadza mi bynajmniej szanować ich w danym osobniku ludzkim, o ile w nim one łączą się z dobrą wiarą, z mocą woli i rozumu, czasem i z genialnością, zatem i z genialnymi przeblyskami prawdy. Szanuję wtedy w nich ową dobrą wiarę, owe moce, ową genialność, owe prawdy przebliski. Prócz tego, wraz ze św. Augustynem, który katolicką zasadę tolerancyi wykuł w klasycznie lapidarnych słowach: „Dilige hominem, oderis vitium“, lub w innej wersji: „Interfice errorem, dilige errantem“, rozróżniam ściśle i stanowczo pomiędzy człowiekiem błądzącym, a samym błędem, i tam tego usiłuję kochać i szanować, nawet pomimo jego złej woli, a ten usiłuję zwalczać. *Usiłuję* kochać, gdyż to rzecz zaprawdę niełatwa. Łatwą może się ona wydać tylko temu, kto choruje na indyferentyzm religijny. Podobnie kataleptyk znosi z łatwością cięcia i ciosy, gdyż ich nie czuje. *Usiłuję* zaś zwalczać błąd, nie tylko w imię wyższej nad wszystko prawdy, ale także w imię miłości bliźniego, gdyż pragnę uczynić błądzącego uczestnikiem prawdy, którą posiadam. Że przytem błądzącemu bliźniemu dostaną się plagi, rzecz nieunikniona, zwłaszcza gdy wypadnie bronić innych bliźnich przed propagandą błędu. Wszak to miłość ehwyta tonącego, choćby za czub, miłość podaje choremu gorzkie lekarstwo, miłość odbiera zbrodniarzowi broń i zamyka go pod kluczem.

W imię tej samej miłości, zgodnie z etymologią wyrazu *tolerancya*, - nie zaś w imię oportunistu, jak pan sądzi, *cierpię* inowierców aż do udzielenia im swobody wyznania i kultu, i nawet równoupraw-

nienia obywatelskiego. Czego więcej można wymagać? Może dać się zjeść przeciwnikowi z miłości? *Cierpię*, bo to jednak prawdziwe cierpienie widzieć spółobywateli błędzących i znosić w nich kult błędu.

Pan. (*Z równowagą*). Więc jednak, pomimo tolerancyi, ksiądz pragnie narzucać inaczej wierzącym swoje własne wierzenia?

Ksiądz. (*Z równowagą*). Któż mówi o „narzucaniu”? Przekonywanie — to nie narzucanie. W pojęciu narzucania tkwi pojęcie przemocy. Narzuca się coś komuś przemocą moralną lub fizyczną, o czem niema mowy. Przekonywać — to znaczy tylko działać na przekonanie cudze rozumem. Czyżby i tego nawet pańskie pojęcie tolerancyi zabraniało? W takim razie wypadłoby postawić pana w jednym rzędzie z biurokratą rosyjskim w czasach po manifestie tolerancyjnym. Gdyby przekonywanie oznaczać miało narzucanie, tedyby wzbroniona była wszelka dyskusya, wszelka propaganda, wszelkie apostołstwo. Niejednokrotnie zdarzało mi się wśród dyskusyi spotykać z zarzutem, iż zdanie swoje narzucam, lubom przyjęcia go, oczywiście, nie nakazywał, ani nawet natarczywie uznania go się nie domagał. Przedstawiałem swoje argumenty, jak i moi adwersarze. Równem prawem i ja mógłbym być im „narzucanie” zarzucić. Fakt ciekawy psychologicznie, iż ten zarzut spotykał mnie w chwili, gdy przeciwnicy wyczerpali kołczany swych dowodów. Mieli oni wtedy wrażenie „narzucania”, lecz w istocie narzucała im się sama oczywistość zdania przeciwnego, a tego uznać i kapitulować nie mieli ochoty. Albo też tak mocno drżeli o przekonania swoje własne, że argumentacya przeciwna była dla nich nieznośna, wyda-

wała się im zamachem na ich szkiełka, które uważali za drogie kamienie.

Czy to „narzucanie“ — to i pański argument ostatni?

Pan. (*Ostro*). Zbyt łatwo chciałby ksiądz tryumfować! Ja żądam niczem nieograniczonej wolności sumienia i przekonań. Ksiądz wolność tę wciąż ogranicza swoją „prawdą“ katolicką i chciałby wszystkich do niej nawrócić. Gorliwość taka bywa źródłem walk religijnych, gdy dobro społeczeństwa wymaga gwarancyi dla spokojnego spółzycia obywateli różnych wyznań. Ostatecznie niewiadomo, gdzie jest prawda. Szukam jej oraz wszędzie ją przypuszczam, i dlatego żądam wolności przekonań, żeby z wolnego ścierania się ich między sobą wytrysła kiedyś iskra prawdy.

Ksiądz. (*Iglasto*). Dla pana niewiadomo, dla mnie, jak i dla Kościoła całego, wiadomo. Przyznaję, iż z pańskiego stanowiska, wniosek o nieograniczonej wolności sumienia jest jedynie logiczny. Chodzi więc obecnie o to, czy stanowisko pańskie jest uzasadnione. Jest ono stanowiskiem Pilata, pytającego obojętnie i beznadziejnie: „Co jest prawda“? Tego samego stanowiska nakazuje przestrzegać w salonie bezmyślny kodeks światowy. Życie jednak jest zbyt poważne, zagadnienie o prawdzie zaświatowej — zbyt wielkie, żeby mogło podlegać przepisom takiego kodeksu. Nie rachowały się też z nim ani trochę salony poważne, na których rozgrywały się takie „Wieczory florenckie“, lub „Wieczory nad Lemanem“. Przeniesć ów kodeks z burżuazyjnych salonów na grunt życia, równałoby się wprowadzeniu doń nędznego snobizmu, oraz martwoty i rozkładu wszel-

kich wierzeń i przekonań, które składają się na światopogląd, tę filozofię filozofii, tę nadfilozofię.

Wobec tego, przyznawszy panu logiczność wniosku o niegraniczonej swobodzie sumienia, muszę odmówić słuszności jego twierdzeniu o wolnem ścieraniu się przekonań. Z pańskiego sceptycznego punktu widzenia nie może być mowy wogóle o jakichbądź przekonaniach. Przypuszczać wszędzie możliwość prawdy, to znaczy wszędzie o niej wątpić; to znaczy chcieć być biernym widzem walki przekonań. Gdyby wszyscy obowiązani byli tak, jak pan, sądzić, tedyby wszyscy przemienili się w podobnych panu widzów i w rezultacie nie byłoby na co patrzeć. Gdzie są przekonania istotne, a różne, tam walka być musi. Fakt walki obecnej między nami dowodzi, że i pański sceptycyzm jest jeno pozorny, że poza nim kryją się przekonania, mianowicie, conajmniej, niekatolickie.

Pan. (*Wymijając*). Walka być musi, to prawda; lecz ona powinna być wolna bezwzględnie.

Ksiądz. Przemawia pan w imię liberalistycznej zasady lesseferyzmu. Zastosowana na gruncie ekonomicznym, stworzyła ona nową postać niewoli, niewolę kapitalistyczną. Podobne następstwa sprowadzić ona musi, i sprowadziła, w dziedzinie religijno-moralnej, a to wskutek większej skłonności ludzkiej do złego, aniżeli do dobrego, i w następstwie -- do usprawiedliwiającego zło fałszu, aniżeli do nakazującej dobro prawdy. Z tym faktem trzeba się rachować, o ile się nie jest naiwnym marzycielem, albo upartym ideologiem wolności za wszelką cenę. A ten fakt wskazuje, jako zasadę postępowania: ochronę i opiekę dla prawdy i dobra, pęta zaś prawne dla fałszu i zła.

Pan. (*Twardo*). Tymczasem Kościół musi się liczyć z faktem, że minęły czasy jego wszechwładzy, a nastało panowanie ducha wolności!

Ksiądz. (*Mocno*). Wolności dla niewiary i grzechu, niewoli dla wiary i cnoty. Znał się na tym wolnomyślnym postępie, a raczej podstępie, św. Piotr, zowiąc tę apoteozowaną dziś wolność, jakoby zdobył nowocześnie go postępu: „zasłoną złości“. W zastosowaniu do społeczeństwa świeckiego, potraktował ją należycie w „Wirach“ Sienkiewicz: „Wolność, przechodząca granice, zakresłone przez pomyślność i bezpieczeństwo narodu, potrzebna jest tylko dla lajdaków!“

Z tym faktem jednakże Kościół się liczy, przystosowuje doń swą taktykę, wyteża siły do walki o prawdę i dobro. Nie uważa go tylko za rzetelny wyraz postępu, bo widzi go już w zamierzonych czasach pogańskiego gwałtu i bezprawia. Nie uważa też za stosowne przed nim kapitulować, bo naprzeciw tej wolności synów ludzkich ma swoją wolność synów Bożych, opartą na boskiej Prawdzie, o której powiedział Chrystus, że gdy ją poznamy, to ona nas „wyswobodzi“. Więc Kościół raczej dąży do obalenia owej fałszywej wolności. Raz już tego dokonał był przeciw pogaństwu staremu: jest przeto rękojnią, że dokona tego po raz wtóry przeciw pogaństwu nowemu.

Pan. (*Energicznie*). Czysty, uczciwy liberalizm nie ma nic wspólnego z fanatyzmem, czy to katolickim, który wszędzie poza sobą widzi tylko pogaństwo, czy to przeciwkatolickim. Wyrazem jego jest stan wolności religijnej w Stanach Zjednoczonych.

Żadnej dla któregoś wyznania opieki ze strony państwa, żadnych przywilejów! To jest mój ideał, którego bronie i za który jedynie biore na siebie odpowiedzialność.

Ksiądz. (*Z brawurą*). Prócz przywileju przekonań panujących, ograniczonego zresztą obowiązkowo gwarancją swobody dla przekonań mniejszości... Ja wcale się nie dziwię Kościołom panującym w Rosyi lub w Prusach, gdy one żądają osobliwej opieki państwowej dla siebie. Państwo, złożone z prawosławnych, musi być prawosławne, złożone z protestantów — protestanckie, z katolików — katolickie. Tego wymaga sama natura rzeczy. Jedynie mieszany wyjątkowo, pod względem wyznaniowym, skład ludności w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej musiał w następstwie wytworzyć stan wolności religijnej, wyłączającej wszelkie przywileje państwowe. To wszystko są fakty, stworzone przez warunki miejscowe, z którymi nie można się nie liczyć. Jeśli jednak chodzi o konsekwencję logiczną, to przyznaćby ją należało raczej Kościołom państwowym. Bez względu na prawdziwość lub fałszywość danego wyznania religijnego, wszelki Kościół państwowy ocala i stwierdza zasadę ogólną, że i państwo, jako takie, nie powinno być pod względem religijnym neutralne, więc obojętne i w ostatecznej konsekwencji anarchiczne w swoich obywatelach, a naturalistyczne w swoich organach rządzących.

Rząd, państwo to nie abstrakcja. I rząd, jako złożony z ludzi, oraz dla ludzi religijnych przeznaczony, powinien być religijny. Idea religijna przenikać powinna nie tylko życie prywatne jednostek, ale i życie ich zbiorowe, publiczne, i sięgać aż do naj-

wyższych instytucyj. Nonsensem byłoby, gdyby społeczeństwo, złożone z ludzi religijnych, rezygnowało z religii w swoim życiu publicznem. Znaczyłoby to sprowadzić religię do roli kupcuszka domowego, którego domownicy wstydzą się okazać publicznie; znaczyłoby to, ku jej zniewadze, obciąć jej misję, ogarniającą wszelkie stosunki ludzkie; wprowadzałoby to wyznawców w sprzeczność z samymi sobą, gdyż uznawaliby religię prywatnie, a przeczyliby jej publicznie; pozbawiłoby to, wreszcie, życie publiczne: państwowe i społeczne, jego najwyższego ideału, regulującego je w duchu chrześcijańskim. I państwo więc ma obowiązek oddawać, co jest boskiego, Bogu, jeśli chce, aby oddawano jemu, co jest jego. W przeciwnym razie nie oddawałoby ono i ludziom, co jest ludzkiego, narodom, co jest narodowego, społeczeństwom, co jest społecznego — lecz żyłoby samo dla siebie, uczyniłoby się bóstwem, któremu by społeczeństwa i narody obowiązane były służyć niewolniczo, z zaparciem samych siebie, swoich własnych ideałów. Byłby to ateizm państwowy, ze wszystkimi jego następstwami, godnemi rządów piekła!

Pan. (*Szydlerczo*). Istotnie, ładnie my, polacy, wychodzimy na tej zasadzie, głoszonej przez rzymskiego księdza! Cała rzeczywistość przeczy brutalnie rzekomemu ideałowi Kościołów państwowych!

Ksiądz. (*Żywo*). Dzieje się źle, nie wskutek owej zasady, ale wskutek fanatyzmu, który wysuwa na czoło specyficzne różnice wyznaniowe, a zapoznaje ducha ogólnie chrześcijańskiego, w zasadzie wspólnego wszystkim wyznaniom. Inna też rzecz — praktyka życiowa, inna — teoria. W praktyce lepszą okazuje się dla Kościoła katolickiego zasada „wolny Kościół

w wolnem państwie“, stosowana szczerze w Stanach Zjednoczonych, aniżeli przemoc państwowa Kościołów panujących, wrogich katolicyzmowi. Swoją drogą, uznając zasadniczą wolność sumienia, w znaczeniu swobody ujawniania nazewnątrz przekonań religijnych, przyznajemy i wyznaniom, ze stanowiska naszego błędnym, prawo do przywilejów państwowych tam, gdzie te wyznania stanowią religię narodową. Na tej zaś podstawie żądamy i dla siebie wolności: a gdzie stanowimy większość, tam przyznajemy wolność mniejszościom, a sobie warujemy przywileje.

Pan. (*Mocno*). Zasada demokratyczna, więc chrześcijańska, odrzuca wszelkie przywileje!

Ksiądz. (*Spokojnie*). Właściwie, nie są to nawet przywileje w ścisłem znaczeniu słowa. To jest raczej prawo, przysługujące większości, prawo do gospodarki we własnym domu, bez szkody i krzywdy dla obcych mniejszości, bo z zastrzeżeniem im swobody kultu i równouprawnienia obywatelskiego. Prawo takie wypływa wprost ze stanu posiadania i z charakteru gospodarza. Naród katolicki ma prawo mieć dom państwowy katolicki i być gospodarzem w tym swoim domu. To jest jego prawo i zarazem obowiązek. Podobnie naród polski ma prawo być u siebie gospodarzem polskim. Chodzi o to tylko, żeby w sprawach wyznaniowych nie było fanatyzmu, a w sprawach narodowych—szowinizmu. Oburzamy się wszak na uroszczenia żydowskie do równouprawnienia z ludnością rdenną, uroszczenia, które na razie wyrażają się w postulacie Judeo-Polonii, dążą zaś do uczynienia z Polski nowego Syonu; prawa nasze tymczasem do Polski wydają się im przywilejem, ponieważ oni ich nie posiadają.

Pan. (*Spokojnie*). Cóż po tych pięknych zastrzeżeniach i zamiarach, kiedy one są tak beznadziejnie odporne ku wcieleniu ich w życie?! Wobec tego, czy nie lepiejby było rzec się wciągania państwa do walki między wyznaniem, ażeby państwo mogło zachować wolną rękę i niezależność w stosunku do wyznań wojujących?

Dla świętego spokoju, nietylko państwo powinno hamować wojownicze zapędy wyznaniowe, ale i sami wyznawcy różnych wyznań powinni by rzec się swojej agresywności i dążeń swoich pan-katolickich, pan-prawosławnych, czy pan-protestanckich. a przestać na obecnym stanie posiadania. Z tych dążeń wynika wieczna wojna, w której wybuchy fanatyzmu są nieuniknione...

Ksiądz. (*Spokojnie*). Przedewszystkiem pozwolę sobie zwrócić uwagę pańską, że pan zszedł ze swojej pozycyi, bronionej dotychczas. Stał pan dotąd na stanowisku neutralności państwowej w stosunku do walk międzywyznaniowych; a teraz nagle chciałby pan zaopatrzyć państwo we władzę superarbitra ponad wyznaniem. To prowadzi prostą drogą do niebywałego dotąd w dziejach uznania idei cezaro-papizmu, panującego już nie nad jednym, ale nad wszystkimi wyznaniem, znajdującemi się w granicach danego państwa.

Pan. (*Mocno*). Państwo dbać jest obowiązane o spokój publiczny, bez względu na charakter zakłócających go zaburzeń.

Ksiądz. (*Unosząc się*). Przepraszam, wyrażenia pańskie pozwalają domyślać się przyznania państwu czegoś więcej ponad rolę policyjną. W rzeczy samej, w ostatnich czasach pojawiać się zaczęły sporadycz-

ne fakty wdzierania się władz administracyjnych i sądowych w najwewnętrzniejsze sprawy kościelne, nawet w słynnych z wolności religijnej Stanach Zjednoczonych oraz w Anglii. Prasę całego świata obiegił niedawno wypadek zaskarżenia pastora anglikańskiego przez parafianina za odmówienie mu komunii, przyczem sądy państwowe uznały swoją kompetencję i przyznały słuszność parafianinowi! Podobne *curiosa* zdarzają się w Ameryce w stosunku także do Kościoła katolickiego ¹⁹⁾. Ale mniejsza z tem. Rzecz ważniejsza—żądanie pańskie zrzeczenia się przez wszystkie wyznania prawa do propagandy. Wracamy do kwestyi przekonań. Otóż stwierdzić muszę ponownie, a wyraźniej, niż dotąd miałem po temu sposobność, że skoro uznajemy wolność przekonań, to zgodzić się musimy i na ich siłę, oczywiście, tylko siłę moralną, której, jak widzę, pan lęka się instynktownie. A gdy tylko na to się zgodzimy, to musimy przyznać tej sile prawo naturalne do ekspansyi. Zamykają ją w ciasnych granicach subiektywnych, wtłaczać ją w dusze ludzkie bez prawa oddziaływania na inne, inaczej myślące, toż równałoby się zaprzeczeniu wolności przekonań! Toż jest tyranią ducha, praktykowaną przez wyposażone w siłę prawodawczą fanatyzmy wyznaniowe, na ich korzyść. Pan chciałby praktykować to samo, jeno neutralnie, na korzyść żadnego, ale zato na szkodę wszystkich wyznań bez wyjątku, katolickiego najbardziej. To byłby również swego rodzaju fanatyzm, fanatyzm antyreligijny, pod maską hasła wolnościowych!

Przedstawia się pan stale, jakoby obojętny, wyższy ponad waśnie wyznaniowe, tolerant religijny. Stwierdzić muszę jeszcze raz, że wyniosły scepty-

cyzm pański jest pozorny i, może nawet bezwiednie, służy, jako osłona niechęci specjalnej do Kościoła i wogóle do wszelkiej religii. Pańska dyalektyka podobna jota w jotę do tej, której używać zwykli rewolucyoniści wszystkich czasów: religijni, polityczni i społeczni, i którą obserwować można obecnie na gruncie naszym. Proklamuje się głośno i szumnie równość, wolność i braterstwo, ale po cichutku zastrzega się te wszystkie piękne rzeczy na korzyść wyłączną upośledzonej klasy społecznej, o której wyzwolenie chodzi. Celem takiej taktyki dwulicowej jest stracić stany posiadające do poziomu stanu wydziedziczonego, i ten ostatni na miejsce tamtych wydzwignąć. Tą drogą dochodzi się logicznie do stanowiska despotycznego teroru — w imię wolności; nienawiści — w imię braterstwa; gilotyny — w imię równości, wreszcie: fanatyzmu — w imię tolerancyi. Dowiodła tego Wielka rewolucya francuska, która pod owemi hasłami, jak stwierdził genialnie Taine, przeprowadziła tylko zmianę własności. „L’humanité!“ — wrzeszczały zwyrodniałe, obłudne liberały, szczerząc zęby, jak spuszczone z łańcucha brytany! ²⁰).

Pan. (*Cierpko*). Niedawno-m otrzymał miano fanatyka, teraz w dodatku posadzony zostałem o przewrotność. Widzi ksiądz przecie, że m zupełnie spokojny i wcale się, jak ksiądz, nie unoszę...

Ksiądz. (*Namiętnie*). Bodaj wolalbym, żeby pan przystępował do mnie raczej z gorącym żelazem przekonania, aniżeli ze sztyletem chłodnej ironii! Znany mi jest i rodzaj fanatyzmu zimnego, który jest pełny pozornego spokoju i usiłuje panować nad przeciwnikiem zimną krwią, rachując na jego krewkość, żeby go w chwili stosownej zmiażdżyć. Spokój—

to niezawsze synonim wyższej kultury, a gorącość i zapal—to zgoła nie synonimy fanatyzmu. To sprawy nawet nie temperamentu, ale nienawiści z jednej strony, miłości z drugiej. Mnie moje przekonanie zapala, gdy stoję w jego obronie, i widzę w tem dowód jego siły. Komu przekonanie nie dostarcza dowodów, ten broni się ironią, sofisteryą. Jest to nieubłagany fatalizm błędu, że jego rzecznik skazany jest na uciekanie się do sofistyki, której matactwom ulega często bezwiednie. Bądźmy szczerzy względem siebie! Miejmy odwagę wyciągać szczerze konsekwencye z własnych twierdzeń! Niniejszem dyspensuję pana od przestrzegania względem mnie przepisów kodeksu salonowego: przestańmy na zdrowej etyce w dyskusyi...

Pan. (*Ironicznie*). Ksiądz jest romantykiem przekonań napowietrznych; ja jestem realistą i rachuję się z rzeczywistością.

Ksiądz. (*Z naciskiem*). Jako realista, powinien pan rachować się i z rzeczywistością siły przekonań, istniejącej w całych masach ludzkich, a wśród tych mas—i w umysłach pierwszorzędnych. W razie przeciwnym, byłby pan raczej materyalistą.

Pan. (*Obojętnie*). Obecnie wszystko, co w literaturze naszej najświetniejszego i najpopularniejszego — nastrojone jest względem religii sceptycznie.

Ksiądz. (*Z ironią*). Był w Polsce czas, kiedy wszystko, co było w niej świetniejszego, piło i hulało, aż przepiło i przehulało ojczyznę. Popularność hasel nie dowodzi niczego. Błąd jest zaraźliwy i łatwo ogarnia większość. Dziś, wszystko-nie-wszystko, (takie tuży, jak Prus i Sienkiewicz, należą raczej do nas), ale bądź-co-bądź większość arystokracji, lite-

rackiej jest katolicyzmowi przeciwna. Jeśli jednak są to umysły w swoim rodzaju mocne, *ésprits forts*, talenty znakomite, to, niestety, charaktery z pewnego względu słabe. Nie mają one mocy przeciwstawić się modnym prądom zmiennego ducha czasu, nie mają odwagi spojrzeć w oczy prawdzie religijnej, albo tylko przyznać się do religii, wyznawanej przez tłumy; płyną z prądem, idą za modą, uganiają się za popularnością wśród nadających życiu ton i barwę, pewnych, ograniczonych sfer inteligencji, w znacznej mierze inteligencji żydowskiej, poważnego konsumenta książki polskiej bezwyznaniowej. Podaż rachuje się z popytem...

Warto się jednak zastanowić nad słowami św. Pawła: „Słabe świata wybrał Bóg, aby zawstydził mocne!“ Także nad słowami św. Augustyna w jego Wyznaniach: „Jako! maluczcy porywają Królestwo Niebieskie, a my, mocni, mielibyśmy dać się im ubiedz?“ Wielki Augustyn doznał uczucia wstydu, że nie szedł z tłumem w tem, co tłum posiada wielkiego; nasi wielcy, znani i znakomici — wstydzą się podzielać wiarę z tłumem, jakgdyby ona była dziełem jego, a nie Chrystusa, i, wraz ze wzgardą dla tłumy, odrzucają i wiarę, wiarę wielką, cudownie piękną i przepotęzną, z której, przy swoich talentach, mogliby wykuwać arcydzieła sztuki, na podziw wzgardzonego tłumy.

Widzę tu objaw arystokratyzmu umysłowego, analogiczny ze schodzącymi do grobu przeszłości, resztkami objawów dawnego arystokratyzmu rodowego. Ten drugi gardził gminem, że trąci stajnią, tamten nim gardzi, że trąci wsteczniectwem. Ponieważ gmin ma wiarę religijną, przeto i tę wiarę jego włącza

się do kategorii wstecznictwa i razem z niem odrzuca. Ze względu jedynie na politykę, podyktowaną między innymi przez fakt, iż masy wierzące świecą, bądź-co-bądź, rozmaitej wielkości gwiazdami wykształcenia i nauki, te i owe umysły „mocne“ zachowały dla wiary szacunek konwencyonalny, nie-szczery, błady i bezbarwny. Wśród „dii minorum gentium“ liberalizmu spotykamy nawet klerykalizm, pomimo braku religijności. Podły, służalczy, wyrachowany klerykalizm bez Boga! Na podobieństwo arystokratów rodowych, drażliwych na banalną etykietę wielkoświatową, nasi arystokraci umysłowi ujawniają znamienne drażliwość na punkcie szczerości, siły i gorących rumieńców przekonań, specjalnie—religijnych.

Zresztą, potrafią być mocni, aż do brutalności.

Pan. (*Znudzony*). Dziś wśród arystokracji umysłowej panują raczej prądy społeczne demokratyczne. Nie pogarda, lecz miłość dla ludu kieruje piórami Żeromskich, Reymontów, Prusów, Sieroszewskich...

Ksiądz. (*Z ironią*). Zapomniał pan o kulcie Nietzschego, z jego brutalnem nadczołowieczeństwem, wspinającem się w górę po karkach podczołowieczeństwa. Młoda Polska, która ten kult do nas sprowadziła i która bynajmniej, pomimo ostatnich przewrotów społecznych, nie upadła, lecz tylko z okresu hulaśliwych podbojów weszła w normalny okres życia, uprawia legendę ludową dla niej samej, pławiąc się przytem w artystycznej pornologii. Dotknięta starczym uwiędem od urodzenia, podszyta żydem, kocha lud po żydowsku, t. j. tylko dla zysku, jakkolwiek idealnego. Nawet w szczerość demokratyzmu Żeromskich uwierzyć trudno, mianowicie po tehnących sceptycyzmem „Dziejach grzechu“, a jeszcze bardziej

po sprzedaniu przez autora za 600 rb. prawa uscenizowania ich dla kinematografu. Demokratyzm bezwyznaniowy jest szczery o tyle, o ile chce porwać za sobą i lud wierzący, żeby go obdarzyć wyzwoloną z „przesądów“ religijnych bezwyznaniowością. Chce on i lud podobnie wyzwolić, żeby nie tylko mógł nim nie gardzić, ale przede wszystkim, żeby usunąć Kościołowi z pod nóg najsilniejszą jego ostoję... Przypominam, że pan przemawiał za pozostawieniem wszystkich przy ich przekonaniach, dla „świętego“ spokoju.

Pan. (*Ożywiając się*). Z wyjątkiem przekonania o swobodzie przekonań, które i wśród ludu coprędzej zaszcześcić należy.

Ksiądz. (*Poważnie*). Tę misję zostawić należy Kościołowi, który ją w swoim duchu przeprowadzi i który nabył do tego prawa przez wieki pracy nad ludem: pracy może niezawsze dostatecznej, ale pracy, w której go nikt nie wyręczał, w której, przeciwnie, stawiano mu z różnych stron przeszkody.

Pan. (*Poważnie*). Każdy człowiek dobrej woli, szczerze pragnący dobra ludu, również prawo takie posiada. Biskupi nasi odegrali rolę pożałowania godną przeciw „Zaraniu“, zapędzając mieczem ognistym owcześnie za płot nieświadomości!

Ksiądz. Do ludu katolickiego trzeba iść z krzyżem katolickim, choćby ze względu na powodzenie apostołstwa kultury. Ktoby jednak brał do ręki krzyż katolicki bez wiary w niego, jedynie powodowany względami taktycznymi, ten byłby winien szkaradnego faryzeizmu. Tę sprawę rozstrzygnął stanowczo i raz na zawsze sam Chrystus, w słowach, niezmiernie ciekawych ze względu na naszych za-

rańców-samisobków: „Zaprawdę, zaprawdę, mówię wam: kto nie wchodzi przeze drzwi do owczarni owiec, ale wchodzi inędą, ten jest złodziej i zbójca. Lecz który wchodzi przeze drzwi, pasterzem jest owiec... A gdy wypuści owce swe, idzie przed nimi, a owce idą za nim, bowiem znają głos jego. A za cudzym nie idą, ale uciekają od niego, bo nie znają głosu obcych... Zaprawdę, zaprawdę, wam powiadam, iżem ja jest drzwiami owiec!“ Z tego widać, że biskupi nasi w sprawie zaraniarstwa oddali społeczeństwu doniosłą przysługę, za co należy się im wdzięczność tem większa, im rola ich była bardziej niepopularna. Nie puścili owczarni za ogrodzenie pastwiska, gdzie się otwiera przepaść błędu. Odpędzili od niej wilka, udającego pasterza, który nie przeze drzwi katolickie, nie w imię katolickiego krzyża, szedł do ludu, lecz opłótkami obłudy i kłamstwa.

Pan. Chrystus do jednego tylko krzyża był przybity i na jednym umarł: i ten jeden jest puścizną duchową wszystkich wyznań chrześcijańskich.

Ksiądz. Wyraziłem się symbolicznie. Wiadomo, że różne wyznania różnie samą formę krzyża przedstawiają. Nie mówiąc o rosyjskim dodatku do niego, o t. zw. ukośnicy, która pod górnym krzyżem Chrystusowym tworzyć ma niby skośny krzyż św. Andrzeja, pierwszego apostoła słowian; pomijając również formy krzyża: grecką i łacińską, jak niemniej różne typy krzyżów katolickich, np. typ krzyża od zarazy morowej, zwanego „karawika“: co ważniejsza, sam układ ciała Ukrzyżowanego przedstawia nieraz poważne różnice o charakterze dogmatycznym. Na krzyżach kalwińskim i jansenistowskim ramiona Chrystusa nie wyciągają się równolegle do ramion

poprzeczniczy, t. j. pod kątem prostym do kloca pionowego, ale biegną w górę, tworząc kąt ostry. Ma to symbolizować nietolerancki dogmat kalwino-jansenistowski, wedle którego Chrystus nie umarł za wszystkich, lecz tylko za wybranych.

Pan. (*Tryumfując*). Czy Kościół katolicki jest więcej tolerancki od kalwinizmu, gdy głosi swój odstręczający dogmat: „poza Kościołem niema zbawienia?“ Głosząc jednocześnie o śmierci Chrystusa za wszystkich, Kościół katolicki wpada w sprzeczność sam z sobą i, nie postrzegając się, w mimowolną może obłudę!

Ksiądz. (*Seryo*). Trzeba więc było, żeby Kościół, który przez szereg wieków, rękoma swoich geniuszów teologicznych, wznosił areygotycki tum swojej dogmatyki, dopiero z ust pańskich dowiedział się o rażącej sprzeczności w swojej nauce! Trzeba być, doprawdy, areylekkomyślnym zwolennikiem wolności myśli, żeby stawiać poważnie zarzuty podobne... Jeżeli Kościół uczy, iż Chrystus umarł za wszystkich, to nie przeszkadza mu wcale wskazywać drogi zbawienia jedynej, jak jedyna jest prawda. Jeżeli ją wskazuje, to właśnie dowód, iż pragnie spełnić cel Męki Chrystusowej; a jeżeli wskazuje ją z całą dogmatyczną stanowczością i nawet pod grozą anatemy, to znowu dowód, jak głęboko jest przeświadczony o prawdzie swego twierdzenia i jak je uważa za święte i nietykalne.

Głosząc, że poza nim niema zbawienia, Kościół jest tylko konsekwentny. Jest to ścisła konsekwencya, płynąca z niewzruszonego, żyjącego w Kościele, przekonania o prawdzie katolickiej. Sam Chrystus podobnie nauczał: „a jeśliby Kościoła nie usłużył, niech ci będzie jako poganin i celnik“. Po-

dobną wyłączność głosiły nawet sekty protestanckie w czasie swoich „Sturm und Drang-Periode“, świadcząc o sile swego przekonania. Dopiero z biegiem czasu, gdy żarliwość ich fanatyczna ostygła, przyznawać one poczęły moc zbawczą i Kościołowi katolickiemu. Ale to była z ich strony częściowa kapitulacja, to był dowód, iż przekonanie ich płynęło nie tyle z poczucia prawdy obiektywnej, ile ze źródeł subiektywnych, zamaconych namiętnością. Tymczasem Kościół stoi przy swoim twierdzeniu, jak skała, koło której prądy myśli ludzkiej przepływają i przemijają... Konsekwencyę przyznaje mu i wskrzeszony za dni naszych i panujący nad umysłowością społeczną filozof królewiecki, Kant, gdy mówi: „Kościół katolicki jest bardziej konsekwentny, kiedy głosi, że poza Kościołem niema zbawienia, aniżeli protestancki, który mówi, że i katolikiem będąc, zbawionym być można“.

Pan. (*Niepewnie*). Kant przyznaje nauce katolickiej tylko konsekwencyę, ale zasady monopolu zbawienia nie aprobuje. Monopol taki nie mógł podobać się umysłowi tak autonomicznemu, jak kantejski.

Ksiądz. (*Stanowczo*). Przeciwnie. Kant ubolewał raczej nad zanikiem żywotności w protestantyzmie, któremu, jako urodzony protestant, sprzyjał, i dlatego podawał mu katolicyzm, jako wzór do naśladowania. Lubo to był umysł nawskroś subiektywny, który same podstawy poznania obiektywnego podkopał, przecież umiał oceniać rzeczy trzeźwo i sumienie. Miał rozum praktyczny i rozumem tym odbudował to, co spekulatywnym był zburzył. ²¹⁾

Pan. (*Uparcie*). Konsekwencya — konsekwencyą, sympatya — sympatya, przecież dogmat o monopolu

zbawienia nie da się pogodzić z miłością, którą Chrystus miał dla ludzkości i którą On swoim wyznawcom nakazał. Ten ponury dogmat odpycha wszystkie serca szlachetne, ideą miłości bliźniego przepojone. Zrozumiał to protestantyzm i wyrzekł się tego dogmatu, co mu wyszło na dobre.

Ksiądz. (*Stanowczo*). Taki to też był i „dogmat” u protestantów! Właściwie wyrzekł się go protestancki liberalizm, ale tem samem wydał mimowoli protestantyzmowi świadectwo fałszywości. Od Kościoła zaś katolickiego odpycha on serca może szlachetne, ale zarazem i umysły nieświadome jego ducha, znające tylko jego literę, jego łupinę. Czyby pan, przeciwnik monopolów w dziedzinie ducha, chciał zmonopolizować szlachetność i miłość bliźniego na rzecz niewierzących po katolicku?

Pan. (*Naiwnie*). Jakież nowe objawienie ksiądz chce mi ogłosić?

Ksiądz. (*Z godnością*). Objawienie to może będzie dla pana nowe, ale dla uświadomionych katolików jest ono stare, jak sam katolicyzm. Kościół katolicki rozróżnia pomiędzy duszą swoją a ciałem. Do ciała swego zalicza on ludzi ochrzczonych chrztem katolickim; do duszy — wszystkich, żyjących uczciwie, chociażby tylko według naturalnych praw etycznych, a pragnących poznać prawdę religijną, lubo trwających w błędach religijnych, ale nieświadomie i w dobrej wierze. Ta jest odwieczna nauka Kościoła, posiadająca w literaturze katolickiej tysiące i tysiące wiarogodnych świadków i wymownych rzeczników. Praktycznie przeto wychodzi na to, że i każdy inowierca zbawiony być może: nie jako taki, nie dlatego, że inowierca, jak chcą liberalni protestanci, ale

dlatego, że nie z własnej winy nie poznał nauki katolickiej, w przypuszczeniu, że taką posiada gotowość przyjęcia jej, iż przyjąłby ją bez wahania i z radością, gdyby mu się ona, jako prawda, objawiła. I przeciwnie: nie każdy katolik, dlatego tylko, że katolik, będzie zbawiony. Lepiej też należeć nieświadomie tylko do duszy Kościoła, aniżeli świadomie — tylko do jego ciała.

W świetle tej autentycznej nauki, nie będzie paradoksem orzeczenie, że Kościół jest i poza Kościołem. To znaczy, że rozlewna dusza Kościoła sięga poza granice jego materialne czy nominalne. Skoro tak, tedy dogmat, że poza Kościołem niema zbawienia, zyskuje nieograniczenie na szerokości i traci to straszne ostrze, które przypisuje mu ignorancja lub naiwność, biorąca z gruba prawdy idealne.

Pan. (*Seryo*). To istotnie dla mnie nowina! Niemniej wszakże razi mię w tej nauce ów nacisk stały na przymus moralny, naganiający do katolicyzmu. Wolność sumienia, szczerza i rzetelna, nie znosi żadnego przymusu. Pierwotni protestanci, którzy stworzyli zasadę wolności sumienia, pojmowali ją szeroko, bez ograniczeń.

Ksiądz. Wolność w żadnej dziedzinie stosunków nie może być nieograniczona; wolność jednych ogranicza prawo do wolności drugih. Jest to naturalny wynik etyki życia społecznego. W zagadnieniu naszym atoli wchodzi w grę czynniki intelektualne. Chodzi o poznanie prawdy religijnej. Otóż człowiek ma obowiązek dążyć do jej poznania szczerze, beznamietnie, co już swobodę sumienia krępuje. Kościół nic innego ponadto nie głosi. Świadom tylko posiadania boskiej prawdy, wskazuje przytem na swój

boski autorytet nauczycielski. Tymczasem protestanci pojmowali swobodę sumienia jako wolność od nieomyślnej dyrektywy Kościoła nauczającego. Tego domagała się sama idea buntu przeciw jego nauce, a buntu przeciw sobie Kościół, jużci, aprobować nie mógł i nie może, bez wydania sobie świadectwa bankructwa. Na miejsce scentralizowanej w Głowie Kościoła władzy nauczającej w rzeczach wiary i obyczajów, protestantyzm proklamował władzę subiektywną, w przypuszczeniu nieomyślnego działania Ducha św., bezpośrednio na każdego z osobna chrześcijanina. Naturalnem następstwem tej zasady była anarchia religijna. Od doszczętnego rozbicia społeczności religijnej na indywidualne atomy, ratowały ją osobniki wybitniejsze, stając się ośrodkami, skupiającymi około swoich wierzeń mniejsze lub większe gromady sektantów. Działo się to, oczywiście, wbrew proklamowanej wolności wszystkich od jakiegobądź organu nauczycielstwa z zewnątrz, które miało uchodzić jako gwałt przeciw sumieniom. To, co odebrano Kościołowi, przywłaszczał sobie każdy zdolniejszy lub choćby tylko czerwieńszy nowator religijny, a stąd znowu wyniknęła tyrania sumień: z anarchii—tyrania! Czy, wobec tych nieuniknionych rezultatów bezgranicznej wolności sumienia, można wierzyć w stan idealnej anarchii, anarchii religijnej lub jakiegobądź innej? Wolność wszelka musi być ograniczona, a na straży jej musi czuwać *powołana* do tego władza. Władza uzurpatorska staje się z konieczności tyrańską.

Pan. Nie byłoby przyszło do żywiołowego wybuchu w imię wolności sumienia, gdyby przedtem nie wierano ucisku na przekonaniach religijnych i na-

wet naukowych, o których decydowano na podstawie danych teologicznych. Winien Kościół, że do tego przyszło. Okazał on przez to niezdolność do kierowania sumieniami ludzkiemi.

Pan. Winien nie pierwiastek boski w Kościele, jeno ludzki, jeno to barbarzyństwo, jakie doń wniosły ludy barbarzyńskie. W swoich najlepszych przedstawicielach stał on zawsze na wysokości swego posłannictwa. Już św. Augustyn stwierdził stanowczo katolicką zasadę wolności od przymusu, a występował przeciw ściganiu heretyków przez państwo. „Wiem—powiedział on—z własnego doświadczenia, jak trudno człowiekowi, pogrążonemu w błędach, przyjsć do poznania prawdy; ale wiem, że nigdy przymus na nie się nie przyda w rzeczach wiary, tam, gdzie mamy zdobywać przekonanie wewnętrzne“. Na długo więc, bardzo długo przed „odkryciem“ tolerancji przez postęp pozakatolicki, Kościół ją znał i wyznawał. Proszę zresztą powiedzieć, czy państwo mogło być obojętne na herezje przeciwpaństwowe, jak Wiklefa i Husa, że władca przez grzech śmiertelny traci władzę, lub że bogatym trzeba siłą własność odebrać, o ile nie zechcą oddać jej dobrowolnie?

Koniec końców, nawa Kościoła wypłynęła z burzy protestanckiej cało, nawet z tryunfem, wzbogacona doświadczeniem dziejowem, odnowiona. Wszak protestantyzm głosił był już upadek zupełny Kościoła... Ten tryumf okazał jego żywotność i wykazał jego prawo do dalszego bytu.

Pan. (*Z uśmiechem*). Mimo tego, Kościół po dawnemu sumienia uciska. Ksiądz np. musi myśleć, a przynajmniej mówić po katolicku, pod grozą najsurowszych represji.

Ksiądz. (*Z pobłażaniem*). Dziwię się, że z ust pańskich słyszę zarzut taki kuryerkowy. Gdybym przestał myśleć po katolicku, tedybym zasłużył na miano człowieka bez czei, gdybym nadal po katolicku mówił i suknię kapłańską nosił. Byłbym zaś niepoczytalnym, gdybym przestał i mówić po katolicku, a przy sutannie się upierał. Z chwilą utraty wiary, sam, *ipso facto*, wydałbym na siebie wyrok degradacyi i sambym powinien go na sobie wykonać. Gdybym tego uczynić nie chciał, cóż dziwnego, że władza kościelna użyłaby wszelkich środków, będących w jej mocy, żeby mnie usunąć? Czy można żądać od jakiegobądź korporacyi, żeby cierpiała w swem łonie zdrajcę? I higiena ciała zbiorowego wymaga odcięcia członków zepsutych. Może się zdarzać, że władze duchowne, jako z ludzi złożone, okazują się za mało wyrozumiałe na nierozmyślnie błędy przeciw wierze, że nadużywają środków karnych, że się nawet omylą,—ale to są nasze sprawy domowe. W zasadzie należy uznać, że katolik obowiązany jest w sumieniu swoim katolickiem słuchać Kościoła. Jeśli jednak słuchać go nie chce, wolna mu droga do apostazyi, ale niezamknięta i do nawrotu.

Jeżeli znowu ksiądz katolicki „musi“ myśleć po katolicku, to nie na mocy przymusu zewnętrznego, ale wewnętrznego, płynącego z głębi przekonania. Podobnie ateusz, o ile chce być konsekwentny, *musi* myśleć po ateistowsku. Wreszcie, czy i w obozach wolnomysłnych nie grzmiały anatemy przeciwko „zdrajcom“ ich doktryny?

Pan. (*Chochlikowato*). Więc ksiądz jednak przyznaje wypadki gwałtu nad sumieniem ze strony Kościoła.

Ksiądz. (*Mocno*). Wyjątkowe wypadki takie nie wypływają z zasady, jeno z omylności ludzkiej w jej stosowaniu, nawet ze złej woli jednostek złośliwych; jako takie, każą się one domyślać zasady przeciwnej. Może do kategorii gwałtów zaliczy pan, razem z żakami pewnej szkoły polskiej, modlitwę przed lekcjami, iż pewna część uczniów, modlitwie niechętna, musi jej słuchać? Z drugiej strony, co za „tolerancya” ze strony mniejszości inowierczej lub bezwyznaniowej, gdy usiłuje zmajoryzować ogromną większość katolicką i — swoje zasady, rzekomo neutralne, jej narzucić?

Pan. (*Ilekceważąco*). Jeżeli ksiądz mówi z przekonania, to mówi z konieczności psychicznej tak, jak go nauczylili w seminarjum. Jest to przysięganie na słowa mistrzów, dziwny w naszych czasach przeżytek średniowiecznego scholastyizmu.

Ksiądz. (*Mocno*). Scholastyce wykuli zasadę, że twierdzenie mistrza, choćby największego, waży tyle, ile ważą jego argumenty. Jeżeli mimo tego hołdowali niedość krytycznie Mistrzowi Szkoły, Arystotelesowi, w kwestyach przyrodniczych, to wskutek niskiego wówczas poziomu nauk doświadczalnych. Brakło im argumentów *contra*. Pozatem, hołdowanie powagom jest właściwością wszystkich czasów i wszystkich doktryn. Równem prawem powiedzieć mogę, że pan mówi tak, jak mówi, bo tak go nauczyla szkoła świecka. Kwestyę, po której stronie jest więcej krytycyzmu rozstrzyga znajomość nauki nie tylko własnej, ale i przeciwnej. Po stronie pańskiej stwierdzam co chwila elementarną nieznaną nauki katolickiej.

Pan. (*Sztyletowo*). Rozmowienia księdza przypominają mi owego murzyna, który uważał za dobre,

gdyby sam komu żonę porwał, a za złe, gdyby mu kto jego własną uprowadził. Co przeciw katolicyzmowi—to, według księdza, złe; co na jego korzyść—to dobre.

Ksiądz. (*Spokojnie*). Bez wątpienia tak jest. Jeno - zastrzeżenie maleńkie! — katolicyzm to nie murzyn, a murzyn to nie wcielenie prawdy i cnoty, przed którym trzebaby palić kadzidło. Murzynowi, ani żadnemu innemu człowiekowi, niewolno mierzyć dobra swoją korzyścią osobistą. Ponad człowiekiem istnieje wyższa prawda moralna obiektywna, według której powinien on czyny swoje regulować. Czy gotówby pan ironizować z zasady ogólnej, że co przeciw prawdzie i cnocie — to błędne i niemoralne, a co na korzyść prawdy i cnoty — to prawdziwe i moralne? Otóż katolicyzm przedstawia sobą prawdę religijną: dogmatyczną i etyczną, pochodzącą od Chrystusa, która, jako taka, ma być regulatorem myśli i czynów ludzkich, więc miarą tego, co złe a co dobre, i tego, co prawdziwe a co fałszywe.

Pan. (*Ciekawie*). Przedtem przyznawał ksiądz prawo bytu innym wyznaniom, a teraz, za jednym zamachem, zagarnia wszelkie prawa i przywileje na rzecz katolicyzmu. Jak jedno z drugim pogodzić?

Ksiądz. (*Spokojnie*). Katolicyzm obce wyznania toleruje, jako dziejowe *malum necessarium*, a dąży do zjednoczenia wszystkich narodów na łonie Kościoła, zwanego przeto katolickim czyli powszechnym. Jako posiadacz, stróż i nauczyciel religii, jedynie, w całej pełni, prawdziwej, Kościół wymaga dla siebie przywileju, należnego prawdzie przeciw błędom. Wymaganie to stawia on nie tyle w nadziei rychłego zadosyćuczynienia, ile gwoili stwierdzeniu

swoich praw, nadanych mu przez Chrystusa. A tymczasem pracuje i walczy bronią słowa Bożego o stopniowe zrealizowanie na ziemi misyi zjednoczenia ludzkości pod jednym Pasterzem — Chrystusem na Niebie, i jednym Jego zastępcą — Papieżem na ziemi.

Pan. (*Zgorszony*). Znowu ksiądz wysuwa naprzód, przeciwne równości demokratycznej, przywileje!

Ksiądz. (*Żywo*). Pomiedzy błędem a prawdą równości być nie może. Przywileju żąda dla siebie przez Kościół sam Chrystus. Zali nie ma On prawa do tego? „Co za towarzystwo światłości z ciemnościami..., a co za zgoda Kościołowi z bałwanami..., albo co za zgoda Chrystusowi z Belialem?... Bo nie możemy nie przeciwko prawdzie, ale za prawdą!” — woła św. Paweł. Do zastosowania w świecie idei, strychulec demokratyczny nie nadaje się absolutnie!

Pan. (*Obojętnie*). Słowa św. Pawła z równą pewnością siebie mógłby przytoczyć każdy wyznawca każdego innego wyznania.

Ksiądz. (*Łagodnie*). I, o ile je z taką pewnością siebie, a z dobrą wiarą przytoczy, o tyle należy bezwiednie do duszy Kościoła katolickiego. I, jeżeli tylko jest szczerym chrześcijaninem w życiu, współpracuje on z Kościołem dla sprawy Chrystusa. O takich to błędnowiercach powiedział Mistrz do uczniów, karcąc ich, że odsunęli odeń sympatyków Jego, bo nie „naśladowali” Go z nimi: „Kto nie jest przeciwko wam, za wami jest”.

Pan. (*Żywiej*). A jeżeli on walczy przeciw katolicyzmowi?

Ksiądz. (*Miękko*). I św. Paweł walczył przeciw Kościołowi. Jeżeli to dusza Pawłowa, przejrzy na oczy! Niestety, dusz takich niewiele!

Pan. (*Beznadziejnie*). Zeszliśmy z terenu rozumu na mistyczny grunt wiary...

Ksiądz. (*Z otuchą*). Rozum wszędzie wierze towarzyszy!

Pan. (*Oziębłe*). Bądź-co-bądź, do uznania t. zw. „prawdy“ katolickiej rozum nie wystarcza. Do tego trzeba wiary.

Ksiądz. (*Żywo*). Ale bynajmniej nie tak zwane „ślepej“!

Pan. (*Oschle*). Mniejsza z tem. Fakt, że ja wiary takiej nie mam, i dlatego sumienie moje nie pozwala mi narzucać komubądź poglądów, których nie podzielam, które, owszem, uznaję jako szkodliwe i nie kulturalne.

Ksiądz. (*Kłująco*). Mógłbym przypomnieć panu jego murzyna... Przypomnę mu raczej jego kalendarz. Jest on przeznaczony dla czytelników katolickich, którym należy się nauka katolicka, gdy pan chciałby im narzucać poglądy niekatolickie. Do oddziaływania na opinię służy panu prawo, ale w wydawnictwach osobistych, nie zaś publicznych i zbiorowych. Jeżeli sumienie pańskie tak drażliwie reaguje przeciw przykładaniu ręki, nawet nie autorskiej, ale redaktorskiej do szerzenia poglądów obcych, to należało nie podejmować się roli redaktora. Zastrzegam się kategorycznie, iż nie chodzi mi zgola o mój artykuł: nie zależy mi wcale na przeforsowaniu go do pańskiego kalendarza. Jeżeli go wspominam, to jedynie gwoli ilustracyi zasady, o którą chodzi. Ilustracya ta jest bardzo charakterystyczna. Będąc na miejscu pańskim, nie podejmowałbym się redakcyi wydawnictwa, przeznaczonego z natury rzeczy dla sfer, do którychbym, czy to przekonaniem, czy choćby

tylko materyalnie, nie należał. Czy pan sądzi, że kalendarz pański będą czytali ludzie t. zw. liberalni? Oni za dumni są na to! Co innego podkasany kalendarzyk humorystyczny... Rozrywka ma swoje prawa...

Pan. (*Żywiej*). Podjąłem się wydawnictwa bezinteresownie i w przekonaniu, że przysługuję się dobroczynności.

Ksiądz. (*Bodząco*). Czy bezinteresownie pod względem ideowym, to pytanie! A dobroczynności przysłużyć się pan może, jak przysłowiowy niedźwiedź. Nie może pan chyba oczekiwać, żeby obyło się bez protestu przeciw kalendarzowi niekatolickiemu ze strony katolickiej, dla której jest on przeznaczony. Jeżeli przysługa wobec dobroczynności może się okazać niedźwiedzią, to czytelnicy będą mogli przypomnieć sobie ucztę, jaką sprawił lis żórawiowi, podając kaszę na płaskim półmisku. Biedny żóraw stuknął dziobem i stukał, a nie nabrać nie mógł...

Pan. (*Zdetonowany*). Byłoby to ze strony katolickiej podkopywaniem dobroczynności.

Ksiądz. (*Staccato*). Mimowolnem, niezamierzonem i przykreem, ale koniecznem, w imię sprawy ważniejszej, niż dobroczynność materyalna, gdyż w imię obrony sumień katolickich od obrazy.

Pan. (*Forzando*). Mój kalendarz będzie bezpartyjny i bezbarwny, więc nieczyich uczuć nie obrazi. Nie będzie on katolicki, ale nie będzie i antykatolicki.

Ksiądz. (*Con fuoco*). Ale będzie akatolicki! Najgorszy to rodzaj literatury. Można doń zastosować groźne słowa apokaliptyczne: „Iżes nie jest ani zimny, ani gorący, ale letni, pocznę cię wyrzucać z ust

swoich“. Letnia wodzianka, która przyprawia o mdłości! Dział, który stanowi istotę kalendarza, będzie arcykatolicki, z czem będzie się kłócił dział t. zw. „literacki“. Czy nie należałoby pomyśleć o zreformowaniu kalendarza na wzór francusko-rewolucyjny? Czytelnicy wiedzieliby przynajmniej, z czem mają do czynienia. Mistrz niepodległości, Niemojewski, zrobił już początek i dał dobry przykład... ²²⁾

Pan. (*Irato*). Otóż dowód nietolerancji katolickiej! Czy Chrystus nie powiedział, co sam ksiądz przed chwilą przytoczył: „Kto nie jest przeciwko wam, za wami jest“? Nie wypowiadamy wojny katolicyzmowi, a katolicyzm występuje przeciw nam zaczepnie!

Ksiądz. (*Dobijając*). Kiedy Chrystus na żądanie Kajfasza wyznał swoje Bóstwo, arcykapłan rozdarł na sobie szaty i zawołał do sanhedrynu: „Zbłąznili! Cóż dalej potrzebujemy świadków? Otoście słyszeli bluźnierstwo!“ Pan powtórzył gest Kajfaszowy, ale zapewne bezwiednie, mimowoli. Dlatego też, jeżeli obłudny, złowierczy gest Kajfasza pozostał bez odpowiedzi ze strony Chrystusa, to panu odpowiedź ode mnie się należy. Chrystus powiedział także słowa, tantym z pozoru przeciwne: „Kto nie jest ze mną, przeciw mnie jest. Kto nie zgromadza ze mną, rozprasza“. Temi słowy boski Mistrz zabezpieczył tamte od nadużyć, podobnych pańskiemu. Do działaczy akatolickich stosują się właśnie te, które przed chwilą przytoczyłem. Wykazać to nietrudno. Odrzucił pan artykuł, bo niby „ciasny“. Ale to był artykuł katolicki, zatem nauka katolicka jest także „ciasna“. Natomiast gotówby pan był pomieścić robótkę liberalną, wedle swego serca. Ta jednak robótką byłaby

z konieczności niezgodna z nauką katolicką, zatem byłaby nie tylko poprostu niekatolicka, ale wręcz przeciwkatolicka. Akatolicyzm jest w zamiarze, w założeniu, antykatolicyzm zaś jawi się w rezultacie, jakkolwiek błady, zbliżony do bezbarwności. Brak sympatii, w praktyce, równa się antypatii. Tym sposobem znajdują tu zastosowanie słowa, z pozoru paradoksalne, a w istocie, jak widzimy, głębokie: „Kto nie jest ze mną, przeciw mnie jest. Kto nie zgromadza ze mną, rozprasza“. ²³⁾

Pan. (*Past!*).

Ksiądz. (*Animoso*). A propos! Pan bez wątpienia jest przeciwnikiem wszelkiej cenzury?

Pan. (*Grandioso*). To się rozumie samo przez się! Cenzura jest rażącym w naszych czasach przeżytkiem średniowiecznego wsteczniactwa. Znika ona wszędzie, jak ciemność przed światłem, gdziekolwiek zjawi się i zwycięży Oświata nowożytna. Nieobliczone straty wskutek cenzury ponosiły i ponoszą jeszcze w niektórych krajach nauka i ciemnione ludy. Wszystkie najbardziej cywilizowane narody, które kroczą na czele ludzkości, mają wolność słowa i prasy zaznaczone w swoich konstytucjach, lub zawzięcie o nią walczą.

Ksiądz. (*Allegramente*). Bardzo pompatyczna ty-rada... Ale—przepraszam pana najmocniej! — jak ją pogodzić z faktem odrzucenia przez niego artykułu o tolerancji? Zarzucił pan katolicyzmowi zaczepność, a kto tu kogo właściwie zaczął? Czy nie zaszło tu coś podobnego do zajścia między barankiem a wilkiem przy strumieniu z bajki Fedrusa? Pomijam ten incydent. Ale wszak tym sposobem wykonał pan prawo cenzury, i to na gruncie mu ob-

cym, katolickim! Cenzura widać wynika z prawa natury, tylko każdy radby ją mieć na wyłącznych usługach własnego „credo“, dlatego szczeka na tych, co ją posiadają faktycznie...

Pan. (*Con disperazione*). To zupełnie co innego! Nie może być tolerancyi dla nietolerancyi. To jedyny wyjątek, jaki od zasady wolności czyni liberalizm. Wynika on z jego natury.

Ksiądz. (*Allegro*). Była chwila, kiedy pan w imię tegoż liberalizmu wyznawał wolność bezwzględna. Mniejsza z tem! Przyjmijmy to za przeoczenie i kwita! Zyskujemy ustępstwo, które warto ustępstwa. Zrobiony przez pana wyjątek, to cenny wyłom w twierdzy liberalizmu, wyłom, przez który dostać się do niej może cała bateria zasad katolickich. Dlaczegoż to bowiem nie uznaje się tolerancyi dla nietolerancyi?

Pan. (*Żywo podchwytnie*). Bo nietolerancya zniszczyłaby tolerancję. Są to przeciwnicy, jak ogień i woda: jeden obok drugiego istnieć nie może!

Ksiądz. (*Con precisione*). Tak jest niewątpliwie. Idźmy jednak dalej. Z tych dwóch zapaśników, obaj zgadzamy się na to, jeden jest zły, drugi dobry. Oczywiście, obaj również, pragniemy unicestwienia złego. Czemu? Bo zły! Posuńmy się jeszcze dalej. Jeżeli życzymy unicestwienia dla jednego zła, czemu wszystko inne zło poza tem ma być wolne, swobodne i szkodzić dobru bezkarnie? Naprzykład, taka ohyda, zarówno estetyczna, jak etyczna, jaką jest pornografia w druku i farbach... bo trudno powiedzieć: w literaturze i sztuce...

Pan. (*Decrescendo*). To znowu co innego! Pornografia zbydlęca młodzież i tłum, nawet ów „inteligentny“, dlatego słusznie występują przeciw niej:

opinia i prawodawstwo, nie wyłączając liberalnego. Zastrzegam się tylko przeciw piętnowaniu mianem pornografii dzieł istotnego talentu.

Ksiądz. (*Crescendo*). Między pornografią grubą, a noszącą stygmat talentu, zachodzi różnica tylko taka, jak między prostytutką uliczną a damą z półświatka i nawet świata pełną gębą, jeśli oddaje się nierządowi. Strój artystyczny zdobi tylko powierzchownie, nie zmieniając istotnej wartości moralnej dzieła czy osoby. Liberalno-demokratyczne Stany Zjednoczone nie tolerują nagości, nawet rzeczywiście artystycznej, na wystawach sklepowych, na placach i w ogrodach publicznych. Ale mniejsza o to. Chodzi o coś ważniejszego dla naszej kwestyi. Stwierdził pan drugie „co innego” i rozszerzył swój wyłom. Buduję się i posuwam o duży krok dalej. Twierdzę, że pornografia jest pomiotem niewiary; zatem i niewiarę także, jej propagandę, należy tłumić za pomocą tak kulturalnego środka, jakim jest cenzura: należy wziąć ją na łańcuch, jak psa, podejrzanego o wściekliznę.

Pan. (*Energico*). Hola, księżu! Co to, to nie! Wybaczając księdzu zrozumiałą dla mnie wybuch katolickiego fanatyzmu, zauważyć muszę, że związek przyczynowy między religią a moralnością jest dziś co najmniej zakwestyonowany poważnie. Poza dogmatem religijnym rozwija się szlachetny ruch etyczny, kwitnie etyka naukowa!

Ksiądz. (*Determinato*). I np. we Francyi, gdzie tę etykę wprowadzono do szkoły rządowej, wydaje ona owoce w postaci zastraszającego wzrostu przestępczości małoletnich. Już św. Augustyn był świadkiem takich konkurencyjnych ruchów etycznych

w łonie starego pogaństwa i, oto, co powiedział: „Usiłują (poganie) przekonać ludzi, aby dobrze żyli, nie zostając chrześcijanami. Inędy chcą wejść, porywać i zabijać, nie jak pasterz dobry -zachować i zbawić. Byli niektórzy filozofowie, traktujący wiele i subtelnie o cnotach i występkach, którzy podobnie mieli śmiałość wołać: Idźcie za nami, naszej się sekty trzymajcie, jeżeli chcecie żyć szczęśliwie! Lecz nie wchodzili przeze drzwi (którymi jest Chrystus): chcieli tracić, mordować, zabijać“. Nie nowego pod słońcem!

Pan. (*Eroico*). Głupie malcy niezdolne są ocenić doniosłości etyki bez nadprzyrodzonego bata. Trzeba naprzód, żeby kultura etyczna, oparta na nieznanych dawniej podstawach naukowych, przeniknęła społeczeństwo nowożytne. Sprowadzanie jej do szkoły jest może jeszcze przedwczesne.

Ksiądz. (*Fermamente*). Etyka chrześcijańska od pierwszego wstępu okazała w pełni swoją moc i piękność. Dowód, że ma w sobie bodźce dogmatyczne silne, porywające. Etyka naukowa tymczasem odrazu zrobiła fiasco, ujawniając swą płonność, gorzej, bo szkaradną obludę. Nietylko wśród małoletnich wiekiem czy duchem, ale i w kołach inteligencji wyższej, twórczej, rodzi ona wyrodków. Sądy skazywały na więzienie: Verlaine'ów, Baudelaire'ów, Oskarów Wildów, Karolów Mendesów i t. d. Niedawno karze takiej uległ osławiony żyd francuski, Flachon, redaktor socjalistycznej „Latarni“, mającej stałą rubrykę p. t. „Monstra w sutannie“. Osobliwy ten obrońca moralności, który, nie mogąc realnie, wieszał na swojej papierowej „Latarni“ księży *in effigie*, dopuszczał się występków na 5-9 letnich dziewczątkach.

Pan. (*Fervidamente*). A Macoch! a Macoch! Zapomniał już ksiądz o ciemnych sprawach na Jasnej Górze? Społeczeństwo popamięta to dłużej!

Ksiądz. (*Forté*). Argument z ciemnych nor fałszywej oświaty. Zbrodnie Macocha o tyle są bezwzględnie przeciwne duchowi Kościoła, o ile są zgodne z zatrutym niewiarą duchem czasu, który podobne zbrodnie kopami wśród świata wydaje. Na rachunek więc ducha czasu trzeba je wciągnąć. On to w Macochu wtargnął na Jasną Górę przez wyłom rozluźnionej karności zakonnej, tej „zasługi“ uwielbianego przez społeczeństwo świeckie przeora. Zgorszenie bezwierców z tego powodu było faryzejskie. Oburzali się z lubieżną rozkoszą. Nawet nie w głębi duszy, ale całkiem cynicznie radowali się ze skandalu, jako wybornej a tak wyjątkowej okazji do spotęgowanego szturmowania Kościoła. Co wstrętniejsze: także jako ze źródła brudnego dochodu. Wszystko to zatem dowodzi tylko potrzeby nadprzyrodzonego bata, jak pan dosadnie powiedział. Zbytecznie tylko wyraził pan dlań pogardę. Dla ludzi na wyższym poziomie kultury religijnej, potężną pobudką do dobrego jest raczej nadprzyrodzone...

Pan. (*Scherzo*). Cacko pod postacią legendy niebieskiej...

Ksiądz. (*Serioso*). Nadprzyrodzone Niebo, które śniło się już Homerowi, jako Elizeum. Nie śni się ono tylko płaskim liberałom, którzy z Monteskiuszem utrzymują, że „ludzie rozsądni unikają Raju“. Unikają Raju nadprzyrodzonego, żeby go stworzyć sobie na ziemi. Szkoda tylko, że te raje ziemskie ściągają policję. Co za wsteczność, co za nietolerancja! Nieprawdaż?

Pan. (*Serioso*). Wymawiam sobie podobne żarty, kierowane pod adresem liberalizmu, którego jestem wyznawcą... Żarty na stronę, szanowny księżu!

Ksiądz. (*Scherzo*). Więc mamy znowu nietolerancję liberalną dla żartów... (*Serioso*). Pan jednak pozwolił sobie również zażartować, i to z wiary i aspiracyi milionów! Liberalizm pański zwraca się tym sposobem przeciwko nauce katolickiej. Pańska nietolerancja dla nietolerancyi, w przekładzie z języka marzycielskiej ideologii liberalnej na język surowej rzeczywistości, oznacza nietolerancję dla katolicyzmu, jako rzekomego wcielenia nietolerancyi.

Teoria liberalistyczna, ponętua zdaleka, jak mi-
raż,—w zetknięciu z życiem wyrodnieje fatalnie. Skóra
polska stwierdziła to boleśnie sama na sobie w Pru-
sach. Kiedy współczuje tam z nami określony i zde-
terminowany socyalizm, to liberalna gałaretka nie-
miecka, tak obiecująca podczas „wiosny narodów“,
steżwała w twardy przeciwpolski kamień. Cóż dopiero
mówić o katolicyzmie! Pozostawiając na boku ja-
skrawsze przykłady zwyrodnienia liberalizmu w kra-
jach romańskich,—w tych samych Niemczech stwier-
dzamy fakt pełnej wolności masoneryi obok spętania
Jezuitorów. Zważywszy, że masonerya to sztab główny
bezwierczego wolnomyslicieltwa, gdy Jezuici tworzą
awangardę katolicyzmu, ten fakt okaże się bardzo
znamiennym. Obnaża on postęp, ukryty w liberal-
nem hasle wolności, a polegający na tem, żeby pod
osłoną tego hasła przemycać terrorystyczny ateizm.
śmiertelnego wroga katolickiego Chrześcijaństwa. Li-
beralizm, to drewniany koń Ulissesa, obrachowany
na zburzenie katolickiej Troi. Ci, co weń wierzą, są
to liberalni rogače, idący na pasku wolnomularskim.

Pan. (*Acciaccato*). Ksiądz pozwala sobie mnie obrażać! Czy impertynencye należą także do metody apologetycznej katolicyzmu?

Ksiądz. (*Sumitując się*). Przepraszam najmocniej, jeśli pana niechcący dotknął. Czyżby jednak nowe ograniczenie wolności słowa w imię liberalizmu? Wszak skwitowaliśmy z elegancyi, a wedle mojego przekonania, to, com powiedział, odpowiada rzeczywistości.

Pan. (*Nakładając sobie thumik*). Jeżeli mnie obowiązuje liberalizm, to księdza obowiązuje przynajmniej zwykła grzeczność, wypływająca z chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Ksiądz. (*Doloroso*). Wolnomyślni lubią nam dawać interesowne lekcye miłości bliźniego, jeżeli nie przykładem, to gołem słowem. Wyobrażają sobie nas, jako fanatyków z konieczności, jakoby zaś sami byli spadkobiercami, skażonej przez Kościół, a przez nich oczyszczonej, Chrystusowej idei braterstwa. Ulegają fatalnemu złudzeniu, o ile są w dobrej wierze. Kochają człowieka, nie kochają Boga. Co odebrali Bogu, dają człowiekowi. Ponieważ Bóg nienawidzi błędu i grzechu, zatem kochają człowieka razem z jego błędami i grzechami. Stąd złudzenie, jakoby kochali mocniej, gdy kochają gorzej. Z miłością błędu i grzechu łączy się nienawiść prawdy i dobra.

Stwierdza to znakomity asceta, o. Faber: „Coraz rzadsza jest dawna nienawiść herezyi, zanika nawyknięcie uważania Boga za jedyną Prawdę, tak, iż odszczepieństwo przestaje być czemś strasznem. Coraz mniej zatrważa rozdwojenie i błąd, coraz więcej oswajamy się z niemi. Przestaliśmy nienawidzić kłamstwa, gdyż słabo kochamy prawdę“. Głęboko myślący (szkoda, że piszący mało, a znany jeszcze

mniej...) ks. dr. Rutkowski dodaje do tego: „W taktyce życiowej staramy się zacierać granice prawdy i błędu, ażeby nie widzieć kontrastów rażących; w barwach i tonach lubimy wszechmiłość i wszechprzebaczenie, które w gruncie są wyrazami obojętności i lekceważenia wszystkiego... Ci sami jednak zwolennicy wszechmiłości, wszechprzebaczenia i wogóle tonów słodkich,—gdy chodzi o katolicyzm, tracą nagle te piękne przymioty i wpadają w tony furi. o jakich się katolikom nie śniło“.

Pan. (*Scherzando*). Wszystko to może być bardzo budujące, tylko że niewiele ma wspólnego ze wspaniałomyślnym liberalizmem. Ksiądz zawsze mierzy w liberalizm, a trafia w przeciwkatolickie fanatyzmy. Fanatyzm katolicki szuka fanatyzmu, żeby się mógł wyładować. Katolicyzm wprost prowokuje do fanatyzmu!

Ksiądz. (*Serioso*). Pan wciąż mię zmusza do zdzierania z liberalizmu maski, którą się on chętnie osłania. Liberalizm usiłuje przedstawiać się, jako wspaniałomyślnie obojętny na fałsz lub prawdę. Gdyby to było prawdą, zwolennicy jego powinni by byli trzymać się zdaleka od walk o światopoglądy, co najwyżej dając baczenie, żeby żadna ze stron walczących nie wpadała w nienawistny fanatyzm. W życiu tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie. Liberalowie wszędzie okazują jawną nieprzyjaźń katolicyzmowi, sprzyjają natomiast jego śmiertelnym wrogom, owszem, wiążą się z nimi w polityczne bloki. Niepodobna zaś nie widzieć, żeby wrogowie ci nie uprawiali nienawistnego rzekomo liberałom fanatyzmu, i to w najgorszym, terrorystycznym gatunku. Wszystko to wykazuje, że na dnie pięknej na oko teorii liberali-

stycznej spoczywa niechęć do nauki katolickiej, a sympatya dla doktryn i wyznań, jej przeciwnych. Z tych zarodków niechęci z jednej strony, sympatyi zaś z drugiej, rozwija się pod wpływem walki namiętny antykatolicyzm, maskowany terminem antyklerykalizmu. Godzi się on budująco z wszelkimi wierzeniami, z wyjątkiem katolickich. Takim samym tolerantem dogmatycznym był Rzym cesarów, który do swego Panteonu sprowadził posągi wszystkich bogów cudzych, a zato tem gwałtowniej prześladował Boga chrześcijan.

Pan. (*Impazietamente*). Stary Panteon Romy cesarów w niczem nie przypomina społecznego Panteonu w Paryżu. Tam były fikcyje bogów, tu są wielcy ludzie, którzy na cześć świata zasłużyli.

Ksiądz. (*Improvviso*). Np. „ubóstwiony“ Zola... (*Serioso*). Podobieństwo między obu Panteonami jest w tem, że jeden i drugi zarówno wypędził Chrystusa, co tezę moją potwierdza. Społeczna liberalna tolerancya dogmatyczna, społeczny przeciwbożny humanitaryzm, wyjmujący z pod prawa katolicyzm, tłumaczy nam doskonale objawy tego rodzaju, jak bezwzględne uniewinnianie, z motywów niby naukowych à la Lombroso i Zola, apaszów przez sądy paryskie, a w Warszawie obsypywanie kwiatami Ronikerów przez „kochające“ kobiety... To są także trujące owoce moralności „naukowej“. Powiedziano zaś: „Z owoców ich poznacie je!“

Niedosyć więc na tem, że odwrotna strona tak pojętej miłości jest nienawiścią prawdy i cnoty, względnie — reprezentującego je katolicyzmu; jest ona jednocześnie nienawiścią społeczeństwa, bo po-

zwała grasować przeciw niemu bezkarnie, w imię nauki i wolności, występkom indywidualnym.

Daremnie etyka naukowa sili się, żeby zastąpić, nawet przelicytować, etykę chrześcijańską! Boskiej trójcy cnót: wierze, nadziei i miłości — przeciwstawia się dyabelska trójca występków: niewiary, rozpacz i nienawiści. Wbrew ideologii wolnomyślnej, życie z żelazną logiką wyciąga płynące z niewiary konsekwencye.

Wobec tego, do kategorii zła, które nie zasługuje na tolerancję, mam prawo wciągnąć propagandę ateizmu, jako źródła wszelkiego zła intelektualnego i moralnego. Ileby się zła uniknęło, gdyby na ateizm nałożono kaganiec cenzury, któż zdoła obliczyć?!

Pomyśleć jeszcze o tym rozpaczliwym zamęcie pojęć i poglądów, spowodowanym przez liberalizm, o tej powszechnej płytkości umysłowej, będącej wynikiem czytania wszystkiego bez wyboru, z wyjątkiem wydawnictw katolickich, które indeks wolnomyślny objął zakazem: „*catholica non leguntur*“: a zdolamy ocenić wartość cenzury, któraby temu wszystkiemu zapobiegła! Oczywiście, odrzucam narzucaną Kościołowi odpowiedzialność za nadużycia cenzury, zostającej na usługach egoizmów państwowych lub fanatyzmów seceiarskich.

Pan. (*Pomposo*). Cenzura na usługach katolicyzmu zahamowałaby świetny rozwój nauk, jaki one zawdzięczają wolności!

Ksiądz. (*Molle*). Cenzura na usługach katolicyzmu zabezpieczyłaby nauki od zboczeń, którym one podlegają wskutek tendeneyi ateistycznych.

Pan. (*Marziale*). Wychodzi ksiądz z założenia o zgodności wiary z nauką. Nauka społeczna zało-

żenie to podkopała, jeśli go jeszcze nie wywróciła ze szczytem.

Ksiądz. (*Pacato*). Pan zaś wychodzi z założenia o niemożności pogodzenia nauki z wiarą. Są uczeni wierzący, i to przedewszystkiem pierwszorzędni, w których umysłach zgoda taka istnieje. ²⁴⁾

Pan. (*Forté*). Wolność badania jest nieocenioną zdobyczą nowożytną, której świat cywilizowany odebrać sobie nie pozwoli nikomu i przenigdy. Biada zuchwalecy, któryby się o to pokusił!

Ksiądz. (*Moderato*). Jeżeli pogrożka pańska zwraca się przeciw Kościołowi, to trafia w próżnię. Kościół przyznaje sobie kompetencję tylko w rzeczach wiary i obyczajów, skąd wynika samo przez się przyznanie nauce wolności badania. Pilnuje tylko pola swojej wyłącznej kompetencji, żeby je ochronić od barbarzyńskich wtargnięć i zniszczeń ze strony niedowiarstwa i głupoty. W kwestyach jednak mieszanych, jakie nasuwa zwłaszcza Biblia, Kościół stronę ich naukową poddaje sądowi nauki i pożąda jej światła. Doświadczenie z teorią Kopernika nie poszło na marne. Jeżeli dziś katolicy zwalczają podejrzone rewelacje naukowe, to za pomocą dowodów, czerpanych także z nauki. Jeżeli odgrywają tu jaką rolę motywy religijne, to są starannie ukrywane za kulisami, podobnie, jak to czynią uczeni ateści z motywami antyreligijnymi. Wolno to ateistom, czemużby miało być wzbronione wierzącym? Jak liberalizm, to liberalizm!

Pan. (*Stropiony*). Nie odpowiadam za radykałów, a z katolicyzmem bądź-co-bądź się nie godzę. Stoję na stanowisku lessingowskiego Natana. Mędrca, który z uniesieniem radości zawołał do templaryu

sza: „Ach, gdy w was człowieka znajduję, dość mi, że się zwę człowiekiem!“ Widzimy człowieka w Chrystusie, gdy samarytanów daje żydom za wzór, gdy rozgrzesza Magdalenę, gdy płacze nad grobem Łazarza i nad Jerozolimą, gdy karmi rzesze zgłodniałe, gdy czerpie z natury i z życia obrazy do swoich przypowieści, gdy wchodzi w przykre położenie gospodarza wesela w Kanie Galilejskiej, gdy, wreszcie, uczy widzieć w każdym człowieku bliźniego i t. d. Niestety, jak rzadko spotykamy człowieka w księżach! A gdy takich księży-ludzi spotykamy, stwierdzamy jednocześnie, iż są oni źle widziani u władz duchownych. Kościół potępił „Nędzników“ Wiktora Hugo za humanitarną postać biskupa Myriela!

Ksiądz. (*Addolcendo*). Rysy ludzkie Chrystusa, które pan przytoczył, nie dają nam jeszcze pełnego portretu Jego postaci duchowej. Chrystus był nie tylko człowiekiem, ale i Bogiem. Nadto, jako człowiek, nie mógł On być i nie był, chociażby najdoskonalszym, człowiekiem natury, ale był człowiekiem nadprzyrodzonym. Kapłan Chrystusowy, jako mający być „alter Christus“, według wyrażenia jednego z Ojców Kościoła, musi na sobie odwzorowywać ideał, wcielony w jego Mistrzu, czyli, powinien być również człowiekiem nadprzyrodzonym, jak zresztą i każdy chrześcijanin. To, co pan, wraz z wielu podobnie myślącymi, bierze za brak w księżach człowieka, bywa raczej brakiem w nich człowieka natury. Ludzie, sami znaturalizowani, chcieliby widzieć księży, podobnymi do siebie, w myśl adagium: *similis simili gaudet*. W osobie biskupa Myriela, katolicezm klęka przed rewolucją, uosobioną w konającym konwencyoniście!

Weźmy nadto pod uwagę i fakt, że Chrystus miał, oczywiście, wykończony, doskonały, harmonijny i uderzający boskością pogląd na świat i życie, pogląd doskonale prawdziwy, wyraźny i określony, który, jako „światłość“ boską, niedarmo przyniósł na ziemię: apostołował go sam i w końcu przekazał go wykształconym przez siebie apostołom, żeby oni szerzyli go po całym świecie: „Idąc, nauczajcie wszystkie narody“. Ci apostołowie, zorganizowani hierarchicznie przez Chrystusa, utworzyli pierwiastki dzisiejszego Kościoła nauczającego. Wobec tego, Chrystus musiał być i był rzeczywiście pierwszym nietolerantem dogmatycznym katolickim. Stworzył On anatemę katolicką: „...a jeśli by Kościoła nie usłuchał, niech ci będzie jako poganin i celnik“. Apostołów swoich wysłał w świat, żeby burzyli ołtarze i bogi pogańskie, na rzecz Jego Bóstwa i ołtarza. Faryzeuszów chłostał i piętnował boskiem słowem swoim; kupejących w świątyni wypędzał dwukrotnie biczem, ukreconym z powrozków. Tak postępował Chrystus, ilekroć szło o zasadę. Przemieniał się natomiast w pełnego boskiej dobroci i wyrozumiałości Mistrza, gdy chodziło o dusze ludzkie, nawet grzeszników publicznych, byle upokorzonych. Lnu kurzącego się nie gasił, trzciny nadłamaney nie łamał...

Pan. (*Acuto*). Jestem przekonany, że gdyby Chrystus przyszedł po raz drugi na ziemię z tem samem, co pierwiej, posłannictwem, tobyśmy wszyscy nawrócili się do Niego. Księża zatracili ducha Chrystusa!

Ksiądz. (*Crescendo*). A ja jestem przekonany, że w takim wypadku, przy panującym obecnie kodeksie kłamstw konwencyonalnych, przy naszej bezbarw-

ności, zmateryalizowaniu i zżydzeniu, raczej ukrzyżowalibyśmy Chrystusa powtórę! Kto szuka Chrystusa prawdziwie, ten Go znajdzie żyjącego życiem mistycznym w Kościele. Tymczasem, któż to tego mistycznego Chrystusa prześladuje?!

Pan. (*Accrescendo*). Wielu księży niechybnie odegraliby przy powtórnym krzyżowaniu Chrystusa rolę faryzeuszów i doktorów starozakonnych!

Ksiądz. (*Gravemente*). Jakie społeczeństwo—takie i duchowieństwo! Uderzając na księży, społeczeństwo oskarża samo siebie. Cóż ono czyni, żeby miało księży doskonałych? Potrafi ono tylko krytykować ich bez pardonu, i to nie w duchu katolickim co jedynie mogłoby być pożyteczne. Niby szuka prawdy religijnej, lecz tak, żeby jej nie znaleźć. Podobnie faryzeusze oczekiwali Chrystusa, mieli Go na ustach, a nie poznali i nie uznali obecnego wśród siebie.

Pan. (*Negligente*). Z większą jeszcze słuszością możnaby odwrotnie powiedzieć. Jeżeli społeczeństwo wpływa ujemnie na księży, zaraża ich swoim duchem materjalizmu życiowego, to z drugiej strony obowiązkiem ich i powołaniem jest dawać dobry przykład.

Ksiądz. (*Sospirando*). Niewątpliwie. Księża, sami naprzód odrodzeni w Chrystusie, udarowani łaską powołania i następnie umocnieni łaską sakramentalną kapłaństwa, obowiązani są przeciwstawiać się zepsuciu świata i raczej sami dodatnio nań oddziaływać, nie tylko słowem, ale i przykładem. Nie zwalnia ich od tego (boć i sami zbawić się muszą) przestroga, którą dał Chrystus wiernym po wszystkie czasy, przestroga przed nieprzykładowymi pasterzami, żeby z nich zgorszenia nie brali: „Wszystko tedy,

cokolwiek wam rozkażą, zachowywajcie i czyńcie; ale wedle uczynków ich nie czyńcie, albowiem mówią, a nie czynią“. Niestety, wielu wiernych radzi szukają w kapłanach zgorszenia, po faryzejsku, szukają nieraz i przysłowiowej łaty na całym. Co gorsza, wielu, wierni prawie z imienia tylko, radziby urabiać księży według swoich ideałów naturalistycznych, kiedy oni winni urabiać, i sami siebie, i wiernych, na wzór Chrystusa. Co najgorsza, są i nieprzejednani wrogowie Chrystusa, którzy nienawidzą Go w księżach, którzy sprzeciwiają się głoszonej przez nich prawdzie Jego. Przepowiedział to Chrystus: „Nie jest uczeń nad mistrza swego: jeśli mnie prześladują, i was prześladować będą“.

Pan. (*Pogardliwie*). Łaska, która tworzy karykatury ludzkie: bigotów i bigotki!... Przypominają mi się słowa Natana Mędrca:

„Jakże często ludzie
Leniwi w święte bawią się marzenia,
Ażeby tyko... choć zamiaru tego
Nie są świadomi... aby tylko czynów
Dobrych nie spełniać“.

Ksiądz. (*Pobłażliwie*). A mnie przyszło na myśl, że fałszywa pobożność ogromnie przypomina naszych „arystokratycznych“ sobków literatury i sztuki, bardzo dziś modnych, którzy się zamykają w „wieżach z kości słoniowej“, obojętni dla społeczeństwa, jego cierpień, pełni wstrętu do szarych, codziennych obowiązków. Pan się dziwi mojemu groteskowemu, jak się panu wydaje, porównaniu? Przecież są to zjawiska psychiczne, zupełnie do siebie równoległe i nawet niezbyt odległe od siebie. Tam jest ono rezultatem uprawiania sztuki dla sztuki, tu — wynikiem za-

miłowania praktyk religijnych dla praktyk, gdy one są właściwie tylko środkiem do celu, którym są dobre uczynki, wogóle doskonałość moralna. Tam żyje się samolubnie rozkoszami artystycznymi, tu rozkoszami mistyczno-religijnymi. Tu i tam pędzi się sztucznie duszę w kwiat, kosztem jej siły owocecodajnej. Prowadzę do tego, że jeśli nie potępiamy, dla tych jej nadużyć, sztuki, to powinniśmy być... liberalni dla objawów podobnych na gruncie pobożności, która zresztą niezawsze jest fałszywa.

Umiłowany, jak widać, przez pana Natan Mędrzec jest mędrceem niezbyt głębokim. Templaryusz miał słuszość, kiedy podejrzewał, iż:

„Może lud jego mądrość ma za jedno
Z pełną kieszenią“.

To mądrość liberalno-burżuazyjna. Pełna kieszon jest liberalna we własnym swoim interesie. Nie dba o prawdę na oko, a boi się jej w głębi duszy.

Pan. (*Impazietamente*). Ten sam templaryusz przekonał się następnie inaczej. Napiętnował tę dumę, którą katolicyzm przejął w spadku po „ludzie wybranym“, mówiąc silnie:

„... Ale gdzież szkaradniej,
Niż tu, objawia się ten religijny
Obłęd, co pragnie mieć lepszego Boga
I tego Boga wszystkim chce narzucić?“

Na to właśnie Natan zawołał z zachwytem:

„... Ach, gdy w was człowieka
Znajduję, dość mi, że się zwę człowiekiem!“

To jest podniosłe Credo liberalizmu!

Ksiądz. (*Con grazia*). Dziękuję panu za te przytoczenia. Historia nie bez racyi dopatruje związku między zakonem templaryuszów a wolnomularstwem.

Niedarmo też Lessing wybrał przedstawiciela tego zwyrodniałego w końcu zakonu na rzecznika liberalizmu w świecie chrześcijańskim. Nie bez kozery wreszcie templaryusz staje się liberałem pod wpływem żydowskiego „Médrea“. To nas oryentuje ku źródłu liberalizmu: jest ono żydowskie; gdy sam liberalizm przeznaczony jest dla „gojów“, żeby, rzekomo wywyższeni ponad Chrześcijaństwo, w imię człowieczeństwa pobratali się z żydami, dając im równouprawnienie na własną swoją zgubę. Natan „Mędrzec“ nie jest w istocie liberalny, ale filosemicki, żydolubski. Odwrotna zaś strona żydolubstwa — to katolikożerstwo. Życie odsłoniło tę stronę dostatecznie, nawet dla ślepców. ²⁵⁾

Templaryusz zowie „obłędem religijnym“ pragnienie mieć „lepszego Boga“ i narzucanie Go wszystkim innym. Jest to zręczny, ale podstępny i szydliwy zwrot, który sugeruje zaprzeczenie, żeby jedna religia mogła być lepsza od drugiej. Bóg jest tylko jeden i może być mowa jedynie o lepszym Jego zrozumieniu przez tę lub inną religię. Lessing nie chciał tego powiedzieć prosto i wyraźnie, nie pozwoliła mu na to liberalna tendencja do zrównania wszystkich religii, bo niby niewiadomo, która z nich lepsza i najlepsza. Słynna opowieść lessingowskiego sultana Saladyna o trzech podobnych do siebie pierścieniach, przekazanych przez ojca trzem synom, pierścieniach, z których jeden tylko, lecz niewiadomo który, miał moc uczynienia jego posiadacza miłym Bogu i ludziom — ma być symbolicznym przedstawieniem trzech teistycznych religii: chrześcijańskiej, mahometańskiej i żydowskiej. Przypowieściowym ojcem jest Bóg, który kiedyś dopiero, po końcu świata, wyda wyrok

i objawi „pierścień“, mający moc tajemniczą. Tymczasem więc ludziom nie pozostaje nic innego, jak, poniechawszy wszelkiego apostołstwa, urządzać Panu Bogu desperackie, tragikomiczne charivari z najrozmaitszych kultów religijnych. Liberalny zaiste byłby ten Bóg, któryby taką kocią muzykę cierpiał, owszem, przyjmował ją, jako daninę chwały!!

Pan. (*Intrepido*). Jest to rezultat może niewesoły, ale nieunikniony. Po czemże poznać „pierścień“ prawdziwy, gdy każda religia dowodzi prawdziwości swego? „Ignoramus et ignorabimus!“

Ksiądz. (*Burlesco*). Istotnie ignorancya kapitalna, żeby już na pierwszy rzut oka nie poznać się na bezwzględnej wyższości Chrześcijaństwa wogóle nad Talmudem i Koranem!

Pan. (*Con dignito*). „Trochę mniej to jest oczywiście między wyznaniem chrześcijańskiem, o które nam głównie chodzi.

Ksiądz. (*Determinato*). Ignorancya ze strony katolika, choć meldunkowego tylko, ale obracającego się w świecie katolickim i roszeźącego pretensye do ferowania wyroków teologicznych, niemniej skandaliczna. Elementarny podręczniczek katechizmowy daje na pańskie beznadziejne pytanie odpowiedź, że są cztery znamiona, po których poznać można Kościół prawdziwy: jedność, świętość, powszechność czyli katolickość, i apostołskość. Znajdujemy je w katolicyzmie, jak w żadnem innem wyznaniu, jak zwłaszcza w najsympatyczniejszym liberalom protestan-tyzmie, rozbitym, niemal rozpylonym na sekty, odrzucającym kult świętych i świętości, raczej narodowym niżeli powszechnym, w końcu luterskim, kalwińskim, metodystowskim i t. d., a nie apostołskim.

Są i znaki drugorzędne, jak np. demoniczna iście solidarność najsprzeczniejszych żywiołów, pod batutą kielni wolnomularskiej, w konspiracji wszechświatowej przeciw jednemu tylko katolicyzmowi: z drugiej zaś strony — znaczące i wymowne hołdy, składane wciąż Kościołowi przez jednostki wybitne z pośród wszystkich obozów.

Ostatnimi czasy hołd taki Kościołowi katolickiemu złożył Albert von Ruville, profesor historii na protestanckim uniwersytecie w Halli, autor książki: „Zurück zur heiligen Kirche“. Tenże niebawem, mając na myśli wschodnią baśń Lessinga o trzech pierścieniach, napisał dzieło p. n. „Das Zeichen des echten Ringes“, gdzie cechy prawdziwości pierścienia katolickiego dopatrywał i dowiódł historycznie — w pokorze. Nie mówiąc już o pokorze Chrystusa i Maryi, wykazał tę cnotę w wierzących po katolicku, w nauce katolickiej i nakoniec w walce o prawdę. Przedstawił to wszystko na tle dziejów pokory, jej upadku w pogaństwie, odrodzenia w Chrześcijaństwie, jej walk z pychą i, w końcu, nowożytnego tryumfu jej przeciwniczki — pychy. Dzieło jedyne w swoim rodzaju, odbijające jak smuga światła od obskuranckiej pod względem religijnym, panującej literatury społecznej.

Pan. (*Złośliwie*). Nie zbudowałem się, coprawda, pokorą księdza w walce ze mną o „prawdę“... Zarozumiała raczej pewność siebie jest znamię wojowniczego katolicyzmu.

Ksiądz. (*Con fieraezza*). Toute proportion gardée, ośmielię się w swej pysze odpowiedzieć z Mickiewiczem:

„Panie, mą pychę duch pokory wzniecił!

Choć górną błyszczę na niebios błękitcie,

Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił,

Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!“

Przetłumaczmy to na prozę. Wiara wymaga upokorzenia rozumu i woli. Wzamian atoli daje ona człowiekowi taką przeogromną pewność posiadania prawdy, jaka płynąć może tylko z boskiego autorytetu. Intelpekt ludzki, sam przez się słaby i ubogi, ubogaca się niesłuchanie treścią Objawienia i wzmacnia jego powagą. Powagą tą przyodziany, staje się jej uczestnikiem, udziałowcem. Tem się tłumaczy pewność siebie katolików w głoszeniu i obronie wiary. Jest ona tem większa, im głębsza i rozumniejsza jest wiara. Pozory zarozumiałości, pychy, wynikają stąd, że ta nadludzka pewność siebie wypowiada się przez usta ludzkie; choć właściwie przepływa ona tylko przez kanał duszy, a pochodzi z wiecznie bijącego źródła Prawdy, której blask w umyśle człowieka jest tylko słabem boskich ogniów odbiciem.

Gotów mimo tego jestem złożyć wobec pana szczery zupełnie akt pokory. Niewątpliwie zgrzeszyłem niejednokrotnie zarozumiałością istotną w obronie wiary. Należy to jednak złożyć, nie na rachunek katolicyzmu, jeno na karb niedoskonałości tej natury ludzkiej, którą pan apoteozuje, a którą katolicyzm uważa za skażoną przez grzech i dlatego ją oczyszcza i uszlachetnia Izajaszowym żarzącym węglem czynników nadprzyrodzonych.

Pan. (*Sceptycznie*). Te same wyniki osiągnąć może i osiąga kultura zwykła, czystoludzka. Dowodem tego odstrychnięta od Kościoła cywilizacya nowoczesna.

Ksiądz. (*Ditto*). Kultura czystoludzka znaczy: bezbożna, obywająca się bez Boga. Podtrzymuje ją do czasu na pewnym poziomie współzawodnictwo

z kulturą chrześcijańską, owszem, sam duch chrześcijański, przenikający mimo jego negacyi stosunki życiowe. Sama przez się jest ona czysto zewnętrzna: francuska *politesse*, która nie przeszkadza francuzom być brutalnymi, gdzie chodzi o kasę. Przestrzega bardzo pilnie poloru i ujawnia wysoką drażliwość na punkcie godności osobistej, łatwo jednak dopuszcza się obrazy Boga i rzeczy Bożych. Jest pyszna wobec Pana Boga, a wobec ludzi pełna uprzedzającej grzeczności, dopóki nie zostanie drażniony tkwiący w niej egoizm. Wówczas uprawia kulturalny mord, zwany pojedyńkiem, policzkuje Baudouin'ów, traktuje słabszych, zwłaszcza kobiety i dzieci, jak w katastrofach ogniowych po iluzjonach i teatrach, jak niedawno na *Titanie'u*, gdzie rewolwerem trzeba było poskramiać brutalność męską w tłoczeniu się do łodzi ratunkowych.

Tamże zabłysła działająca od wewnątrz kultura chrześcijańska, przede wszystkim w osobach trzech kapłanów katolickich. Jeżeli kultura czystoludzka jest drzewem dzikiem: leśnem lub polnem, przeniesionem do parku i ostrzyżonem po włosku, to chrześcijańska jest drzewem szczepionem, które, nawet zaniedbane zewnętrznie, zawsze rodzi owoce szlachetne. Np. cnotę pokory, której kultura naturalistyczna nie tylko nie pielęgnuje, ale ją jeszcze wyszydza, jakoby podle służalstwo.

Obserwowałem dwie kury, siedzące na jajach. Jedna z nich nie dawała się dotknąć i dziobała mnie w rękę; druga, przeciwnie, przyjmowała karesy bardzo spokojnie. Kulturalna kwoczek! - pochwaliłem ją. Aliści, gdy pisklęta z jaj się wykluły, cóż się okazało? Gdy tamta grubiańska kwoka była jak naj-

troskliwszą matką, to ta kulturalna dziobała własne pisklęta, tak, iż trzeba ją było od nich odsadzić. Liberalizm pozwalał jej być kulturalną tylko dopóty, dopóki nie poczuła ciężaru obowiązku.

Pan. (*Grotesco*). Każe mi się ksiądz uczyć rozumu katolickiego od kury: niech będzie i tak! Niech sobie ksiądz będzie człowiekiem nadprzyrodzonym, aż do szczytu świętości. Gdybyśmy pośród siebie zobaczyli księdza świętego, ucecilibyśmy go i rzucali mu kwiaty pod stopy...

Ksiądz. (*Bellicoso*). Jak swego czasu pewne sfery inteligencji warszawskiej uceciły św. Klemensa Dworzaczka (*Hoffbauera*), razem z jego braćmi zakonnymi. Lud warszawski ich wszystkich uwielbiał, i właśnie dlatego znienawidzili ich wolnomyślni inteligenci, idący na pasku masonskim. Gdy prusacy zajęli Warszawę, dynuncyowano ich do prusaków i ohydnie spotwarzano, choć z niewielkim skutkiem: dopiero od francuzów, jako tych, którzy przeszli przez szkołę Wielkiej rewolucyi, uzyskano dekret rozpedzenia zakonników, razem ze św. Klemensem. Gdyby pewnym sentymentalnym liberalom udało się obedrzeć naszych świętych z ich cech katolickich i wogóle nadprzyrodzonych, możeby takich dopiero wieńczyli... Czy wielbią oni chociażby tych świętych, których Kościół już wydał?!

Pan. (*Calmato*). Gdy myślę o świętych, zawsze, jako ideał świętości, przedstawia mi się św. Franciszek z Asyżu. W nim widzę człowieka.

Ksiądz. (*Intensivo*). Bo jego jednego pewno pan zna nieco lepiej, gdyż wyjątkowo zajmowała się nim i zajmuje dotąd także i literatura świecka. Przytem

i tego świętego „człowieczka” (homuncio), jak Franciszek z Asyżu w pokorze ducha nazywał sam siebie, poznał pan zapewne z odartego z cech nadprzyrodzonych portretu pióra Sabatier’a, i dlatego nie mu nie ma do zarzucenia. Niemniej stwierdzam, że jeśli w kim, to w świętych każdy szczery Dyogenes znajdzie człowieka i, uspokojony, zgasi swoją szyderezą latarkę. Trzeba jeno poznawać świętych, nie z szablonych i banalnych w swej popularności życiorysów, ale z poważnych monografii: tam dopiero z postaci każdego świętego wyziera człowiek, człowiek udoskonalony, wręcz powiem: nadeczłowiek w duchu katolickim. Któż atoli dziś, poza księżmi i garścią pobożnych laików, ciekaw żywotów świętych, mimo sentymentalnych do nich westchnień? Ciekawisiny życia ludzkiego, tajników dusz ludzkich i, dla zaspokojenia tej ciekawości, pochłaniamy stosy powieści, przyczem pornograficzne cieszą się powodzeniem największem. Palimy się przedewszystkiem do różnych dziejów grzechu. Cnota dla nas nudna. Zgodzę się najchętniej na to, że nudna jest *cnotka*. Natomiast nie ciekawszego nad bohaterskie, pełne walk tragicznych, dzieje enoty wielkiej, których bohaterami są święci. Ale myśmy nie dorośli do tych wyżyn ducha, na których to wysokie zaciekawienie się budzi. Mimo żywych w tym kierunku zachęt protestanckiego pedagoga, Foerстера...

Pan. (*Con gravita*). Nie będę się o to sprzeczał: przyznaję się do niekompetencji. Przyjmując na wiarę księdza twierdzenie jego o człowieczeństwie w świętych, tembardziej uderzać mnie musi brak człowieka wśród ogółu duchowieństwa. Widzę wśród niego jakąś nieczulą wzgardę dla wszystkiego, co ludz-

kie, w znaczeniu tego słowa szlachetnem, jakiś odpychający chłód i brak solidarności z radościami i cierpieniami ludzkiemi, pochopność do potępień, zamiast wyrozumiałości, pseudo-jowiszowe w ręku pioruny, zamiast magnesu...

Duchowieństwo stanowi jakiś odrębny świat, który nas nie rozumie, a my jego nawzajem. Gdyby udało się zaszczerpić księżom choć szczyptę terencyuszowskiego: „Homo sum, nihil humani a me alienum esse puto“, -- wyszłoby to im z pewnością na dobre.

Ksiądz. (*Addolcendo*). Chciałby pan widzieć w rękach księży magnes liberalizmu, któryby ich samych do obozu liberalnego pociągnął, zamiast żeby oni liberałów pociągnęli do Kościoła. Znamy się na tym liberalnym fortelu... Poza tem jednak, odciawszy to, co skrajne w pańskim twierdzeniu, zgodzić się z panem można. Dający się niewątpliwie spostrzegać w tych i owych księżach brak człowieka, w znaczeniu najlepszem, tłumaczę sobie wadliwą metodą duchowną wychowawczą, a po części i opornością nie dość kulturalnego materiału, którego społeczeństwo dostarcza seminariom duchownym. Buduje się ludzi duchownych raczej od góry, nie położywszy naprzód gruntownych fundamentów etycznych. Albo inaczej: przystępuje się prawie odrazu do ornamentacyi dusz, jeszcze nieurobionych, w cnoty wyższe, pobożnościowe, nie uwzględniając niższych w mierze dostatecznej. Do spotęgowania ujemnych wyników takiej metody przyczynia się i zbyt partyjny pogląd na życie i ruch umysłowy niekatolickiego świata. Jako okoliczność łagodzącą trzeba tu jednak przyznać, iż atmosfera walki z prądami antyreligijnymi nie sprzyja bliższemu poznaniu i bezstronnej ocenie przeciwnika,

który, zresztą, nieznajomością katolicyzmu i partyjnością względem niego jeszcze więcej od nas zawinił.

Zastrzegam się tu jednak, żeby pan nie sądził, jakoby rozumiał, iż do metody wychowawczej katolickiej należy kształcić w przyszłym kapłanie czy wiernym – naprzód człowieka naturalnego, a potem dopiero, na tym człowieku naturalnym, jakoby na fundamencie, budować człowieka nadprzyrodzonego. Etyka chrześcijańska jest z gruntu i nawskroś nadprzyrodzona: to znaczy, że głównym, uprzedzającym budowanie charakteru i towarzyszącym mu czynnikiem jest łaska.

Pan. (*Irresoluto*). Więc etyka chrześcijańska wyłącza enoty naturalne, ogólnoludzkie?

Ksiądz. (*Resoluto*). Bynajmniej. Ona je tylko przenika nadprzyrodzonym żywiołem łaski i przez to uświęca je i podnosi, oraz ułatwia ich zdobycie: a przez poddanie im pobudek nadprzyrodzonych, udziela im mocy zdobywczej w sprawie zbawienia.

Pan. (*Wolta*). Wychodzi znowu na to, że poza nadprzyrodzoną etyką chrześcijańską niema zbawienia!

Ksiądz. (*Placido*). Znowu odpowiedzieć muszę to samo, com powiedział, wyjaśniając ducha dogmatu: „poza Kościołem niema zbawienia“. Kościół potępił zdanie, że Bóg poza nim łaski nie daje. Łaska Boża, według nauki katolickiej, jest nieskończone tolerancyjna: nie ogranicza się granicami Kościoła materialnymi, zaznaczanymi w atlasach misyjnych i w statystykach. „Duch, kędy chce, tełnie!“ Łaska, jak Opatrzność Boża, czuwa wszędzie i spada rosą na dusze. Zanim misyonarz dotrze do krajów bałwochwalczych, ona uprzedza go i dusze mu przygotowuje. Ona tworzy wprzód duszę Kościoła, zanim

misjonarz przyjdzie zbudować mu ciało. Porównajmy tę tolerancję Kościoła z nauką patryarchy wolnomyślców, Lutra, wedle której wszystkie grzechy wiernych są powszednie, a niewiernych zawsze śmiertelne.

Pan. (*Melancholijnie*). Zbyt powolne musi być to działanie urojonej łaski, skoro np. karaibowie do tej pory nie zaniechali swych apetytów ludożerezych.

Ksiądz. (*Imponente*). Łaska jest siłą nadprzyrodzoną, ale w zwykłym porządku — niecudowną. U Boga tysiące lat są jakoby dzień jeden u człowieka. Chrystus przyszedł na świat po upływie tysiący lat od chwili upadku człowieka, gdy, zdawałoby się, wnet po nim przyjśćby był powinien. Ów skoczek, który każdy skok udatny ofiarowywał nieznanemu Bogu, działał tak z pewnością pod natchnieniem łaski. Jednemu wreszcie Bogu wiadomo, czy poczytuje On za większy grzech karaibom ludożerstwo, aniżeli cywilizowanym europejczykom, wyrosłym na kulturze chrześcijańskiej, ich liberalne księżo i mnichożerstwo... Plemiona, których nie tknęła egoistyczna kultura zaborcza europejczyków, idąca z gorzałką w jednej ręce, a z karabinem w drugiej, zamiast z krzyżem i Ewangelią, bliższe są ideału natury, aniżeli te, co miały nieszczęście z nią się spotkać. Plemionom dzikim, kanibalom, zbywa na tych źródłach łaski, które, wytrysnąwszy z męki Chrystusowej, przepływają przez kanały sakramentalne i za ich pośrednictwem docierają do dusz chrześcijańskich. Więc kanibale są kanibalami. Zbywa na łasce i niewiernym synom Kościoła, i dlatego stają się oni ludożercami moralnymi.

Pan. (*Irato*). Znowu chwytam księdza na gorą-

cym uczynku katolickiego fanatyzmu! Z tego, co ksiądz przed chwilą przeciw niewierzącym powiedział, wynika, że wśród nich niema już zgoła ludzi uczciwych. Takie twierdzenie podyktować może tylko fanatyzm!

Ksiądz. (*Allegro*). Ja zaś chwytam pana znowu na geście Kajfasza... (*Con gravita*). Zdarzała się niewątpliwie cnota wśród pogan starożytnych, bywa i wśród nowożytnych, chociaż kaleka. Kalectwem jej głównem – brak cnót religijnych wskutek braku wiary. W komentarzu na słowa Chrystusa, że On jest „drzwiami owiec“, św. Augustyn powiada głęboko i subtelnie:

„Niech więc mówią poganie: Żyjemy uczciwie. Jeśli nie wchodzą przeze drzwi, cóż im pomoże to, z czego się chlubią? Do tego bowiem powinno każdemu służyć życie dobre, ażeby mu było dane życie wieczne: gdyż komu nie dano życia wiecznego, cóż mu pomoże życie dobre? Bo nawet nie można powiedzieć, żeby żyli dobrze ci, którzy celu życia dobrego, albo przez zaślepienie nie znają, albo przez pychę nim gardzą“. Mowa tu, naturalnie, o życiu wiecznem nadprzyrodzonym, którego utrata nie jest jednoznaczna z wieczną śmiercią, czyli potępieniem absolutnem. Pomiedzy jednym a drugim istnieje coś pośredniego: szczęście wieczne przyrodzone, pozbawione widzenia Boga. Logiczne jest atoli, że życie wieczne nadprzyrodzone nie może być udziałem tych, co życiem nadprzyrodzonym w doczesności nie żyli.

Powracam do twierdzenia, że wśród niewierzących, jakkolwiek rzadko, zdarzają się jednak wypadki cnoty, wysoko nawet rozwiniętej: wyżej, aniżeli w niejednej poziomej duszy, powierzchownie ka-

tolickiej. Littrégo nazwano „świętym, niewierzącym w Boga“. Ale ludzie enotliwi poza Kościołem z pewnością błędzą w dobrej wierze i, jako tacy, do duszy Kościoła należą; owszem, zasługują nieraz w końcu na łaskę nawrócenia, jak ten sam Littré, i stają się członkami mistycznego ciała Chrystusowego, t. j. Kościoła. Cnota ich wszakże na ogół nigdy nie dosięga tych wyżyn doskonałości, na które wprowadza Kościół wybrańców łaski, często zarazem upośledzeńców natury. Przemieniony w Panteon comte'owskich „bogów“ kościół św. Genowefy w Paryżu, ze swojemi bogatemi trumnami i stosami wieńców kosztownych, nie dorównywa najskromniejszemu kościółkowi wiejskiemu, posiadającemu na małą skalę panteon świętych katolickich w ich relikwiach, spoczywających w portatyłach na każdym ołtarzu: nie mówiąc już o Królu świętych, Chrystusie Eucharystycznym, spoczywającym w tabernaculum...

Wspomniał pan był słynne zdanie z komedyi Terencyusza. Zdanie to, wyrażające poczucie wszechbraterstwa ludzkiego, niesłychane na owe czasy, stanowi własność chrystyanizmu. Że tę ideę mogła stworzyć literatura pogańska, to dowodzi słuszności twierdzenia Tertuliana o duszy ludzkiej, z natury chrześcijańskiej. Zrodziła ją dusza wyzwolenca, który poznał był sam na sobie psychologię niewolnika. Zrodziła ją ona na podłożu owoczesnych stosunków społecznych, które życie doprowadziło do zbyt już jawnego absurdu. To był protest naturalny człowieka przeciwko podziałowi społeczeństwa na panów i niewolników, w których, w jednych i drugich, zanikło poczucie człowieczeństwa. Byli panowie i niewolnicy, nie było ludzi. W tym okrzyku człowiek

uświadomił w sobie człowieka. Jak świadczy św. Augustyn, przebiegł on, jak prąd elektryczny, po widowni amfiteatru, gdy po raz pierwszy rozległ się ze sceny. Było to na półtorasta lat z górą przed narodzeniem Chrystusa. Fakt, że idea, tak dla nas obecnie prosta, tak naturalna, sprawiła takie silne wrażenie, stwierdza z całą siłą nie tylko wszechświatową i wszechwiekową doniosłość chrystyanizmu, ale i konieczność dokonanego przezeń nadania owej idei charakteru nadprzyrodzonego, żeby ją wcielić w życie skutecznie. Okrzyk Terencyusza, etyka Sokratesów i Seneków, ascetyzm Pitagorejczyków, wzloty teistyczne Platonów - to wszystko były objawy dojrzewania świata ku przyjęciu nauki Chrystusa: objawy pozytywne, dodatnie, wywołane prawem reakcyi przez upadek moralny, który ze swej strony ujawniał dojrzałość tę samą sposobem negatywnym. Ale one same z siebie okazały się bezsilne ku odrodzeniu ludzkości, jak bezsilne są i dzisiaj najszczytniejsze ideały ogólnoludzkie, o ile pozbawione siły nadprzyrodzonej, której udziela im Chrystus przez Kościół, przez żyjącego w nim Ducha Bożego.

Nie do nas ostatecznie należy sąd o ludziach, zostających bez winy poza Kościołem. Nie wyklinaamy ich, ani nie skazujemy na potępienie: „Alboż do mnie należy sądzić o tych, którzy nie są u nas?” - woła św. Paweł. Bóg sądzić ich będzie!”

Pan. (*Wolta*). To samo, co ksiądz stwierdza na świecie pogańskim, t. j. zanik poczucia braterstwa, daje się stwierdzić i w świecie katolickim, w jego czasach najświetniejszych. Pożalowania godny przesąd arystokratyczny o krwi błękitnej i ta karmazynowa, oburzająca pogarda dla gminu, na gruncie

poddaństwa i pańszczyzny, szły w parze z przywiązaniem do katolicyzmu...

Ksiądz. (*Presto*). A przywiązanie do katolicyzmu szło w parze z przywiązaniem do Odrodzenia, które z wszelką pewnością jest dla pana sympatyczne. Naprzeciw atoli swojej strony humanistycznej, artystyczno-literackiej, miało ono stronę antyhumanitarną, polityczno-społeczną, która się wyraziła właśnie w poddaństwie. To był duch czasu. Zrobił on swoje z fatalizmem elementarnym, mimo ducha Kościoła. Dziś są tacy zapaniętalczy, którzy obwiniają Kościół nawet o społeczny ustrój kapitalistyczny, to rodzone dziecko liberalizmu, zrodzone pod humanitarną i demokratyczną gilotyną. Zadaje im kłam wyryta w brązie, na piedestale pomnika wdzięczności proletaryatu, pod murami Lateranu, encyklika „Papieża robotników”: „*Rerum novarum*“. A wszak dzisiejszy ustrój ekonomiczno-społeczny, to tylko recydywa pod inną formą dawnego poddaństwa, którego łańcuchy ukryto obłudnie pod fartuchem wolnomularskiego liberalizmu. Liberalno-mieszczańska rewolucja dokonała tylko tego, że na miejsce szlachty i wyższego kleru osadziła stan trzeci, o co w gruncie rzeczy chodziło.

Pan. (*Bizarro*). Podziwiam kocią maëstryę, z jaką ksiądz, podrzucany przez moje zarzuty, spada zawsze na równe nogi, bez szkody, ba! z mniemanym tryumfem. Cobądź najwyraźniej przemawia przeciw katolicyzmowi, wszystko za sprawą księdza obraca się raczej przeciw nieszczęsnej ludzkości! Niedarmo ksiądz nosi imię założyciela Jezuitów...

Ksiądz. (*Ardente*). Nieznajomość katolicyzmu jest tak wielka, najfałszywsze o nim wyobrażenie tak bezpodstawne, że temu, kto go zna, wcale nie-

trudno wychodzić zwyczajem z potyczek z jego ignoranckimi przeciwnikami. Duch Kościoła jest duchem prawdy, dobra i piękna, nie może więc doń przylgnąć na stałe błąd, zło, brzydota. Razem z żywiołem ludzkim wtargają wprawdzie do Kościoła owe czynniki ujemne, ale duch jego z nich się otrząsa. Mieszają się one w nim tylko materyalnie, fizycznie, nie chemicznie; dotykają go tylko zewnątrz. Kościół jest w świecie, świat jest w Kościele. Linia graniczna między Kościołem a światem, w abstrakcyi, prosta i wyraźna, w życiu się łamie, wygina, zmaca. Cała moja kocio-jezuicka maëstria sprowadza się do rozróżniania w każdym poszczególnym przypadku między boskim duchem Kościoła z jednej, a duchem świata z drugiej strony. Czynić to nie leży w interesie pańskim, dlatego bierze pan katolicyzm in erudito i „zjada“ go z wnętrznościami, jak żydzi swego paschalnego baranka.

Pan. (*Imitando*). Ksiądz w taki sam sposób usiłuje wygnać liberalizm, składając nań ekstrawagancye radykalizmu, jak żydzi swoje grzechy na kozła ofiarnego, Azazela, którego potem wypędzali na pustynię.

Ksiądz. (*Con grazia*). Podziwiam wiadomości pańskie, dotyczące żydów, obok nieznamomości katolicyzmu... Przedewszystkiem, uznaję liberalizm sam w sobie za chimeryczny. Następnie, przy każdej sposobności wykazuje, że w praktyce nie może się on utrzymać choć trochę dłużej w równowadze obojętności religijnej, lecz, jeśli się nie przychyli na stronę katolicką, przechyla się fatalnie na stronę antykatolicką, aż dojdzie w „duchach mocnych“ do radykalnego furoru. Poza tem liberalizm, przyznaję mu to chętnie, jest nadzwyczaj mądry, jako środek znie-

czulający sumienia katolickie. To listek figowy dla katolików, którym poddano sugestję haniebnego wstydu za Kościół, za „głupstwo Krzyża“...

Pan. (*Pomposo*). Odpowiem z Natanem Mędrcem:

„..... Żyd lub chrześcijanin,
Czyż wprzód był żydem lub chrześcijaninem,
Niżli człowiekiem?“

Grunt człowieczeństwa jest bezwzględnie najszerszy, tak, iż wszyscy ludzie mogą się na nim zejść i porozumieć, bez różnicy rasy, narodowości, wyznania. Katolicyzm, który tego uznać nie chce, okazuje się wrogiem rodzaju ludzkiego, jak widać słusznie scharakteryzował go już Tacyt.

Ksiądz. (*Pressante*). Liberalizm, któryby chciał cały rodzaj ludzki pomalować na jeden ołowiany kolor, jest wrogiem nie tylko religii, ale i narodowości, w ogólnym zaś rezultacie — wrogiem całego rodu ludzkiego, jakkolwiek mimowolnym. Kościół, zachowując żywe i piękne barwy narodowe, dąży do zjednoczenia narodów na swoim łonie, pod łaską władzy jednego Pasterza Chrystusa. Niepodobna w żywe oczy katolickie zaprzeczyć, żeby poziom tego zjednoczenia nie był wyższy, aniżeli proponowane przez liberalizm, gołe, goluteńkie człowieczeństwo. Żyd czy chrześcijanin, zapewne pierwaj był człowiekiem, niżli żydem czy chrześcijaninem. To jednak, co pierwsze w porządku ewolucyi, jest w tymże porządku niższe. Człowiek jest koroną stworzenia; katolicki chrystyanizm przeznaczony jest stać się koroną człowieczeństwa.

Pan (*Con abbandono*). Sam ksiądz przeciwstawia ustawicznie świat Kościołowi a Kościół światu, jako dwa nieprzejednane elementy. Przez usta księdza

Kościół składa sam sobie kompromitujące wobec świata świadectwo zasadniczej niezdolności do złożenia z nim harmonijnej syntezy. Jeden chyba tylko Hegel potrafiłby złożyć syntezę z tezy świata i antytezy katolicyzmu, notabene gdyby był filozofem katolickim. Umysł zwykłego, myślącego trzeźwo śmiertelnika niezdolny jest do takiej akrobatycznej dyalektyki. Rozumuje on poprostu, że Kościół, przeciwstawiający się światu, musi go nienawidzić, musi być jego wrogiem śmiertelnym. Świat wszakże nie ma ochoty być spalonym na stosie żarliwości katolickiej o jego domniemane zbawienie wieczne i rad jest, że się w końcu po wiekach ucisku z pod jego tyrańskiej opieki wyzwolił.

Ksiądz. (*Misterioso*). Rozumowanie pańskie jest bezsprzecznie trzeźwe, logiczne. Tylko, niestety, wyszło z założenia najzupełniej fantastycznego. Gdyby ono było prawdziwe w zastosowaniu do Kościoła, tedyby należało potępić najprzód i przedewszystkiem jego Założyciela i Mistrza — Chrystusa...

Pan. (*Minorowo*). Jakże więc można inaczej ową antytezę rozumieć? Nie wyobrażam tego sobie, jak nie mógłbym sobie wyobrazić, żeby dwa plus dwa dawało w sumie pięć!

Ksiądz. (*Imponente*). Zupełnie prosto. Świat, który nienawidzić należy, to duch błędu i zła, to glupota, obłuda, podłość, przewrotność, zbrodniczość, próżność, lekkomyślność, holdownictwo najniedorzeczniejszym lub najwyuzdańszym modom: naukowym, artystycznym i... krawieckim; słowem, wszystko, co św. Jan sprowadził do mianowników: pożądlivości oczu, pożądlivości ciała i pychy żywota. Wszystko to składa się na ducha świata i, przez metonimję, zowie się swia-

tem, ileże świat stale ciąży ku temu, gdy Kościół, przeciwnie, stale z tem wojuje. Co innego atoli świat, rozumiany jako ludzkość, z jej uprawnionymi aspiracyami ziemskimi, doczesnymi: w nauce, piśmienictwie, sztuce, polityce, społeczeństwie. Świat, wzięty w tem znaczeniu: „Bóg tak umiłował, iż Syna swego Jednorodzonego dał, aby wszelki, kto wierzy weń, nie zginął, ale miał żywot wieczny“. Z kolei, wcielony Syn Boży nietylko za ten świat umarł na krzyżu, ale i troszczył się o jego potrzeby cielesne i leczył jego niemoce fizyczne. Kościół zaś poszedł w ślady Mistrza.

Wprawdzie rzekł Chrystus: „Kto nie ma w nienawiści ojca i matki swojej i do tego duszy swojej, nie jest mnie godzien“. Byłaby jednak sprzeczność rażąca między tym tekstem a czwartem przykazaniem Dziesięciorga, gdybyśmy ten tekst rozumieć mieli dosłownie. Nienawiść należy tu rozumieć obrazowo, retorycznie, t. j., że wobec miłości, jaką Boga nadewszystko miłować jesteśmy obowiązani, miłość, należna rodzicom, maleje i zniża się, jakby do nienawiści.

Pan. (*Con abbandono*). Przypuśćmy... Ale w takim razie, jak z tą nienawiścią z jednej strony, a miłością z drugiej, pogodzić tę rzekomo „świętą“ obojętność dla rzeczy i spraw tego świata, o której tyle się nasłuchiwałem niegdyś od prefekta podczas reko-lekcyi, a która mroziła i sztyletowała duszę i zimnem swoim ostrzem utkwiała mi nienawistnie w sercu i pamięci? Przecież to jasne, że obojętność sama w sobie jest czemś ujemnem, wskazuje na jakieś niedołęstwo, idyotyzm, tępotę: jakże więc można ją zalecać, jakoby doskonałość jakąś? Płatanina!...

Ksiądz. (*Affectuoso*). Płatania istotnie, zwłaszcza w połączeniu ze wskazaną przez liberalizm, a potępioną przez sam zdrowy rozum, obojętnością względem takiej lub innej religii... Nie będę jej wszakże, wzorem Aleksandra Macedońskiego, niby genialnie rozcinał, ale ją całkiem poprostu rozwikłał.

Człowiek, który coś ukochał całą duszą, dąży do zdobycia przedmiotu swojej miłości „per fas et nefas“, byleby go zdobył. Biegnie doń, do tego swego bóstwa, nie zważając na żadne przeszkody, lekceważąc śmierć samą, wpatrzony jedynie w swój ideał. Mamy tu obojętność względem środków, prowadzących do upragnionego celu: i właśnie ta, tak pojęta obojętność jest heroizmem, który opiewają i sławią poeci, powieściopisarze, artyści. Otóż, skoro taka obojętność będzie miała na oku cel święty, będzie sama świętą. O takiej mówią asceci, taką praktykują święci, którzy też są bohaterami wiary i enoty. Zdaje się, że to pojąć i na to zgodzić się łatwo, tylko naśladować trudniej...

Pan. (*Scherzando*). Kot z księdza, kot dyalektyczny! Nic to jednakże katolicyzmowi nie pomoże: tyle, co umarłemu kadzidło. Miał on swoją epokę bohaterską, lecz obecnie jest w okresie agonii. Zbyt pospieszne niewątpliwie bywały tryumfy jego przeciwników, zapowiadające Kościołowi zagładę lub stwierdzające ją nawet. Tak potężna i tyłowiekowa instytucja musi konać długo, przez wieki całe; lecz koniec jej nieunikniony, prędzej lub później. Nie dobiją go zamachy rewolucyjne, które mogą go raczej prawem reakcji ożywiać. Zabije go ewolucja historyczna, zabije go swoim technieniem duch wolności!

Ksiądz. (*Maestoso*). Każda doktryna ma swoje

łatwowierności, jak tego i pańska wiara w tryumf bankrutującego liberalizmu dowodzi. Opisał on już swoją linię rozwojową i zginął za widnokreśleniem zachodu, pozostawiając jeno chwilowe, złudne blaski po sobie. Tymczasem katolicyzm rozprawia się obecnie z antykatolicyzmem zdeterminowanym i sam przytem skupia się w sobie, przeży, radykalizuje, precyzuje, wyciska naleciałości liberalistyczne, które i do niego przeniknęły.

Sądzą powszechnie, jakoby on w średnich wiekach dosięgnął był swego apogeum, obecnie zaś staje się ku zachodowi. Złudzenie! Przechodzi tylko przez kryzys, jakich przeszedł już wiele, grzebiąc swoich grabarzy. Daleko jeszcze do tego, żeby wypowiedział ostatnie swoje słowo, wyciągnął ostatnie konsekwencye z założeń ewangelicznych, wiekuiście żywotnych, dobrodziejnych. Ma przed sobą ideal nieskończony.

Weźmy np. życie społeczne, o któreśmy niedawno potracili, szamocąc się w dyskusyi. Już w swoim zaraniu, kiedy to „mnóstwo wierzących“ zespałal „jeden duch i jedno serce“, kiedy „wszystko było im wspólne“, Kościół czynem wypowiedział nie tyle wspinały, ile wzruszający prolog do rozwoju społecznego przyszłości, w ogólnych a śmiałych rzutach naszkicował jego program. Zwycięstwo polityczne Krzyża wprowadziło do Kościoła żywioły i czynniki arystokratyczne, skądinąd pożyteczne ze względu na wychowanie ludów barbarzyńskich, które wszakże, spotęgowane następnie przez renesans, zahamowały pierwotny, młodzieńczy pęd Chrześcijaństwa do ideału braterstwa. Wierny swojej zasadzie ewolucyi, rachującej się z realnymi warunkami ży-

cia, lubo miał w swoim programie przewrót oparte-
go na niewolnictwie ustroju, co było główną przy-
czyną jego prześladowań, Kościół nie wywraçał ni-
czego gwałtownie, nienawistnie, rewolucyjnie; lecz
przeistaczał wszystko stopniowo, odnawiał w Chry-
stusie z miłością i rozważą. Szanował nawet formy
kultów pogańskich. przenikając je tylko duchem
chrześcijańskim.

Dziś znowu walczy w taki sam sposób o gwał-
coną przez pogański kapitalizm sprawiedliwość spo-
łeczną, o wyzwolenie białych murzynów, żeby po-
zyskali warunki bytu godne człowieka i chrześcijani-
na, któremu należy się nietylko kęs chleba, ale i pra-
wo do zdobywania Nieba, prawo, wymagające postę-
pu w kulturze umysłowej i moralnej. Możemy stąd
ocenić, jak potężną dźwignią postępu jest wiara
w życie przyszłe... Tymczasem, cierpiąc przeszkody
ze strony synów ziemi, tych nawet, o których wy-
zwoleńie toczy się bój katolicki, Kościół daje nam
wzory życia społecznego w życiu zrzeczeń zakonnych.

Pan. (*Scherzando*). Zapomniał ksiądz, że ma do
czynienia z liberałem... Tylko z socyalistą mógłby
ksiądz z pewnem powodzeniem konkurować wywo-
lywaniem widma pierwotno-chrześcijańskiego komu-
nizmu. Na deser, żeby mię uraczyć, owionął mię
ksiądz stęchłą, grobową wonią klasztorów. Czy po-
dobna żądać od nowożytnego społeczeństwa, żeby pa-
trzyło sympatycznie na średniowieczne przeżytki
więziennego ascetyzmu, wroga wyzwolonej przez libe-
ralizm radości życia? Skwitowało też ono z wzoru
życia społecznego, jaki przedstawiać mają ocalone
z pogromu przybytki średniowiecznego wstecznictwa,
twierdze katolickiego obskurantyzmu!

Ksiądz. (*Scherzando*). Przepraszam pana, jeśli pomimowoli, rachując się raczej ze społeczną rzeczywistością, przeszedł nad zachodzącym słońcem liberalizmu do społecznego porządku. (*Forțe*). Ale wszak i pan się zapomniał. Słuchając jego wytartej, jak trzygroszniak, frazeologii wolnomyślniej, pytałem w duchu sam siebie: Mówi-ż to liberala czystej wody, za jakiego pan wciąż się podaje, czy też zaślepiony namiętnością przeciwkatolicką fanatyk? Stwierdzam znowu, com już tyle razy podkreślał, że na koniku liberalizmu jeździ nienawiść ku wszystkiemu, co nosi na sobie stygmat nadprzyrodzoneści. Paraliżuje ona rodzące się w duszy poniewolne uczucie czei na widok habitu i przemienia je w uczucie złośliwego gniewu, który przy sposobności dochodzi nierzadko aż do fury prześladowczej.

Więzienna asceza! Radość życia! Jakże często radości tego świata łączą się z występkiem, tak, iż wślad za nimi idą żalobnym orszakiem cierpienia i rozpacz! Zakonnik wyrzeka się tego wszystkiego hurtem, aby wzamian osiągnąć radości wyższe nie tego świata. I nawet nietylko mistyczne, ale i naturalne, ziemskie, jeno czyste, podniosłe. Wszak ten średniowieczny Franciszek z Asyżu, którego pan wyjątkowo podziwiał, czerpał pełną dłoń radości życia z przyrody: braćmi i siostrami nazywał stwory Boże, ożywione i nieożywione, był zawsze pełen pogody, płynącej z czystości duszy, której strzegła asceza. Cały bowiem aparat ascetyczny, działający w klasztorze, odstraszający zaś karłodusznych ludzi nowożytnych, jest tylko środkiem do celu, którym jest wyższa radość życia, płynąca ze źródła szczęścia Najwyższego.

Europa, niestety, przestała rozumieć to, co poj-

mować zaczęła Japonia, składająca przez usta d-ra Anesaki Musaha hołd zakonnikom europejskim. Ten po europejsku wykształcony japończyk zrozumiał, że hodowana przez klasztory świętość jest nieodzownym czynnikiem postępu.

Pan. (*Con impeto*). W klasztorach niewola katolicka dochodzi do szczytu w obowiązującym mnichów wyrzeczeniu się własnej woli. Okropne i haniebne „perinde ac cadaver“ Jezuitów jest szczytem szczytów upadlającej niewoli! Kościół hoduje dusze-trupy!

Ksiądz. (*Con fuoco*). Zakonny ślub posłuszeństwa jest szczytem niezależności, jest uczestnictwem w wszechmocnej woli Boga! Zakonnik bowiem wyrzeka się woli swojej na to, ażeby mogła się w nim i przez niego iść doskonale wola Boża. Trup człowieka ziemskiego okupuje narodziny człowieka nadziemskiego, jak w „Dziadach“ ze śmierci Gustawa narodził się Konrad! ²⁶⁾

Pan. (*Calmato*). Nie oryentuję się ostatecznie, czy ksiądz pisze się na chrześcijański komunizm, czy nie? O ile wiem, Kościół przez usta Leona XIII wypowiedział się dość stanowczo w obronie własności prywatnej.

Ksiądz. (*Calando*). Wypowiedział się w obronie własności prywatnej, jako prawa natury, przeciwko socjalizmowi, o ile tenże apostołuje „nowy ład“ za pomocą bezładu, na drodze rewolucyjnej, co wynika z jego materialistycznego światopoglądu. Kościół wogóle uznaje prawa natury oraz prawo człowieka do tychże praw wykonywania, w granicach etyki, oczywiście. W szczególności uznaje prawo, wskazujące własność indywidualną, jako sprężynę pracy, dźwignię postępu, ostoję spokoju społecznego, tarczę nie-

zależności osobistej, ochronę instytucji rodziny. (Wiadomo, że wspólność dóbr, lubo nie koniecznie, lecz łatwo pociąga za sobą wspólność kobiet, która wychodzi na jedno z wolną miłością).

Ponad prawami natury atoli istnieją prawa porządku nadprzyrodzonego, które, jeżeli kto, to przede wszystkim Kościół wyznaje i do życia stosuje. Mówiąc tedy absolutnie, radby on był zapewne widzieć społeczeństwo, rządzące się na wzór pierwszej gminy chrześcijańskiej w Jerozolimie prawem wspólności dóbr doczesnych. Na wyższym wszakże stopniu organizacji społecznej prawo to nie tylko wymagałoby wyjątkowej doskonałości moralnej całego społeczeństwa, ale także, wobec jego zróżnicowania, przedstawiałoby niezmiernie trudności w zastosowaniu praktycznem. Dla tych dwóch względów komunizm uważać należy z reguły ogólnej za piękną tylko utopię.

Jeżelim mówił o życiu zakonnem, jako wzorze życia społecznego, to miałem na myśli tylko jego ducha braterskiej miłości. To, co w konstytucji zakonnej stanowi odchylenie, w kierunku doskonałości wyższej, od normy powszechnej, jest konieczną moralnie przeciwwagą ze strony Kościoła w stosunku do zepsucia wśród świata, gwoli równowadze moralnej, a także gwoli oddziaływaniu w duchu Bożym na ciążące stale ku materjalizmowi praktycznemu masy społeczne. W szczególności, gdy chodzi o własność, żywy przykład wyrzekających się jej zakonników wpływa hamująco na towarzyszący własności osobistej egoizm, oraz sprzyja koniecznym jej ograniczeniom na rzecz dobra społecznego, w myśl słów Pawłowych: „Niech wasza obfitość doloży ich niedo-

statku, aby było porównanie“: porównanie chociażby względne, wyłączające z jednej strony nędzę, z drugiej nadmiar nagromadzonych w jednym ręku bogactw, czemu znowu sprzyja tak mocno liberalny kapitalizm.

Pan. (*Elegiaco*). Biedny liberalizm zawsze w końcu musi dostać w łeb z ręki księdza. Stanę tedy prowizorycznie na gruncie socjalisty - kolektywisty i zainterpeluję księdza, na jakiej zasadzie ksiądz upatruje znowu czynnik nadprzyrodzony tam, gdzie socjalizm zupełnie się bez niego obchodzi? Pierwotny komunizm chrześcijański miał się objawić rzekomo wskutek działania pobudek religijnych; tymczasem, ów komunizm „pogański“ z pobudek całkiem ziemskich zrodził słynne falangi i falanstery Fouriera, które się wprawdzie nie utrzymały, ale bo to były dopiero próby, społeczeństwo nie było jeszcze przygotowane. W idei ewolucyi społecznej spoczywa nieskończoność możliwości...

Ksiądz. (*Lento*). Przedewszystkiem furyeryzm nie był bezwzględnie komunistyczny, dopuszczał własność osobistą, nawet dziedziczną. Ale i pominąwszy tę okoliczność, niepowodzeniu furyerystów przeciwstawić można normalne funkcjonowanie komunizmu w katolickich zakonach i zgromadzeniach zakonnych. Czemuż upadły falanstery, jeśli klasztory się utrzymują? I od dawien dawna, bez odkładania sprawy do lepszych czasów ewolucyi społecznej...

Pan. (*Disperato*). Porównanie z klasztorami nie wytrzymuje próby... Klasztory to zupełnie co innego!

Ksiądz. (*Trionfale*). Rzeczywiście co innego, bo w klasztorach działają czynniki nadprzyrodzone. Poza tem, analogia istnieje, skoro w obu wypadkach

mamy do czynienia ze społecznościami małemi, wyodrębnionemi, z oazami wśród pustyni społeczeństwa egoizmów. Jeśli więc falanstery upadły, to dowód jasny, że zbrakło im tego, czem stoją klasztory. Gdy tego tajemniczego pierwiastka zabraknie w samych nawet klasztorach, gdy weisnie się do nich i zapadnie duch świata, wówczas i one upadają, bierze górę prawo natury i, w rękach mnichów, rozpasyanych z pasa karności, pojawia się własność osobista.

Pan. (*Allegramente*). Ksiądz jest, jak ta figurka, obciążona od spodu balastem, która nie daje się żadną miarą wyrzucić. Nie tracę jednak nadziei, że mi się to w końcu uda. Wzmacniam swój zarzut poprzedni, że klasztory to zupełnie co innego. Tam są ludzie duchowni, poświęceni wyższej doskonałości, podczas gdy w falansterach byli ludzie świeccy, którzy ślubów nie składali i nie byli do nich znikąd obowiązani. To różnica poważna, którą trzeba uwzględnić...

Ksiądz. (*Giocoso*). Dziękuję panu za trafne porównanie! Ów balast, który sprawia irytujące aż do nienaturalnej wesołości wywrotowców, uparte podnoszenie się wywracanej przez nich figurki, to balast prawdy, balast słuszności. Dlatego niech się pan pożegna z nadzieją wywrócenia w końcu mojej figurki katolickiej — chybaby jej samej balastu prawdy zabrakło, o co liberalizm stara się usilnie, jakkolwiek na ogół daremnie. Oto w oczach pańskich, przewrócona niby już na dobre figurka prawdy katolickiej wyskakuje znowu na równe nogi. Proszę patrzeć:

(*Grandioso*). W podkreślonej przez pana zbyt grubo różnicy między stanem duchownym a świeckim kryje się panujący społecznie, jeden z najmniej

dorzeczych przesądów liberalnych, który duchowieństwu pozostawia niemal wszystko, co należy do religii, ażeby udarować świecczyznę niezależnością od Kościoła. W myśl tego przesądu, przedewszystkiem czynniki nadprzyrodzone mają być udziałem wyłącznym kleru; gdy, wedle nauki katolickiej, kler bierze w nich udział tylko obfitszy, żeby mógł być „solą“ dla laików. Jeżeli tedy źródła życia nadprzyrodzonego są dostępne i dla świeckich, w takim razie ich także przedsięwzięcia, wymagające ducha Bożego, mogą być uwieńczone powodzeniem.

Na dowód niech posłuży klasyczny fakt organizacyi nawróconych indyan w Paragwaju na zasadzie wspólności dóbr. Dzieła tego dokonali Jezuici w XVIII wieku. Ustrój gospodarczy zakonny przeniesiono żywcem i zastosowano do życia społecznego. Było to wprawdzie zadanie o tyle łatwiejsze, że plemię czerwonoskórców żyło przedtem w stanie pierwotnym i było dziecinnie naiwne, przedstawiało więc materiał względnie łatwy do urobienia; choć znowu z drugiej strony trudny o tyle, że indyanin przywykł do dzikiej swobody. Bądź-co-bądź, zasługuje na podniesienie okoliczność, że to nie było społeczeństwko wyodrębnione wśród społeczeństwa, jak furerowskie falangi, ale cała rzeczpospolita. Ku klęsce cywilizacyi — zawiść, oszczerstwo, zła wola hiszpanów, którzy z nawróconych indyan chcieli mieć niewolników, a którym Jezuici hiszpańscy łup ten wydarli, — zniszczyły tę jedyną w swoim rodzaju rzeczpospolitą. Jezuitów, oskarżonych fałszywie o zdradę stanu wobec korony hiszpańskiej, wypędzono, a indyanie poszli znowu w rozsypkę i zdzi-

czeli z powrotem, wzbogaceni na duszy chyba tylko jadę nienawiści ku „białym dyabłom“. ²⁷⁾

Pan. (*Fantastico*). Bah! Nie mogła się ta impreza skończyć inaczej, skoro synaczkowie Lojoli próbowali w swojej niby teokratycznej rzeczypospolitej paragwajskiej urzeczywistnić swoje ambicje światowładne. Jezuickie hasło: „Ad majorem Dei gloriam“ nadaje się przewybornie do kontrabandy pod jego osłoną żądzy panowania, rzekomo w imieniu Boga.

Ksiądz. (*Intensivo*). Jako liberał, jest pan wprawdzie obowiązany wierzyć w legendy przeciwkatolickie wogóle, a w przeciwjezuickie szczególnie; nie mniej przecież Historia, która okiem bezstronnem patrzyła na nadzwyczajne samopoświęcenie Jezuitów paragwajskich w pracy nad organizacją indyan i około obrony ich wolności przeciw chciwym hiszpanom, ma dla synów Lojoli tylko uwielbienie najwyższe. Dziwny, zaiste, środek do urzeczywistnienia swoich rzekomych ambicyi światowładnych obraliby Jezuici, nie tylko poświęcając się całopalnie, ale i narażając na oskarżenia kłamliwe. Byłoby to wcale nie po „jezuicku“. Mielibyśmy dążenie do złego celu za pomocą dobrych środków, co jest wręcz przeciwne pospolitackiemu oskarżeniu, wytaczanemu przy każdej sposobności przeciw Jezuitom. Gdyby dążyli naprawdę do przypisywanych im oszczerco celów, czyniliby sobie raczej przyjaciół z „mamony niesprawiedliwości“, jak ów roztropny władca ewangeliczny, i nie zdradziliby się pierwej, ażby celu dopięli i zdobyli siłę do — dzieła swego obrony.

Jezuici, jako przednia straż Kościoła, pierwsi doświadczyli na sobie tej taktyki oszczerstw, która dziś stosowana jest w pełni do całego Kościoła. I, jak

zawsze, pod hasłem walki o wolność, które nadaje się przedziwnie do przemykania pod jego flagą niedowiarstwa, z jego tyranią wobec sumień wierzących. Jednocześnie w imię demokracji, t. j. panowania ludu, co również doskonale służy ambicyom politycznym żadnych władzy jednostek i stronnictw.

Pan. (*Doloroso*). Napiętnowana przez księdza taktyka jest z pewnością i ze stanowiska liberalnego naganna. Co począć jednak z katolicyzmem, który nakłada pęta na wolną z natury myśl ludzką i na całe życie ludzkie? Z tych pęt dogmatycznych i moralnych trzeba bądź-co-bądź wyzwolić tych, co niewoli katolickiej nie odczuwają.

Ksiądz. (*Fermamente*). Więc liberalna sympatyjka dla radykalizmu... „Habemus confitentem reum!“ Gani się złe środki do celu, ale się je zarazem pochwaleśnie tłumaczy, bo cel ten piękny: a piękny, bo liberalny. Głosi się tolerancję dogmatyczną, ale się dogmaty „bądź-co-bądź“ zwalczą i światy wiary przemienia w bezwyznaniową pustynię. Nasuwa mi się trawestacja słów liberalnego „szlachetnie“ templariusza, które pan w ciągu naszego sporu przytoczył:

. . . . Ale gdzież szkaradniej,
Niż tu, objawia się ta liberalna
Obluda, która toż innym przygania,
Co sama czynić i narzucać pragnie?

Nie godzi się nikomu, wbrew woli, choćby dobrodziejstwa narzucać. Rozpaczliwa obrona odbieranych Kościołowi francuskiemu kościołów jest wymownym dowodem przeciw gwałtownym dobrodziejstwom wolnomyślnym.

Pan. (*Pomposo*). Czy Kościół nie narzuca chrztu

niemowlętom, nie mogącym przeciw temu gwałtowi protestować? Ale Kościół ma dwie miary, wzbraniając wszystkim innym tego, na co sam sobie wyłącznie pozwala. Ze świątobliwą obłudą mówi on z patriarchą z „Natana Mędrca“:

„Albowiem czyż nie jest gwałtem wszystko,
Co czynim z dziećmi... oprócz tylko tego,
Co z niemi czyni Kościół?....

Ksiądz. (*Intrepido*). Czyż może być mowa o gwałcie wówczas, gdy rodzice z własnej woli poddają bezwłasnowolne niemowlę prawom Kościoła? Czy rodzice nie mają prawa dać dzieciom swoim tego, co sami posiadli i co za dobre uważają? Dwie miary mają wolnomyślecy, którzy potępiają katolickie wychowanie dzieci katolickich, jakoby gwałt, a sami wychowują dzieci własne w ateizmie. Pani Bujwidowa napisała dla panny Bujwidówny broszurkę pod budującym nagłówkiem: „Musisz kłamać, moje dziecko“. Wypowiedziała w niej zasadę, że ponieważ rodzice są bez wiary, zatem i dzieci wierzącymi być nie mogą. I to jest konsekwencya, to jest godne uznania zerwanie z szulerką ideową, praktykowaną pospolicie przez bezwyznaniowców. Matka, któraby dała dziecku wychowanie, przeciwne własnemu światopoglądowi, byłaby podobną do kury, która wysiedziała kaczetą. Kaczęta pójdą na wodę, a kura będzie rozpaczliwie kręcić się i gdakać na brzegu. Rzecz inna, czy niekonsekwencya, skłaniająca rodziców niewierzących do wychowania dzieci po katolicku, jak to się dzieje dość często we Francyi, nie jest niekonsekwencyą szczęśliwą.

Pan. (*Con molto passione*). Jest to obrzydliwa obłuda!

Ksiądz. (*Calmato*). To dowód, że tacy rodzice nie są dość pewni swej niewiary, że nie zaślepia ich fanatyzm antyreligijny i są liberalni naprawdę. Ten brak pewności siebie w niewierze odbija znamienne od faktu, że nie zdarzyło się jeszcze, aby rodzice wierzący, choćby nawet we wierze niezdecydowani, odmówili dzieciom wychowania religijnego. Będzie ono niedbałe, ale będzie. Jedno i drugie dowodzi siły wrodzonego poczucia religijnego, które toruje sobie drogę przez zwały uprzedzeń i przesądów antyreligijnych, bodaj nawet przez ogień antyklerykalnych namietności.

Pan. (*Irato*). To podle tchórzostwo!

Ksiądz. (*Con gravita*). Tchórzostwo błogosławione, które lęka się demoralizacyi młodzieży: demoralizacyi, której sami rodzice wskutek niedowiarstwa padli ofiarą. Chcą mieć dzieci, od siebie lepsze i szczęśliwsze.

Jeżeli w ludziach, zarażonych niewiarą lub dla wiary zobojętniałych, instynkt religijny odzywa się z taką siłą, to co mówić o Kościele? Do jakiegoż stopnia dochodzić musi jego pewność posiadania prawdy? Jest ona tak bezwzględna, że Kościół przyznaje sobie prawo do dusz ludzkich na całym świecie. Stwierdza je w swojej nauce, tak wyjątkowo silnie dogmatycznej, i wykonywa zgodnie z wolą Chrystusa: „Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody“. O ile zaś jego siły ludzkie nie mogą doraźnie podołać temu wszechświatowemu zadaniu, tedy modli się do Ojca w niebiesiech o zjednoczenie wszystkich niewiernych pod swojemi skrzydłami i wzrok miłosny ku nim wysyła i na nich rozciąga.

To prawo Kościoła jest prawem Chrystusa, który

je zdobył Śmiercią ofiarną na krzyżu za cały rodzaj ludzki. Nie uległo ono przedawnieniu, ani w jakibądź inny sposób nie zwaślało, gdyż odnawiają je wciąż misjonarze, podlewając je krwią swoją za przykładem Mistrza. Zważywszy, że Kościół jest mistycznym ciałem Chrystusa, jest to nieprzerwany dalszy ciąg Ofiary Kalwaryjskiej, odnawianej w sposób krwawy. ²⁸⁾

Wobec tego i takiego prawa, należy przyznać słuszość słowom patryarchy z „Natana Mędrca“, że gwałtem jest wszystko, co z dziećmi i wogóle z ludźmi czynią nieprzyjaciele Kościoła, bo to, co czynią, jest złe samo w sobie. Zacierają oni obraz Boży w duszach ludzkich, co stanowi gwałt przeciw stwórczemu dziełu Bożemu. Udaremniają w nich działanie Krwi Chrystusowej, co stanowi gwałt przeciw odnowieńczemu dziełu Odkupienia. W tem oświeceniu ulatnia się ta złośliwa ironia, którą w słowa swego patryarchy tchnął tendencyjnie autor „Natana Mędrca“.

Pan. (*Indeciso*). A jeżeli ten obraz Boży i to dzieło Odkupienia są sobie tylko fikcją bujnej imaginacyi katolickiej? W takim razie gwałtem byłoby raczej to, i to tylko, co z ludźmi czyni Kościół. Natomiast dobrodziejstwem byłaby akcja wyzwolenicza, prowadzona przez nieprzyjaciół niewoli katolickiej.

Ksiądz. (*Impazietamente*). Jeżeli! Jeżeli! Kościół nie głosi swojej nauki hipotetycznie, ale ją głosi dogmatycznie, oparty na powadze boskiej. „Jeżeli przyjmujemy świadectwo ludzkie, — rzekł Jan Ewangelista — świadectwo Boże większe jest“. Świadectwo ludzkie wystarczy w rzeczach ludzkich tylko. W rzeczach boskich trzeba świadectwa boskiego, czyli Objawienia, które, że nastąpiło istotnie, mamy świadectwo ludzkie, dające się dowieść przez krytykę historyczną.

Światopoglądy przeciwkatolickie podobnej pewności nie mają, mieć nie mogą. Jeżeli hipotezy, na których się one wspierają, są dogmatyzowane, to czyni to namiętność, nie zaś szczerą moc przekonania. Dogmatyzacja jest zgoła przeciwna metodzie ewolucyjnej, której hołdują freisinnigerzy. U nich niema i być nie może prawd duchowych ustalonych. Płyną wiecznie z prądem ewolucyi, bez nadziei, żeby do prawdy bezwzględnej w końcu dopłynęli. Prawda ich jest względna. Prawdy ich wciąż się zmieniają, jak Proteusz, żeby uniknąć orzeczeń zdecydowanych, nieomylnych. Jeśli więc dogmatyzują, to sprzeciwiają się własnej swojej zasadzie, nagleni do tego przez antykatolicki fanatyzm, który każe dogmatom przeciwstawiać „dogmaty“ w cudzych słowach.

Pan. (*Indeciso*). Zeskamotowane przez księdza na rzecz wyłączną katolicyzmu rzekome prawo do dusz całego świata kwestyonują czynem inne wyznania, którym tak samo przewodniczą podobne wizye fantastyczne i które przeto również wysyłają swoich misjonarzy na Daleki Wschód i Daleki Zachód...

Ksiądz. (*Deciso*). Konkurencyi na polu misyjnym ze strony innych wyznań, katolicyzm na dalszą metę się nie lęka. Misye protestanckie, lubo popierane materialnie przez protestanckie rządy, nie mogą wykazać się powodzeniem takim, jak katolickie, pomimo, że katolickie walczą z brakiem środków materialnych. Misjonarzom protestanckim zbywa na chrześcijańskim duchu samozaparcia i na żywotności wyznania, któremu służą. Obarczeni rodziną z krwi, dbają o nią więcej, niż o wielką rodzinę z ducha,

ducha Chrystusowego. Pożal się, Boże, takich „apostołów“!

(*Entusiastico*). Katolicyzm posiada przywilej prawdy, z którego wypływa przywilej błogosławieństwa Bożego. Tę pewność daje nam Chrystus: „Ale ufajcie, Jam zwyciężył świat!“ Kościoły inowiercze utracą w końcu swoje przywileje, zdobyte nie tyle mocą prawdy, ile mocą nietrwałego jej skażenia, tak przystającego do skażonej natury ludzkiej. Ale utracą je, żeby pozyskać nieskończenie cenniejszy przywilej katolicki. Nie będzie to już wtedy nawet przywilej, lecz prawo, przysługujące wszystkim ludziom i ludom zarówno.

Pan. (*Irresoluto*). W stronnicy przedstawieniu księdza wygląda to na piękną i nawet pociągającą fantazyę poetycką katolicyzmu. Niestety! pod osłoną tej barwnej fantazyi ludzie wietrzą nie bez kozery ambicje polityczne kleru, skąd racya bytu antyklerykalizmu...

Ksiądz. (*Risoluto*). Ludzie złej woli, którzy pod pokrywą walki z klerem chcą zwalczyć samą naukę katolicką! Ci sami ludzie, co zwalczają rzekome niebezpieczeństwo klerykalne w starych krajach katolickich, popierają do czasu misjonarzy wśród pogan, wyzyskując ich na rzecz swoich dążeń zaborskich, ku szkodzie sprawy katolickiej.²⁹⁾ Tu więc antyklerykalizm, tam klerykalizm, stosownie do warunków i okoliczności, a cel zawsze i wszędzie ten sam: żądza panowania absolutnego, nieograniczonego przez prawo Boże, względnie prawo Kościoła, jako organu Bożego. Oskarżenie Kościoła o świecką żądę panowania ma zamaskować tę właśnie żądę nowożytnych pogan, do których światopoglądu przystaje ona w zu-

pełności. Po stronie katolickiej są tylko pozory dążeń podobnych, których też czepiają się skwapliwie nasi fałszywi oskarżyciele, wydymając je do rozmiarów potwornych.

Pan. (*Inquieto*). Pozory często mylą, to prawda, ale też nieraz wskazują, że się coś podejrzanego wewnątrz ukrywa. Rzecz krytyki odróżnić złudne pozory od znaków czegoś nieomylnych. Na czymże, wedle księdza, owe pozory polegają?

Ksiądz. (*Quieto*). Obluda niepróżno wynalazła maskę. Gdyby Kościół pod pozorem Królestwa Bożego szukał królestwa księży, nałożyłby maskę na swoje oblicze i ukrył zdradliwe pozory. Tymczasem on głosi jawnie postulat państwowości katolickiej, co ma być właśnie kompromitującym go „pozorem“. Pozatem są pozory w historycznych nadużyciach zasady katolickiej, które jednak sam Kościół potępia.

Mówiliśmy już o tem. Dodam obecnie, że nie chodzi o sprawowanie przez Hierarchię rządów świeckich, lecz o wpływ na nie religijno-moralny od wewnątrz. W myśl nawet Comte'a, który podziwiał władzę duchowną Kościoła, przyznawał jej rolę matki w rodzinie, jeno chciał przenieść ją żywcem do swojej religii Ludzkości, mającej sprawować rządy moralne nad światem.

Niewsmak to tym, co widzą w religii sprawę czysto prywatną. Ludzie jednak z takim poglądem sami o religię nie dbają, a dążą, owszem, do jej wyrugowania, naprzód z życia publicznego, potem i z prywatnego, przez bezwyznaniowe instytucje publiczne. Prawić o religii, jako sprawie prywatnej, jest to być naiwnym lub usypiać czujność naiwnych. Zbudziła ją atoli zrodzona wśród zamętu rewolucyjnego

pieśń katolicka, ³⁰⁾ której lejtmotywem są słowa: „My chcemy Boga!“ Oto jedna jej strofa, wyrażająca postulat państwowości katolickiej:

„My chcemy Boga w wojsku, w sądzie,
W rozkazach królów, w księgach praw,
W służbie na morzu i na lądzie:
Spraw to, Maryo, spraw, o spraw!“

Spoganiały laicyzm, albo też laicki poganizm—oto niebezpieczeństwo społeczne, przeciw któremu ta natchniona choć niekunsztowna pieśń Demokracji Chrześcijańskiej protestuje. Demaskuje ona obłudne hasło francuskiego żyda, wielbionego przez powolnych szczucię żydowskiemu wolnomyśleńców, Gambetty: „Klerykalizm—oto wróg!“ Klerykalizm, właściwie katolicyzm, to wróg istotnie, ale czyj? Polskiego, francuskiego, włoskiego, niemieckiego i t. d., z pozoru, a w gruncie zawsze i wszędzie *żydowskiego żydostwa*, które ukrywa się za parawanem panujących, mniej lub więcej nieprzyjaznych Kościołowi światopoglądów, zakażając je swoim bogobójczym oddechem: gdy bez interwencji żydowskiej przebiegałyby one łagodniej, kulturalniej, z mniejszą szkodą społeczeństw, bądź - co - bądź chrześcijańskich.

Pan. (*Innocente*). Przyznaje ksiądz wyznaniom obcym prawo do własnej państwowości, a zapowiedział im jej utratę na rzecz państwowości pankatolickiej. Jak jedno z drugim pogodzić?

Ksiądz. (*Calmato*). Przyznaję im to prawo nie na mocy zasady bezwzględnej, więc i niezmiennej, ale na mocy faktu ich istnienia. Ale i z tym faktem Kościół w zasadzie się nie godzi, jeno dąży do usunięcia go przez nawrócenie inowierców ku sobie, więc przez stworzenie faktu, tamtemu przeciwnego.

Gdyby Kościół pogodził się z nim zasadniczo, popelniłby błąd przeciw wskazanej sobie nietolerancyi dogmatycznej. Godzi się on jeno z siłą faktu, do czasu, aż ten fakt siłę swoją straci. Godzi się z nią w taki sposób na mocy zasady tolerancyi obywatelskiej.

Zwrócić jeszcze muszę uwagę pańską, że wyrażenie: *pan — wszech-katolicki*, właściwie jest pleonazmem. To tak, jakby się powiedziało: *wszechpowszechny*. W samym tytule swojego Kościoła, bez żadnych dodatków, my, katolicy, posiadamy historyczne stwierdzenie prawa do panowania powszechnego nad duszami ludzkiemi.

Pan. (*Disperato*). Ta bezwzględność katolicyzmu przytłacza i przeraża! Przeciw niej nie mogą nie rewoltować świadome swych praw do wolności dusze ludzkie. Im dalej ksiądz rozwija przede mną naukę katolicką, tem silniej wzdrygam się przed nią! Oplata ona duszę stalowymi uściskami, miażdżąc jej indywidualność i czyniąc ją biernem narzędziem w ręku hierarchii. Jedno tylko skorzystałem od księdza. Przekonałem się, że katolicyzm jest głębszy i bardziej logiczny, niżelim sądził. Ta jednakże głęboko osadzona i mocno wiązana budowa spoczywa na zdrojowiskach wolnej i twórczej myśli, która pod nią nurtuje i w końcu ją podmyje. Dokona tego głęboka, trzeźwa i spokojna filozofia naukowa, oparta o granitowe podstawy indukeyi. Świat, który opuścił Kościół i poszedł naprzód swoją drogą, nie zechce się cofać, żeby do Kościoła powrócić.

Ksiądz. (*Con gravita*). Cofać się właściwie nie ma potrzeby, gdyż Kościół za nim podąża na każdym polu istotnego postępu świeckiego. Natomiast nie-

zmiennym dogmatem i morałem stoi panad światem wysoko i trzeba tylko, żeby świat ku niemu się wspinał. Ile już razy świat nawracał z manowców moralnych ku wytycznym zasadom katolickim! Pod tym względem świat sam przez się nigdy nie postępuje naprzód, ale zwykle się stacza i ten ruch w dół bierze zarozumiale i przewrotnie za postęp.

Kościół, uważany pod względem teologicznym, stoi na Opoce Piotrowej; pod względem psychologicznym — na niezmiennych w istocie prawach natury ludzkiej; pod względem umysłowym — na podwalinach zdrowego rozumu. Filozofia, jeśli ma być filozofią naprawdę, nie może się obyć bez pojęć czysto rozumowych, idealnych, które robią porządek w indukeyi. Spółczesna filozofia naukowa wspiera się na wywrotnej i wywrotowej teorii poznania Kanta, która, zamiast na stałym gruncie rzeczywistości przedmiotowej, szuka punktu oparcia dla całej wiedzy w ruchomym i zmiennym podmiocie ludzkim.

Indywidualność ludzka wychodzi z tygla teorii królewieckiego filozofa—iluzorycznym królem, który, jak głodomorek w marzeniu sennem, dysponuje sobie potrawy twierdzeń, jakie przypadają mu do smaku. Jeśli ma gruby smak ateisty, ateizm ze wszystkimi przystawkami, ponętami dla zmysłów, zjawi się na zawołanie; jeśli jest usposobiony mistycznie, może sobie zadysponować panteizmem i raczyć się ambrozyą przekonania o swoim bóstwie. Niedopuszczalna jest tylko wiara w Boga, którą wskazuje rzeczywistość przedmiotowa, bo wtedy człowiek popadłby w zależność, na co wzdryga się skazona i kochająca się w skażeniu, jakoby w prawie natury, natura ludzka.

Kant ratował wiarę w Boga oraz moralność

rozumem praktycznym przeciw rozumowi spekulatywnemu, którego mocą (szczególna moc!) uznał był istnienie Boga za niedające się dowieść, a człowiekowi nadał był autonomię indywidualną. Dziś zdolność do wiary w Boga przypisuje się uczuciu, broń Boże nie rozumowi, gdyż toby zbyt kategorycznie wiązało uczucie wolnomyślców i wolnomiślośców, którym żyć bez Boga wyraźnego wygodniej.

Tak pojętą indywidualność — katolicyzm miażdży istotnie. I w nim przecież jest miejsce dla rozwoju indywidualności, czego dowodem klasycznym czterej ewangelisci, których indywidualizm w portretowaniu bosko-ludzkiej postaci Chrystusa wyrażono symbolicznie w wyobrażeniach: człowieka, lwa, wołu i orła. Ograniczenie jej prawem Bożem na szerokość wynagradza on pobudzaniem do rozwoju wzwyż, aż do samego Boga. Biorąc ściślej, bezwzględna niezależność indywidualna prowadzi nietylko do obniżenia wzlotów ducha, ale poniekąd i do zwięzienia pola jego ruchów. Trzeba bowiem pamiętać o skażeniu natury ludzkiej, która z niezależności korzysta raczej ku złemu, aniżeli ku dobremu. Rozszerza się tedy indywidualność na korzyść zła, kosztem dobra. Rozszerza się o tyle z jednej strony, o ile z drugiej się zwięża.

Nie dziw, że taka zwyrodniała, a w samej sobie rozmiłowana indywidualność staje w nienawistnem przerażeniu wobec katolicyzmu. Znane to nie od dzisiaj zjawisko psychiczne. De-Maistre je określił, jako „strach przed prawdą“. Przed prawdą religijną, surową i groźną dla rozwiązłych indywidualizmów.

Pan. (*Minorowo*). Natura ludzka ma niewątpliwie swoje podłe, zwierzęce lub demoniczne instynkty i popędy. Obok nich atoli zdolna jest i do wzlotów „ad

astra“. Sprawą kultury jest złe instynkty, jak chwasty, wytepić i doskonałego człowieka natury urobić.

Ksiądz. (*Imperioso*). Stary przesąd, który wciąż się kołaczy i pokutuje w głowach wolnomyślnych! Kultura dokonała cudów na polu nauki, sztuki, techniki, przemysłu; ale ani jednego cudu nie dokonała w naturze ludzkiej. Proszę mi wskazać choćby jeden przykład nawrócenia opryszka, rozpustnika, oszusta—za pomocą kultury?! Kultura, nianowicie ateistyczna, stworzyła raczej ludzi złych wszelkiego gatunku. W najlepszym razie potrafi ona wyrabiać rękawiczki dla okrywania rąk, zbrukanych występkiem. Dla moralności to wszystko jedno, czy występki będzie kulturalny czy dziki. To sprawa form, nie treści.

Natomiast kultura przy pomocy religii, z nią zgodna, staje się potęgą moralną, którą Kościół bynajmniej nie gardzi; owszem, stworzył ją i nad jej postępem pracuje. Jest to kultura katolicka.

Pan. (*Mancando*). Kultura wogóle nie jest ani katolicka, ani niekatolicka, lecz neutralna.

Ksiądz. (*Risoluto*). Frazes! Nauka ścisła, na której opiera się postęp kultury materialnej, a także i umysłowej, właściwie powinny być neutralną w stosunku do religii. Ale faktycznie tak nie jest. W dążeniu do zastąpienia religii przez naukę i kulturę, ludzie przyczepiają do nich tendencje antyreligijne i wskutek tego wywołują ze strony wierzących tendencje przeciwne. Na podłożu tej walki tworzą się dwie kultury, wrogie sobie wzajemnie, z których jedna jest katolicka, druga antykatolicka. Patrząc na tę walkę ze stanowiska wyższego, przyznać zresztą trzeba, że nauka i kultura materialna dobrze w rezultacie na niej wychodzą. Obadwa obozy kontrolują

się wzajemnie, spółubiegają o pierwszeństwo, a nauka, od czasu do czasu, dorzuca do swego skarbcza nową, przez obie strony uznaną prawdę, z którą dogmat religijny się godzi, o ile jest z nią w styczności. Takie prawdy bogacą ludzkie rozumienie boskiego Dogmatu.

Jeżeli jednak chodzi o kulturę moralną, to berło jej trzyma Kościół. Kultura moralna — to teren jego absolutnej władzy, którego on ani piędzi nie ustąpi nikomu, choć każdą pomoc z zewnątrz, ofiarowaną z dobrej woli, przyjmie. Wobec wspomnianej dążności naukowców do zastąpienia religii przez naukę, rozróżnianie pomiędzy kulturą moralną katolicką a niekatolicką jest najzupełniej zasadne i odpowiada rzeczywistości. Podobnie jedno jest słońce nad kulą ziemską, a przecie mówimy o słońcu włoskiem i egipskiem, północnem i południowem, i t. d. Mówimy nawet o pieniądzach polskich, pomimo stempli: rosyjskich, pruskich, austriackich i... amerykańskich.

Pan. (*Ostinato*). Władzy absolutnej! Jeżeli katolicyzm będzie istniał do końca świata, to uświadomiony, wolny duch ludzki do końca świata będzie przeciw niemu protestował!

Ksiądz. (*Giocoso*). Wróżba pańska zgadza się w zupełności z prorocstwem Chrystusa o Antychryście. Wolny duch ludzki będzie rósł w pychę i władzę, aż weieli się w Antychrysta, który ideał wolności urzeczywistni. Rad jestem, żeśmy się z panem, w tym naszym duecie polemicznym, choć na jednym punkcie zgodzili...

(*Gravemente*). W wolności typu Antychrysta wyraża się duch fałszu i kłamstwa. Wolność ta pozwala wierzyć, w co się komu podoba, z wyjątkiem dogmatu katolickiego. Samo mnóstwo wierzeń, prze-

ciwstawiających się solidarnie temu dogmatowi osobliwie, świadczy o ich fałszu, skoro prawda może być tylko jedna. Natomiast w absolutyzmie katolickim, miarkowanym zresztą duchem ojcowskim w stosunku do ludzi, znajduje odbicie absolutna i niezwalczona świadomość posiadania boskiej prawdy. Kościół występuje w imieniu Chrystusa, który, jako Bóg, jest Panem i Władcą absolutnym dusz ludzkich. Ale też jednocześnie i Władcą miłującym dusze, za które Krew swoją przelał. Kościół wzoruje się na tym Panu i Władcy swoim, którego jest zastępcą na ziemi. Razem z Mistrzem i Założycielem swoim, Kościół odzywa się do świata całego: „Weźmijcie jarzmo moje na się... Albowiem jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemień moje lekkie“. Jest to jarzmo, i na rozum, i na serce, ale i dla rozumu i dla serca wdzięczne. Chroni ono rozum od błędzenia po manowcach i jest płodne w prawdę; serce chroni od zepsucia i ubogaca je w cnotę.

Pan. (*Funerale*). Może i szczęśliwy, kto w to może wierzyć!

Ksiądz. (*Placido*). „Szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzono“—powiedział Chrystus. Wiara jest łaską; ale trzeba i pracy myśli przyłożyć w szukaniu prawdy, i wysiłku woli w cierpliwem kołatanii do świątyni Prawdy katolickiej, żeby na łaskę wiary zasłużyć. „Możeż co dobrego być z Nazaret?“ — pytał sceptycznie Nathanael, gdy mu Filip, powołany już przez Chrystusa do grona Dwunastu, oznajmił o Mistrzu. Odrzekł mu Filip: „Pójdź, a oglądaj!“ Nathanael poszedł na spotkanie Chrystusa, ujrzał Go i w Bóstwo Jego uwierzył. Tknęła

go łaska, gdyż dobrą wolę ku poznaniu Chrystusa okazał.

Pan. (*Sospirando*). Łatwo to powiedzieć! Człowiek nowoczesny to nie pełny naiwnej prostoty Nathanael. Doświadczam przenikającego, jak ostrze sztyletu, bólu na samą myśl o t. zw. nawróceniu. Znaczyłoby to popęlić samobójstwo na tej indywidualności, którą urobił we mnie duch czasu, z którą się zżyłem i zrosłem, która jest duszą mojej duszy. Przyznaję, że rozumowania księdza na rzecz katolicyzmu są logicznie mocne, lecz mój nawyk myślenia liberalnego jest jeszcze mocniejszy. Katolicyzm boli mnie i przeraża, na to zaś najteższe rozumowania katolickie nie pomogą!

Ksiądz. (*Gravissimo*). „W boleściach rodzić będziesz!“ — usłyszała z ust Bożych Ewa pramatka. To kara grzechu. Wskutek również grzechu, w boleściach rodzą się w człowieku przemiany moralne na lepsze. W boleściach Matka - Kościół rodzi dziatki — „ażby Chrystus był w nich ukształtowan“, jak mówi Wielki Apostoł, bo znowu grzech ludzki stawia opór łasce. Społeczeństwa całe wpadają w konwulsje rewolucyjne, gdy chcą jaką reformę przeprowadzić. Wszystemu winien grzech, grzech, grzech! Grzech pierwotny i, jego potworne, potwornie rozmnożone potomstwo. W sumie ogólnej to zbrodniarz tytaniczny, który targnął się na życie ludzkie samego Chrystusa, Odkupiciela i Zbawcy ludzkości. Targa się on i dziś na Jego życie mistyczne w Kościele, gdy On pragnie się w duszach ludzkich rodzić i odradzać je.

Odradzać! Jak dzieckiem człowiek się rodzi, podobnie i odrodzić się musi dzieckiem. Dlatego

Chrystus Pan, postawiwszy pośrodku uczniów swoich dziecko, wskazał im je za wzór, mówiąc: „Zaprawdę, powiadam wam, jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie, jako dziatki, nie wnijdziecie do Królestwa Niebieskiego“. Trzeba więc poniekąd zdziecięcić, żeby w Królestwo Boże uwierzyć i następnie je zdobyć.

Jak to zdziecięcenie rozumieć?

Nikodem, kiedy mu Chrystus oznajmił o konieczności odrodzenia, pojął je fizylogicznie i spytał naiwnie: „Jakoż się człowiek może rodzić, będąc starym? iżali może powtórę wniknąć w żywot matki swojej i odrodzić się?“ Nie rozumiał, choć był nauczycielem w Izraelu, iż trzeba się odrodzić duchowo. Ale znowu dzisiejsi Nikodemowie gotowi zapytać: „Jakoż człowiek dojrzały, nowoczesny, może zdziecięcić duchem? Snadź i za czasów apostoelskich podobne pytania stawiano, skoro św. Paweł wyjaśnił: „Bracia, nie stawajcie się dziećmi rozumem, ale bądźcie dziećmi złością: a rozumem doskonałymi bądźcie“.

Chodzi więc o dziecięcą niewinność, która z człowieka starego czyni człowieka nowego. To, co pan zowie człowiekiem „nowoczesnym“, jest w rozumieniu chrześcijan człowiekiem starym duchowo, zepsutym przez błąd i grzech. Nowym zaś człowiekiem w temże rozumieniu jest ten, kogo właśnie ludzie nowocześni zowią wstecznikiem, średniowiecznym anachronizmem. Wiele mówi o tem Pismo. Stary człowiek „psuje się wedle żądz błędu“ — mówi Apostoł. I wzywa: „Odnówcie się duchem umysłu waszego“ — „obleczcie się w nowego człowieka, który wedle Boga stworzony jest w sprawiedliwości i świątobliwości prawdy“. Znowu św. Piotr: „Złożywszy tedy wsze-

lakać złość i wszelaką zdradę i obłudności i zazdrości i wszystkie obmówiska, jako dopiero narodzone niemowlęta, rozzumnego bez zdrady mleka pożądajcie: abyście w niem urosli ku zbawieniu“.

Co za charakterystyczne i dające do myślenia zwroty i skojarzenia słów! *Żądze błędu, świątobliwość prawdy, rozumne bez zdrady mleko*... Grzeszne to żądze są matkami świetnych nieraz błędów, przebiegających meteorami przez atmosferę ducha czasu. Zepsutym ludziom nie smakuje mleko nauki Chrystusowej: oni na to za starzy, ci ludzie niby najnowsi. nowocześni. Szukają strawy ostrej, zdrażliwej, wyszukanej, drażniącej stępiełego ducha, od której tworzy się smrodliwy rak grzechu, który toczy i pożera duszę. „Według swoich pożądliwości gromadzą sobie uczycielów, mając świerzbujące uszy, a od prawdy słuchanie odwracają, a ku baśniom się obracają“, jak już Paweł przestrzegał i pouczał swego ucznia, Tymoteusza, iż przyjdą takie czasy.

Człowiek „nowoczesny“: co za ironia! Myśmy starcy duchem, a stąd także i ciałem. Już młodzież szkolna starzeje się w tych naszych, niby nowych czasach. Szukamy ratunku w sportach, żeby przez ciało odradzać dusze, kiedy przyczyna złego w duszy, zatem od niej zacząćby należało i następnie równolegle z akcją odrodzeńczą duchową prowadzić akcję odrodzenia fizycznego. Inaczej, excusez du peu!— w byczych ciałach będą i bycze dusze, jak w pruskich junkrach i burszach, jak w rzeźnikach.

Słowem, panie, trzeba zdziécięcić duchem: zniewinnieć sercem, sprostotnieć umysłem, żeby uwierzyć i, dla Królestwa Bożego, dla Kościoła, urosnąć.

Pan. (*Generoso*). Bóg zapłać księdzu za kazanie,

jakiegom jeszcze nie słyszał. Co prawda, na kazaniach nie bywam... Bądź - co - bądź, ono mi nie zaszkodzi. Dość mi na razie na tem, że widzę w księdzu człowieka, choć człowieka katolickiego...

Ksiądz. (*Con grazia*). Obym mógł odwzajemnić się panu komplementem katolickim za pański komplement liberalny: Widzę w panu człowieka, aż katolickiego człowieka!



(INTERMEZZO).

„ZARDZEWIAŁA“ BRONŃ.

ROZMÓWKA NA ULICY.





— Czytał ksiądz w ostatnim „Gońcu“ artykuł przeciw duchowieństwu? — zagadnął mię na ulicy dyrektor gimnazjum polskiego.

— Nie mam... przykrości czytywać „Gońca“, wcale mnie jednak nowa jego napaść na Kościół nie dziwi. Od tego „Goniec“ jest „Gońcem“, żeby urządził „ganienia“ czy naganki na wszystko, co katolickie. Cóż mu się znowu w Kościele nie podobało?

— Tym razem „Goniec“ ma najzupełniejszą słuszość, przyklasną mu najlepsi nawet katolicy. Chodzi o klątwy biskupa kieleckiego na zaraniarzy. Kto słyszał, żeby w XX wieku posługiwać się bronią, tak zardzewiałą, jak klątwa!

— Pomijając garść katolików uświadomionych, którzy bezwarunkowo solidaryzują się z hierarchią, najlepsi katolicy polscy w rozumieniu pańskim nie warci są najlichszego katolika niemieckiego lub francuskiego. A że miecz klątwy wcale nie zardzewiał, najlepszym dowodem te polyski oburzenia, które wywołuje, te przeciwklątwy, które sprowadza. Jest to broń tak dalece racjonalna i sprawiedliwa, iż używają jej wszystkie stowarzyszenia, jeśli tylko dbają

o swój honor, całość i rozwój. Nietylko w XX-ym, ale i w XL wieku ona nie zardzewieje; chybaży zaplanowała anarchia powszechna i ta broń wyszła z użycia, do czasu, ażby się konieczność przywrócenia jej okazała w pełni oczywistości. Cóż to właściwie jest klątwa? Wyłączenie ze stowarzyszenia za łamanie jego ustawy i wnoszenie doń fermentu rozstroju. Kościół jest stowarzyszeniem religijnem. Jako taki, ma on prawo miecza duchownego, którymby zepsute członki odcinał. Czemu nie słyhać w prasie oburzeń, piorunów, przeciw materyalnemu sztyletowi lub widełkom, przebijającym arterye szyi, używanym przez inasoneryę przeciw „braciom“, którzy ją zdradzili?

Bajki, kochany księże, dla niegrzecznych dzieci! W XX-ym wieku nikt rozumny w strachy te nie uwierzy...

— Dziękuję za komplement!.. Do niedawna uchodziło za bajkę samo istnienie sekty trójkątowej, bo tak suflowała sama sekta. Dziś zrzuciła ona maskę, przestała się ukrywać, przynajmniej na Zachodzie, bo się poczuła na siłach. Cóż, do krośset! za bałwochwalstwo, to padanie plackiem przed wiekiem XX-ym! Myślę, że na nim nie kończy się postęp i rozwój. Niedaleka już przyszłość odsłoni może i wobec ślepych wodzów ślepego tłumu straszną rzeczywistość, uważaną za bajkę.

— Nie o to chodzi tymczasem. Oskarżony jest Kościół. Niech ksiądz sam powie, czy to politycznie i po obywatelsku ze strony kieleckiej Ekscelencyi mieczem klątwy rozdawać jednolite dotychczas masy ludowe? Mało-ż rozdwojeń wśród inteligencji?!

— Oskarżenie według metody: ślusarz zawinił, a kowala powieszono. Rozumiem! W taki sposób na-

leżałoby i za rozdwojenie, wywołane przez czarny mankiet, potępić również Kościół, gdyż z bólem serca uznał fakt dokonany i mieczem go klątwy podkreślił. Czemu przykłada pan inną miarę do „mateczki“, inną do taty Miłguja?

— Uznaję rzucane przezeń w lud hasła!

— Więc przedewszystkiem hasło: „Sami sobie“?

— Naturalnie! od zwyrodniałej szlachty lud nie może niczego oczekiwać.

Ani zapewne od duchowieństwa, dopowiem za pana; jeno od demokracji oświeconej, która chce zająć miejsce arystokracji rodowej, kapitalistycznej i rządzącej.

— Farbowane lisy, kochany panie! „Sami sobie“ w tłumaczeniu waszem, to znaczy: pod patronatem i kierunkiem pseudo-demokratycznej bezwyznaniowości i niedowiarstwa, zamiast ołtarza. Pod patronatem i kierunkiem tej demokracji, za którą kroczy Wielki Cham, żeby świat schamić, spodlić, zamiast go podnieść i uszlachetnić.

— Śpiewa ksiądz na ograną nutę poloneza Krasieńskiego:

„Jeden tylko, jeden cud:

Z szlachtą polską — polski lud!“

Dziś lud rzucił inne hasło:

„Do naszego szczęścia nie potrzeba cudu:

Niechaj tylko szlachta idzie z wolą ludu!...“

— Nie lud je rzucił „sam sobie“, lecz jego suflerzy — miłguczycey. Dawne pojęcie szlachty uważamy dziś wszysej, bez różnicy przekonań, za przestarzałe, za klejnot muzealny. Nie w tem rzecz. Idzie o zgodę międzystanową, o solidarne spółdziała-

nie. A któż je rozrywa, jeśli nie głosiciele hasła: „Sam sobie“, ograniczonego do ludu? Ono „samo jest, jak nabój dynamitowy, który rozsadza opokę jedności narodowej. Ono właśnie jest klinem, który tę jedność rozszczepia na wrogie sobie wzajem partye. Wzięte bezwzględnie, na dalszą metę, zawiera ono w sobie wręcz zaprzeczenie, jakkolwiek zrazu ciche, idei Boga, jednoczącej stany: więc twierdzi rewolucyę, zamiast ewolucyi, więc panowanie chciwego na łup chamstwa, aspirującego do przywilejów arystokracji, pod bydlęcem hasłem Wielkiej rewolucyi: Nasuń się, abym ja teraz miejsce twoje zajął! Wtedy to już raz:

„Nie wolności powstał człowiek,
Lecz wolności wstało zwierzę“.

Przerażeni widmem „Krocącego Chama“, *) cofają się przed niem nawet ci, co je wywoływali, i zapowiadają teraz nowego, katolickiego człowieka, który za tantym nadchodzi **). Wołają na całą Francyę, na całą Europę, że niema równości, wolności i braterstwa poza Chrystusem! Oto, jak jeden z nich, Jerzy Valois, dawny anarchista, sądzi uroszczenia „arystokracji intelektualnej“.

„Wśród waryactw i oszustw rozumu niema gorszego ni śmieszniejszego, nad ten szal niektórych wyższych pedagogów, który kazał im objawić demokracji, słuchającej ich bez śmiechu, że są arystokracją umysłową, że podobnie, jak człowiek poszczególny kieruje się rozumem, tak społeczeństwo po-

*) Mereżkowskij: Griaduszczij Cham.

**) Jerzy Valois: L'Homme qui vient.

winno być kierowane przez tych, co mają inteligencję i naukę; że oni są mózgiem ludu i dlatego powinni stać na jego czele. Fałszywi uczeni, czyli kłamcy!

„Ci kapłani i doktorowie prawdy imponowali nam przedewszystkiem kłamstwem, bo kłamstwem jest twierdzić, że człowiek się kieruje rozumem.

„Człowiek kieruje się instynktami; tak jest, tak wiedzą i mówią prawdziwi uczeni, którzy spełniają swe zadania w pracowniach i nie wychodzą na rynek. Czem jest mózg? Narzędziem, jak noga, ręka, oko, używanem przez instynkt...

„Panem nie powinien być ten, kto myśli, lub wie, lub może ćwiczyć naszą inteligencję; lecz ten, co ma siłę działania na nasz instynkt, zmuszania naszej energii do wysiłku... Rozkaz, nie nauka, porusza człowieka: takie jest prawo naszej natury. Dlatego nie może istnieć arystokracja umysłowa (t. j. panowanie umysłowców) i nigdy nie będą panami i wodzami ludu ci, którzy działają tylko na nasz rozum“.

— Zadałobyśmy zaszli... Trzeba nawrócić. Kościół sam traci na swoich kłatwach. Cóż zyskał w danym przypadku? Manterys pociągnął za sobą całą gromadę...

— Zaszliśmy daleko, ale konsekwentnie. Nawrócę jednak za panem do punktu wyjścia. Celem kłatwy nie jest zatrata dusz winowajców, lecz ich upamiętanie grozą moralną. Jeśli ono wszakże nie przychodzi, tedy dla owiec „parszywych“ Kościół nie może poświęcać zasady, jak jej nie poświęciłoby żadne stowarzyszenie, które chce zachować zdrowie moralne. Dla zasady nierozzerwalności małżeństwa Kościół potrafił niegdyś poświęcić całą Anglię i wy-

dać ją na łup szaleństw Henryka VIII, przez co umiejscowił klęskę. Gdyby postąpił inaczej, uczyniłby wyłom w zasadzie, uświęconej przez Chrystusa, wyłom, przez który wtargnąłby do Kościoła potop zepsucia. Rozczula mię pańska troska o dobro Kościoła; lecz on sam wie, co czyni, i niepowołanych nauk nie potrzebuje.

— Nigdy, widzę, nie zrozumiemy się z księdzem...

— Niestety! Czuje, że zjednałbym pana Kościołowi, gdybym z jego zasad uczynił ustępstwo na rzecz pańskiego poglądu. A tak, mam wrażenie, że go mimowoli odpycham. Trudno! Nie mogę zdradzać katolicyzmu, i to wbrew osobistemu przekonaniu. Zysk nie opłaciłby straty. Mniemam jednak, że porozumienie byłoby możliwe, gdybyśmy mieli jedną miarę dla wszystkiego i wszystkich, gdybyśmy przyznali katolicyzmowi przynajmniej równouprawnienie logiczne z milguizmami etc., no i gdybyśmy tak zechcieli nareszcie pozbyć się zardzewiałych naprawdę frazesów.

— Nie może być zardzewiałe to, co jest w użyciu...

— Więc niech będzie: frazesów *wytartych*, których żaden poważny bankier myśli nie przyjmie. Przypominam zresztą, że i miecz klątwy jest w użyciu, a nikt go w gruncie rzeczy nie lekceważy, skoro się nań oburza.

— Moje uszanowanie!

— Moje uszanowanie!

NAD PRZEPAŚCIĄ NIEWIADOMOŚCI.

ROZMOWA O POSTACH.





— Jestem katolik, proszę księdza, mówił do mnie inteligentny skądinąd pan, przygodny towarzysz podróży, zając się sznycel na statku w środę W. Postu. — Ale, proszę mi darować! w głowie mojej pomieścić się nie może fakt, że Kościół, instytucya przecież taka poważna i wzniosła, zniża się do pozio-
mej sprawy odżywiania, wchodząc do kuchni, dysponując, co mamy jeść, i zaglądając do garnków, czy spełniane są jego przepisy o postach. Ostatecznie wszystko mi jedno, co jem, byleby to było przyrządzone smacznie i bylebym miał mięso, kiedy mam apetyt na mięso, a rybę, kiedy na rybę. Nie cierpię wszelkich kluchów i kaszek! Śledzia, owszem, toleruję, jako przekąskę do koniaku czy nalewki. Kościół powinienby iść z postępem i zaniechać nareszcie regulowania godnych pogardy funkeyi żołądka, pozostawiając to zawodowcom, t. j. higienistom i lekarzom.

— Chwytam pana za słowo! Zgadzam się z nim chętnie na jego pogardę dla marnych w obliczu ducha spraw odżywczych. W głowie mojej wszakże pomieścić się nie może wniosek, jaki pan stąd wyprowadza, w szczególności te, naturalne zresztą, zastrzeżenia, któremi pan swoją rzekomą obojętność dla jakości pokarmów obstawiał. Wedle mojej logiki, rze-

czywista dla czegoś bądź pogarda wyłącza wolność wyboru i prowadzi do biernej zgody na czyjąkolwiek interwencję w rzeczach, tą pogardą objętych. Mówi ona: róbcie sobie, co i jak chcecie! A jeśli chodzi o pokarm: dajcie mi jeść, co się wam podoba, byłoby to było jadalne i byłoby głód zaspokoili.

— Z kolei chwytam za słowo księdza! Jestem człowiek niedoskonały i bynajmniej nie mam pretensyi do posiadania doskonałej względem rodzaju pokarmów obojętności. Pówinienby ją mieć wszakże Kościół i w konsekwencji orzec, jak ksiądz przed chwilą: wszystko mi jedno, co jadacie, byleście byli zdrowi a mocni duchowo, t. j. etyczni!

- Jestem w domu! To znaczy, że Kościół, w imię swego idealnego i wzniosłego posłannictwa, powinien być obojętnym na środki odżyweze, ażebyśmy my mogli bez żadnej przeszkody folgować swoim apetytom. Pan właściwie, nie tylko niedoskonałe, lecz wogóle wcale nie jest na to obojętny: jeno taką obojętność sugeruje fortelem Kościołowi, żeby samemu zyskać jak najszerzą swobodę, ograniczoną chyba tylko w potrzebie wskazówkami lekarskimi. Podobnie wrogowie Kościoła radziby znieczulić jego wyjątkowo subtelną wrażliwość na błąd, żeby go mogli bez przeszkody apostołować. Usiłują to uczynić pod pięknem hasłem tolerancyi, która w ich ustach nie jest niczem innem, jeno właśnie tą samą obojętnością, w danym razie na błąd lub prawdę. Proszę mi powiedzieć, czy pan, jako katolik, nie jest częstką Kościoła, jakkolwiek, zgódźmy się na to! bardzo niedoskonałą? Cegielką marglowatą, która się pod działaniem zmiennej atmosfery światowej lasuje i rozpada?...

— Jako katolik, zapewne, jestem cegielką w Kościele i, zgoda na to! zmieszana z marglem światowości. W takim razie atoli Kościół, jako matka troskliwa, powinienby tę cegielkę otynkować cementem wyrozumiałej opieki, kwitując z zajmowania się sprawą odżywczą, która mu nie przystoi. A takich cegiełek dziś mnóstwo! Miałżeby Kościół z kwestyi żołądka robić kwestyę sumienia i, dla marnego ciała, tracić dusze, ich tradycyjne przywiązanie?

— Do innego tymczasem wniosku zmierzałem... W takim razie, skoro pan jest cegielką w Kościele, powinienby pan poczuwać się do solidarności z Kościołem w tem, co mu zaleca. Czy nie tak?

— Bah! Jestem tylko skromny i pokorny laik...

— Skromny i pokorny laik, który jednak dyktuje Kościołowi Nauczającemu, jak się ma reformować w duchu rzekomego postępu! Czy skromnemu a pokornemu laikowi nie przysałoby raczej skromnie a pokornie Kościoła tego słuchać i być mu poddanym?

— Z chęcią przystaję na to, żem niedoskonały na wszystkie boki! Trudno mnie jednak potępiać za pragnienie doskonałości w Kościele Nauczającym. Obojętność na niskie sprawy odżywcze jest chyba rzeczą doskonałą, znamionującą wyższość ducha, jego niezależność od ciała.

— Aha! zaglądam głębiej w domek pańskiej myśli. Byłby pan świetnym sofistą, gdyby był sofizmatów swoich świadomy. Pańska wyższość i niezależność ducha od ciała przypomina mi starożytno-chrześcijańskich gnostyków oraz średniowiecznych beguardów, beguinów, fratricellów, braci wolnego ducha i wszystkich innych heretyków, znanych

w dziejach ascezy katolickiej pod ogólną nazwą kwietystów (*quies* = spokój), którzy uroili sobie podobną wyższość i niezależność i, pod jej pozorem, popuścili cugli chuciom cielesnym aż do zbrodniczości. Mniemali, trudno przypuścić, żeby w dobrej wierze, jakoby osiągnęli tak wysoki stopień doskonałości moralnej, tak się wyzwolili z pod jarzma zależności od zmysłów, iż najdziksze nawet wybryki ciała nie mogły duszom ich szkodzić. Byli wszak „niezależni“ i „wolni“ duchem, pogrążeni w nienaruszonym, doskonałym spokoju kontemplacyi rzeczy Bożych i wiekuistych. Co ich tam obchodzić mogły orgie, jakie wyprawiały marne, godne pogardy, własne ich zmysły!

— Oryginalna, istotnie, herezya! Nie zdarzyło mi się dotąd słyszeć o czemś podobnem i, gdyby nie wiarogodność księdza, wzbraniałbym się uwierzyć w samą nawet możliwość podobnych ekscesów. Ta okoliczność niechaj posłuży księdzu za dowód, jak daleki jestem od takich myśli.

— Radbym ją przyjął w logiczny rachunek na pańską korzyść. Niestety, logika mi na to nie pozwala. Powinowactwo ideowe między poglądem pańskim a teorią kwietystów zbyt jest blizkie, pomimo odległości czasu, jaka nas od nich oddziela. Średnowieczni bracia i siostry wolnego ducha hołdowali w gruncie rzeczy temu samemu duchowi „wolności“, który opętał świat, nam współczesny. Różnica jest tylko w formach. Powszechnie panujący w średnich wiekach duch religijny sprawiał, że obłędy średnowieczne, nawet te, które płynęły z brudnych źródeł zmysłowości, przyoblekały się w kształty również religijne, nawet ascetyczne.³¹⁾ Dziś obłędy te same, zgodnie z panującym duchem czasu, stroją się w sza-

ty nauki i postępu ateistycznego. Nie to nie znaczy, że pan o teorii kwietystów usłyszał po raz pierwszy. Zmysłowość jest wiecznie młoda i zawsze potrafi natchnąć umysł doktryną czy poglądem, któryby jej popędy usprawiedliwiał. Mistrzyni sofizmatów nieporównana! Jedną tylko okoliczność łagodzącą mogę panu przyznać: tę, że pan swoją pozorną obojętność na sprawy ciała ograniczył do spraw żołądka, który snadź jest bliski pańskiemu sercu. Nie rozum bowiem, lecz serce podyktowało panu jego kwietystyczny sofizmat. Rozum dał się przekupić sercu, odczuwającemu zbyt silnie sąsiedztwo i wpływ cennego narządu trawienia...

— Niech będzie i tak, jeśli ksiądz tak uważa. Taki lichy człowiek, jak ja, łatwo może się zdobyć na pokorę...

— ... Żeby przy jej pomocy ocalić od postów swego „maciusia“... Ale rzecz właśnie w tem, żeby się „liczy człowiek“ doskonalił, żeby przy pomocy postów wyzwalał swego ducha z pod zależności od pożądań ciała, żeby się wzmacniał i, z choć trochę tylko uszczuplonym balastem materii, łącniej wzbiął się ad astra. Ten jest cel postów, cel, przyzna pan, wzniosły, najzupełniej godny wzniosłej misji Kościoła. Pan tymczasem, pod pozorem pogardy dla przerabianej przez żołądek materii, przemycił tajemną niechęć do idei postu. Zato bezprawie dyalektyczne niniejszem konfiskuję pański pogląd, jako towar fałszowany, i skazuję go na zniszczenie. Jak zagniewany belfer, robię nad nim Schwammdrüber!

— Za pozwoleniem! Proszę się wstrzymać! Ksiądz był łaskaw przerwać myśl moją...

— Przepraszam! Lecz w swoim charakterze cel-

nika na granicy państwa Prawdy mam prawo stawiać doraźny opór wszelkim sofistycznym zabiegom. Pokora, z którą pan łaskaw był się oświadczyć, wydała mi się również podejrzaną.

— Nie jest ksiądz stworzeniem politycznem — „zoon politikón“, — jak Arystoteles określił człowieka. Chciałem być właśnie powiedzieć...

— W przekładzie z greki na łacinę znaczy to: „animal sociale“ — zwierzę społeczne. Jest rzeczą arcyspołeczną tępić sofizmaty, bez względu na wymagania dyplomacyi, która sama pełna jest godnego potępienia i wytępienia makiawelstwa. Z podejrzenia-względem pańskiej pokory zaraz się wytłumaczę. Jest ona co najmniej cieniem tej, którą głosi ewolucjonizm w imię zwierzęcego pochodzenia człowieka. Stosownie do takiej jej genezy, także i jej cel jest bardzo poziomy, owszem, wsteczny: usprawiedliwienie zwierzęcego, choć w formach kulturalnych, życia. Co zresztą nie przeszkadza bynajmniej ewolucjonizmowi wspiać się na metafizyczne wyżyny monizmu, żeby ogłosić z nich ludzkości homo-teizm, czyli ubóstwienie człowieka. Widzimy tu zjawisko psychologiczne takie same, jakieśmy stwierdzili u kwietystów: zejście się i połączenie na krańcach ostateczności — dwóch przeciwnych sobie tendencyi: materyalistycznej z idealistyczną. Oczywiście, z tych dwóch niepołączalnych, jak ogień i błoto, dążności — jedna musi wziąć w praktyce życia przewagę nad drugą. Wobec naturalnego ciężenia skażonej natury ludzkiej ku materyi raczej, aniżeli w górę, łatwo przewidzieć, która z nich zwycięży. W istocie, aspiracye idealistyczne służą jeno za parawan dla materyalistycznych, poza tem jeszcze i gwoli prze-

licytowaniu w idealizmie samej nauki Chrystusowej. Czego dziś nie umiścizniają i czem nie mistyfikują! Za ilustracyę niech starczy choćby taki dziwoląg duchowy, jak mistyczny pryapizm Przybyszewskiego. Pryap, wiadomo panu, nieodrodny syn Bachusa i Wenery, był nader wesołym bóstwem ogrodów i winnic. Dziś panuje on w kabaretach: tam na jego cześć śpiewają się priapeja carmina, wśród bachantek, przy kanonadzie szampana. Tam postów nie uznają. Mają dla nich najniższą pogardę...

— Otóż właśnie chciałem być powiedzieć, że wszak Chrystus wyraził pogardę dla jakości pokarmów: „Nie, co wchodzi w usta, plugawi człowieka, ale co wychodzi z ust, to plugawi człowieka“. Daleki-m zresztą od mistyczno-pryapejskich teorii, które ksiądz raczył przeciw mnie wytoczyć. Zastrzegam się...

— Przyjmuje pańskie zastrzeżenie. Chciałem być stwierdzić jedynie związek logiczny między owemi teoryami a pańskim przeciwpodstnym poglądem. Tylko z ich podłoża mógł on wyrosnąć, niezależnie od okoliczności, czy wyrostowi temu towarzyszyła pańska świadomość, czy nie. Atmosfera umysłowości społecznej przesycona jest pierwiastkami owych doktryn, tak, iż przenikają one do mózgów, nawet nastrojonych po katolicku, gdy mianowicie nie strzeże ich od tego uświadomiony należycie krytycyzm katolicki. Powstają wtedy samorodnie, na pozór, dziwolężne sofizmaty, jak również na pozór samorodnie tworzą się grzyby i pleśnie. A co do przytoczonych przez pana słów Chrystusowych, zapewne obdarzył go nimi jaki pastor?

Przyznaje: zgadł ksiądz! Przez to jednak, że

słowa Chrystusa przeszły przez usta pastora, chyba nie przestały one być Chrystusowemi...

— Bez wątpienia! Tylko że, przechodząc przez usta, raczej zaś przez mózg pastora, nabyły one sensu pastorskiego, jakiego nie miały i nie mają w Ewangelii. Nie trzeba mi też było zgadywać, z jakiego źródła powziął pan wiadomość o tych słowach, jak nie mam także potrzeby silić się na odgadnięcie, dlaczego pańska pamięć tak je wiernie przechowała. Słuchał pan przykładnie pastora, proszę o podobny posłuch dla księdza.

Istnieje obowiązująca zawsze i wszędzie, więc i w stosunku do Pisma św., zasada krytyczna, na mocy której należy sądzić wszelkie teksty w związku z ich kontekstem, który dopiero sens ich właściwy nam objawia. Nie żądam tu dla Pisma niczego więcej, nad równouprawnienie z wszystkimi innymi płodami literatury. Rzeczona zasada stoi na straży prawdy przeciwko wszelkim tendencyjnym naciągniom i wypaczaniom, w czem właśnie, gdy chodzi o Biblię, mistrzują protestanci. Słynny był swego czasu wypadek pobicia bronią jego własną — jednego z logomachów protestantyzmu przez księdza. Gdy doszedł wreszcie do słowa, ksiądz rzekł krótkowężłowato: Pismo św. powiada, że Judasz poszedł i obwiesił się; na innem zaś miejscu: „Idź, i ty uczyn podobnie”... ³²⁾ Nie można było lepiej doprowadzić do absurdu „metody” naciągania tekstów do powziętych z góry założeń i twierdzeń.

Otóż, obchodzące nas tu słowa wypowiedział Chrystus bynajmniej nie z okazji postów, lecz z powodu jednostronnego przywiązania faryzeuszów do litery prawa, mianowicie do legalnych obmywań rąk

przed jedzeniem. Faryzeusze bowiem gorszyli się z uczniów Chrystusowych, iż rąk wtedy nie umywali. Myśl więc jest taka: plugawi moralnie człowieka — nie pożywanie chleba nieumytemi rękoma, lecz brudne serce, z którego brudne słowa przez usta wychodzą.

— Zatem Chrystus oświadczył się przeciw higienie?!

— Zarówno od higieny, jak i od kwestyi postu myśl Jego wówczas, gdy to mówił, była daleka. Protestował jedynie przeciw faryzeuszowskiej formalistyce religijnej, z pominięciem religijnego ducha. „Obłudnicy! — wołał Chrystus, właśnie w tej okazyi — dobrze o was prorokował Izajasz: ten lud czei mię wargami, ale serce jego daleko jest ode mnie“. A co się tyczy postu, to sam Chrystus dał nam jego przykład wzorowy, gdy przed swoim wystąpieniem na widownię publiczną pościł przez 40 dni, i to w sposób doskonały, bo nic nie jedząc ani pijąc, jak świadczy Ewangelia.

— Czy to możliwe?

— Co jest faktem, to tem samem leży w granicach możliwości, jeśli nie przyrodzonej, tedy nadprzyrodzonej. Podobne i nawet jeszcze dziwniejsze fakty stwierdza hagiografia chrześcijańska. Blogosławiona Małgorzata Alacoque, która żyła w XVII wieku, przez szereg lat nie przyjmowała absolutnie żadnego innego pokarmu, krom Chleba Eucharystycznego. Ilekolwiek też razy spożyła cobądź przez posłuszeństwo względem przełożonych, tyle razy to odchorowała. Aż dano jej pokój. Jest to fakt stwierdzony w procesie beatyfikacyjnym; a niemasz dokumentów ludzkich, ściślejszych i wiarogodniejszych,

nad akta beatyfikacyjne i kanonizacyjne. Prawdziwie zapowiedział Chrystus: „Zaprawdę, zaprawdę, wam powiadam: kto wierzy we mnie, uczynki, które ja czynię, i on czynić będzie, i większe nad te czynić będzie“.

Nie dokończyłem jednak jeszcze poprzedniego wywodu.

Dodać trzeba, że Zbawiciel nietylko sam pościł, ale i słowem post wyznawcom swoim zalecał. Więcej zapewne znaczy przykład, czyn, aniżeli słowo. Zaznaczam to jednak ze względu na pańską dążność do zwalnia całego ciężaru doskonałości na Kościół, przy jednoczesnem samodyspensowaniu się od niej, rzekomo pod pozorem pokory. Kościół w Głowie swojej niewidzialnej, Chrystusie, jest święty i dąży do tego, aby i wszystkie członki jego były święte. Więc Chrystus Pan także i słowem posty zalecał. Między innemi mówił: „Gdy pościecie, nie bądźcie, jako obłudnicy, smętnymi: albowiem twarze swoje niszczą, aby się ludziom zdali poszczącymi. Zaprawdę, powiadam wam, iż wzięli zapłatę swoją. Ale ty, kiedy pościsz, namaść głowę swoją i umyj oblicze swoje, abyś się nie okazał ludziom, iż pościsz, ale Ojcu swemu, który jest w skrytości: a Ojciec twój, który widzi w skrytości, odda tobie“. W tych słowach stwierdzona została zasada postu, wprowadzie tylko pośrednio; już atoli sama ta okoliczność świadczy, że była ona za czasów Chrystusa tak dalece poza wszelkiem wątpleniem, iż stwierdzanie jej bezpośrednio i wprostne było zbyteczne. Tak, jak powyżej, mówi się tylko o rzeczach, uznanych powszechnie. Gdy prorok Jonasz przepowiadał pogańskiej Niniwie katastrofę zburzenia, jeśli się nie nawróci, niniwici ogłosili i podjęli pokutę, której głównym wyrazem był post,

rozszerzony nawet na bydło i wszystkie wogóle zwierzęta domowe. A był to post w znaczeniu staropolskiego „suszenia“.

— To zabawne, żeby i głupie bydło do postu zniewalać!

— Jednakże grał tu rolę zrozumiały motyw psychologiczny. Widok smutnego z głodu, oraz przyobleczonego, jak i ludzie, w wory pokutne bydła — musiał ogromnie potęgować w duszach niniwitów nastrój pokutny, o co właśnie chodziło. Dreszcz dramatyczny przejawia, gdy sobie uprzytomnić pokutującą tak żywiołowo Niniwę. Przydałby się on także wielu Niniwom społecznym, nie wyłączając naszej polskiej, do której obecnie z panem jedziemy. Nasuwa się smutna, mimowolnie brutalna uwaga: dawniej ludzie podnosili ku sobie bydło, czyniąc je uczestnikiem pokuty: dziś ludzie do bydła się zniżają, nie chcąc znać postu, jak i ono. Stało się to, co powiedział Psalmista: „A człowiek, gdy we czci był, nie rozumiał: przyrównany jest bydłom bezrozumnym i stał się im podobny“. Jest to zasługa — obecnie więcej niż nieprawdopodobnej, mimo tego wciąż jako dogmat ogłaszanej i odpowiednio wyzyskiwanej, hipotezy zwierzęcego pochodzenia człowieka, skąd wynika zaprzeczenie różnicy jakościowej między nim a domniemanym zwierzęciem jego protoplastą. Przy pomocy tego, problematycznej wartości naukowej, przypuszczenia — rozpętano tkwiące w człowieku zwierzę z dobroczynnych religijno - moralnych więzów chrystyanizmu, wśród których post zajmuje miejsce poważne.

— A jeśli nauka hipotezy tej dowiedzie w końcu z całą oczywistością? Mielibyśmy wówczas drugie

wydanie niezaszczytnej dla Kościoła historii z teorią Kopernika, co mogłoby ostatecznie autorytet kościelny poderwać...

— Krucho musi być z hipotezą, gdy koryfeusz jej, Haeckel, z nadmiaru ku niej miłości, jej poważne i beznadziejne luki sztukuje fałszerstwami. Za pomocą jednej i tej samej kliszy przedstawił on trzy różne zarodki: psa, kurczaka i żółwia. Fałszerstwo to zdradziła jedna i ta sama rysa na wszystkich trzech, rzekomo różnych rysunkach. Przedstawił dalej, cztery szkielety małp człekokształtnych i jednego człowieka, z napisem: „Szkielety *pięciu* małp człekokształtnych“. Przedłużył kręgosłup zarodka ludzkiego o 11 kręgów, gdy z drugiej strony małpie *ogoniastej* skrócił ogon o 15—16 kręgów. I t. d. Notabene, rzekomy ogon, mający się pojawiać u zarodka ludzkiego i rzekomo przemawiający za słynnem prawem biogenetycznem (życiotwórczem) jenajskiego ex-profesora, jest, według Rankego, nierozwiniętą tylko częścią dolną kręgosłupa, jego kościstym zakończeniem, nie dłuższem u zarodka, niżeli u człowieka dorosłego.

Jakkolwiekbaż zresztą nauka przyszłości rozwiąże zagadnienie o pochodzeniu człowieka, czy zwali drzewo genealogiczne Haeckla, czy też je ukoronuje, Kościół z góry gotów jest rezultat badań jej przyjąć i swój wykład Genezy biblijnej doń przystosować. Czego on bronił i bronić będzie bezwzględnie, to wyższego pochodzenia ducha człowieka, ducha, który tak decydująco wpłynął na postawę i kształty jego ciała, odciał go przepaścią różnicy od zwierząt i królem go nad nimi postawił. To kwestya, nie postępującej wolno nauki, ale filozofii.

ale rozumu, któremu na najniższym nawet szczeblu rozwoju zasadnicza różnica między człowiekiem a zwierzęciem przedstawia się odrazu, jako prawda elementarna. Trzeba dopiero zapamiętałego, ślepego, natęhnionego duchem niedowiarstwa — zaślepienia, żeby tej bijącej w oczy prawdzie rozumowej zaprzeczać. Otóż jednym z rysów znamiennych, religijno-moralnych, za pomocą których człowiek wyraża swoją bezwzględną wyższość od brutów, jest post, jest dobrowolna wstrzemięźliwość w przyjmowaniu oraz wyborze pokarmów, jest umartwienie zmysłu smaku i pożądlivości abdomenu na korzyść ducha.

— Dziękuję za „dobrowolność“ z nakazu, przeciw któremu buntuje się cała istota człowieka, mającego rozwinięte poczucie niezależności!

— Nakaz, zwłaszcza o charakterze moralnym, jakim nacechowane są wogóle nakazy Kościoła, nie wyłącza dobrej woli w poddaniu się jemu. Buntuje się w panu poczucie niezależności od nakazów Kościoła, a wpada pan jednocześnie wskutek tego w poniżającą zależność od najniższych zmysłów. Powiedział Pan Jezus o pewnym, nieokreślonym bliżej przez Ewangelię, rodzaju biesów, że ich nie można wypędzić, jedno przez modlitwę i post. Można to zastosować do biesa buntu, który wstrząsa pana oburzeniem przeciwko nakazanym, i to pod grzechem śmiertelnym, przez Kościół postom. W poście więc od tego biesa ratunek. Kto też chce być uleczonym, powinienby chcieć i lekarstwa, jakkolwiekby ono było przykre.

— Tymczasem daloby się może zastosować słowa Chrystusa o tem, co plugawi, a co nie plugawi człowieka, także i do postu, pomimo że go Chry-

stus nie miał wtedy na myśli. Pojmuję, że plugawi obżarstwo i pijaństwo; żeby jednak plugawić miał — dobrze i ze świeżego mięsa przyrządzony sznycel, rostbratel, byfsztyk — naturalnie po angielsku! — to się w głowie mojej nie mieści, mimo że mi to ksiądz gwałtem do niej wtłacza. Pastor miał rację! To, co mi powiedział, trafiło mi do przekonania odrazu. Rzuciło mi w głowę snop światła i kwestyę postu rozwiązało.

Niechaj, co chce, mówi zapaleczywość wściekła!
 Jeszcze nikt na wole nie wjechał do piekła,
 Ani też Bóg objawił w gorejącym krzaku,
 Aby kto też do nieba wjechał na szczupaku!

— Nie światło rzucił panu w głowę pastor, lecz klin mu w nią protestancki zabił, który trzeba klinem katolickim wybić. Trafił panu nie do przekonania, lecz do podniebienia i żołądka, których rozum posłuchał, jak niewolnik. Przytoczony przez pana dowcipny epigramat wydał wiek XVIII, wiek t. zw. „Oświecenia“, który wydał i Rewolucyę francuską, a Polskę zgubił ku radości Wolterów. W duchu tego epigramatu ojcowie nasi za judaszowe srebrniki sprzedali i przeahulali ojczyznę, do czego, myślę, nie byłoby doszło, gdyby szanowano posty i wogóle praktykowano religię. Nie na smażonym wprawdzie szczupaku, ale zato na wędzonym śledziu wyrastali i wyrastają siłacze ducha i, gdyby ich w wieku „Oświecenia“ nie było zabrakło, nie poszlibyśmy byli w niewolę.

— Zbyt tragicznie bierze ksiądz kwestyjkę postu, zbyt poważne przypisuje jej następstwa. Co może mieć wspólnego śledź lub wół z wielką Tragedyą narodową?!

— Już z tego, co dotąd zostało w tej naszej rozmowie powiedziane, widać, że poważna kwestya postu wiąże się z całymi światopoglądami. Traktując ją, zahaczaliśmy co chwila o najdonioślejsze zagadnienia ludzkości. Jak ciało połączone jest z duszą i razem z nią tworzy jedną istotę ludzką, jak obie te części składowe człowieka wzajemny na siebie wpływ wywierają, tak nie może pozostać bez wpływu na jego duchowość sposób odżywiania ciała. Przyznał pan ten wpływ obżarstwu i pijaństwu. Trzeba pójść konsekwentnie trochę tylko dalej, żeby go uznać także na gruncie postu, którego istota polega nie tyle na jakości, ile na ilości pokarmu. Ponieważ mięso jest pokarmem silnym, podniecającym zmysłowo, dlatego zostało przez post wyłączone. Doniosłość tak rozumianego postu oceniają ludzie, nastrojeni naprawdę idealistycznie. Wielki przyrodnik angielski, John Tyndall, powiedział: „Fizyczne jest podkładem dla duchowego. Fakt ten nadaje pokarmom, jakie spożywamy, znaczenie transcendentalne... Uszczuplenie sobie pokarmów, lub, od czasu do czasu, dobry post zakonny—są środkami doskonałymi”.

— Wszystko to piękne. Jak atoli, na miły Bóg! czysto przyrządzony kawał mięsa może plugawić człowieka? Tego mi ksiądz jeszcze nie wytłumaczył.

- Jarosze potrafiliby panu dowieść, że pokarm mięsny, który oni traktują jako „ścierwo“, plugawi fizycznie. Mniejsza o nich! Chodzi o splugawienie moralne przez coś fizycznego. Sam przez się żaden pokarm oczywiście tak plugawić nie może. To, zgadzam się z panem, można wywnioskować i z obchodzących nas tu słów Chrystusowych. Powołać się jednak znowu muszę na związek tego, co fizyczne.

z tem, co duchowe: Człowiek, to prawda, jest „animal“, które jednak, jak je określili różni wielcy filozofowie, jest: metafizyczne, polityczne (społeczne), mówiące i, co najważniejsza, religijne. Dziś jest rzeczą dowiedzioną naukowo, co niegdyś twierdził już Herodot, a czemu próbowała zaprzeczyć społeczna niewiara, że niema najdzikszego plemienia, któreby nie miało jakiejś religii. Religijność stanowi cechę gatunkową człowieka. Religijnem nie jest żadne inne zwierzę, wbrew temu, cokolwiek głosili różni szarlatani o religijnym instynkcie psów, o mowie małp, lub matematycznych zdolnościach koni. Zauważmy tu mimochodem interesujący przypadek logiczny: ci sami szarlatani, co dopatrują się instynktu religijnego w psach, zaprzeczają go ludziom!

Otóż jedną z przyrodzonych potrzeb religijno-moralnych człowieka jest post, zwierzętom absolutnie nieznany. Jest to jeden z tych punktów na linii granicznej między człowiekiem a zwierzęciem, na których człowiek swą różność od zwierząt zaznacza. Post stanowi potrzebę moralną, gdyż podbija ciało pod rządy ducha, co jest zasadniczym postulatem etyki. Stanowi potrzebę religijną, gdyż przezeń czynimy ekspiację za grzechy. Nie też dziwnego, że post, pojęty najogólniej, jako umartwienie w odżywianiu ciała, znany jest w różnych formach wszyskim, przynajmniej wielkim religiom. Zna go nie tylko chrystyanizm, ale i mozaizm i mahometanizm i buddyzm i t. d. Znały go i uznawały nawet szkoły filozoficzne, jak szkoła Pythagorasa. Za naszych czasów składają mu hołdy moralisci protestancy, jak Förster, nawet niezależni, jak Payot. Ba! nawet sławny wróg bogów a przyjaciel życia i użycia, Epi-

kur, twórca trzody epikurejskiej, głodził się często po kilka dni, żeby potem doznawać rozkoszy w spożywaniu chleba i wody.

W tem świetle spójrzmy teraz na katolika, który w dzień postny zajada mięso. Jeśli się ma, nie już poczucie katolickie, ale choćby tylko szczere, czysto ludzkie, aspiracye idealistyczne, nie można nie patrzeć na takiego katolika z pewnem obrzydzeniem; trudno nie osądzić, że ten człowiek nietylko jest lichym katolikiem, ale że jest wyzuty z uczuć idealnych, że to praktyczny materyalista, który nie sobie nie robi z religii, a przez to zniża się do rzędu zwierząt. Co do mnie, nie zdołałbym uwierzyć w kulturę duchową katolika, żyda, muzułmanina, którzyby swobodnie łamali przepisy swojej religii, dotyczące wstrzemięźliwości. Przypominają mi się wtedy nasi zbydlęci rzeźnicy, ci krępolecy, którzy są ofiarami zawodu, związanego z naszym mięsożerstwem. A gdzie jest uzasadnione wrażenie obrzydzenia, tam musi być jakieś plugastwo. Jeśli to wrażenie natury moralnej, to i plugastwo moralne. Proszę mi powiedzieć, czyby się pan nie zgorszył i nie oburzył, gdyby mnie, księdza, zobaczył jedzącego dziś mięso?

— No, co innego ksiądz!

— Czyśmy nie obaj katolicy?... Przypominam sobie przygodę, jaką miałem w drodze na popasie w małomiasteczkowym zajeździe. Był dzień postny, towarzyszył mi pies. Kazałem podać sobie dla psa parę serdelków. Tymczasem do restauracyi weszło kilku waszeciów i niebawem zaczęli żreć mięso, popijając piwem. Bo mięso to się je w dzień zwyczajny, a żre w postny... Wkrótce potem przyniesiono

i dla mnie serdelki. Waszeciowie spojrzeli znacząco na leżące przede mną wyroby wieprzowinowe, przeprowadzili wzrok podłużny po mojej sukni, w końcu zaczęli sobie nawzajem poszeptywać jakieś uwagi, których charakteru łatwo można się było domyślić.

— Psubrat, na! dla ciebie postu niema!—wzwałem psa, dając mu serdelki.

Okazuje się, że owi pankowie mieli także wrażenie obrzydzenia na samą myśl o złamaniu postu. Tylko, przez dziwne, antyklerykalne pomieszanie pojęć, nie odczuli tego samego wrażenia wobec samych siebie. Ten laicki, antyklerykalny katolicyzm zostawia nie tylko dogmaty wiary, ale i cnoty, nawet przyrodzone, księżom, bacząc pilnie, czy aby oni ich przestrzegają; ale sam dyspensuje się od wszystkiego, jak gdyby świeczczaki nie mieli duszy nieśmiertelnej, jak księża, więc także jak gdyby nie dla nich, jeno dla księży, no i dewotek, było zbawienie wieczne.

— Jeżeli chodzi o związek duszy z ciałem i wzajemne ich na siebie wpływy, to kwestyę rozstrzyga złota maksyma Juwenala: „Mens sana in corpore sano“. Posty może wzmacniają duchowo, lecz osłabiają fizycznie, co nie jest ideałem stosunku duszy do ciała. Nasz kartoflany lud, który tak zabo-bonnie postów przestrzega, cierpi na tem cieleśnie.

— Żeby lud cierpiał od postów, to zabobon lekarzy ze szkoły materyalistycznej: zabobon, który, między innymi, rozwiął sławny nasz doktor Matlakowski. W dziele: „Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu“ znakomity ten lekarz i działacz pisze: „Z punktu widzenia naszego smaku, wszystko, co ten lud jada, jest nieznośnem, jeśli nie wstrętnem.

Z punktu fizyologicznego jest tak dalekiem od przeciętnej normy białka, węglowodorów i tłuszczów, wymaganych przez powagi i ich dzieła najbardziej uznane, iż cały ten lud góralski wymrzećby powinien oddawna; jeśli nie wymrzeć, to ciągle chorować na nieżyt jelit i żołądka. A tu nietylko nie wymiera, lecz owszem, kraina jest grubo przeludniona ponad miarę; nietylko nie choruje na przewód pokarmowy, lecz jest zdrów i, o ile sądzić na oko, nie gorzej się przedstawia od ludu naszego z innych okolic kraju“. I dodaje, że: „drzewiej (dawniej) cały Wielki post jadali bez mleka i bez masła! Obecnie, z pozwolenia władzy duchownej, jadają mleczywo“.

Wielu z pośród inteligentów ubolewają nad naszym kmiotkiem, iż za wiele pości, a stąd za mało w organizmie jego wytwarza się białka, bo $\frac{1}{3}$ ilości normalnej, której waga zmniejsza się jeszcze znacznie podczas Wielkiego postu. Przecież, mimo tego, ten kmiotek jednym palcem przewróciłby niejednego „zdechlaćka“, który w Wielki Piątek bezwstydnie jada byfsztyki. Nie zasłaniajmy troską nieszczerą o lud własnego materyalizmu. Ludowi trzeba również kultury ducha, którą on czerpie prawie wyłącznie z religii. Jeżeli wyrodnieje, mianowicie po folwarkach, to prędzej z winy niehygienicznych fizycznie i moralnie mieszkań, gdzie płeć oboja miesza się w jednych stancyach, często i łózkach. A potem i z nędzy, że nawet kiedy wolno odżywiać się do syta mięsem, to nie ma na okrasę. Tam raczej troskę swoją zwróćmy! Niestety, wymaga ona, nie -- pożądanej niby dla ludu ofiary z dobroczynnych przepisów Kościoła, lecz ofiary z własnej kieszeni...

A do „złotej“ maksymy Juvenala, dobrej, jako

hasło sportowe i gimnastyczne, nie mieszajmy tom-baku zmysłowości na szkodę ducha! Skażenie natury ludzkiej jest niezaprzeczalnym, doświadczalnym na każdym kroku, faktem. Stąd, ani marzyć o idealnej równowadze między duszą a ciałem. Czuł to sam Juwenal, skoro myśli swej nie wypowiedział w formie znanego aforyzmu, lecz kazał błagać bogów o zdrową duszę w zdrowem ciele: „Orandum est, ut sit...“ Jeżeli zaś najelementarniejsze poczucie etyczne nie pozwala na zasadę poddania ducha ciału, tedy musimy się zgodzić na obowiązek podbijania ciała na rzecz ducha, czemu post sprzyja znakomicie. Szczególnie na wiosnę, kiedy krew silniej się burzy...

Sama natura duszy ludzkiej skłania nas ku temu. Dusza wstydy się ciała. Wysubtelnienie duchowe prowadzi aż do wstydu wobec czynności odżywczej. Czemu zdobimy w kwiaty stoły biesiadne, jeśli nie dlatego, żeby one swoją poezją osłoniły brutalną z natury swej funkcję? Czemu ją estetyzujemy w układzie ciała, ruchu rąk, szczęk, języka, w trzymaniu narzędzi stołowych? Wspomniana Małgorzata Alacoque przestała się odżywiać z nieprzeżozonego wstydu wobec samej siebie, iż funkcja odżywcza prowadzi w nieuniknionem następstwie do innej, która jest epilogiem trawienia, a którą omijają nawet nasi znakomici pornografowie: Przybyszewscy, Żeromscy, Grubińscy, Zapolskie, etc.

Powie pan: Przesada, egzaltacja religijno-kobieco-francuska! No to zamiast bl. Małgorzaty ma pan laika, mężczyznę i niemca, w osobie powieściopisarza Lasswitza. W jednym z utworów swoich (tytułu nie pomnę) maluje on obraz dalekiej przyszłości, kiedy Ziemia wejdzie w komunikację z Marsem.

Mieszkańcy Marsa, numowie, przybywszy na Ziemię, dziwią się, że ludzie nie wstydzą się jadać wspólnie, w towarzystwie. Oni sami bowiem doszli do takiej kultury, iż jadaliby w specjalnych ubikacjach, każdy w ścisłym odosobnieniu.

Proszę rzec, czemu to niema wielkiego człowieka dla... Hoesicka? Bo Hoesick podpatrzył go we wszystkich jego koniecznych czynnościach, którym i on, narówni z ludźmi pospolitymi, poddawać się musi. Jedni tylko święci, którzy najdalej posuwają niezależność duszy od ciała, mogliby raczej zyskać w oczach Hoesicków. Ale oni ich nie ciekawi...

— Kościół ostatnimi czasy znacznie złagodził karność i ograniczył liczbę postów...

— A panu to jeszcze nie wystarcza!

— Prowadzę do tego, że te reformy pozwalają wnosić, iż Kościół wszedł na drogę pożądanego postępu i z czasem zupełnie posty skasuje.

— A panu w to graj!... Niestety, płonne nadzieje! Kościołowi wolno regulować posty: zaostrzać je lub łagodzić, zmniejszać lub zwiększać, znosić jedno lub ustanawiać drugie. Sama jednak zasada postu jest niewzruszona i nietykalna. Idea postu wynika z prawa przyrodzonego, choć jest natury religijnej. Wszak możebna jest religia przyrodzona. Praw moralnych przyrodzonych sam nawet Papież nie jest mocen rozwiązywać. Jest ich tylko stróżem i nauczycielem. Dodajmy do tego, że obowiązek poszczenia uświęcił sam Chrystus przykładem i słowem. Jego post czterdziestodniowy jest pierwotypem naszego Wielkiego. Do przykazania kościelnego należy tylko wymiar i określenie postów. Zniesienie ich zupełnie oznaczałoby rezygnację z jednego z najdziel-

niejszych środków doskonałości moralnej; wybiłoby niebezpieczny wyłom w całokształcie karności religijnej, przez który wtargnąłby tam świat ze swojemi pożądliwościami, burząc wszystko do reszty; byłby to początek bankructwa katolicyzmu. Coś takiego ani pomyśleć się nie da!

Z punktu katolickiego, społeczne reformy postowe stanowią raczej odstęp, aniżeli postęp. Odstępuje Kościół od swoich dawnych surowych wymagań przez wzgląd na nasze osłabienie, nie tylko fizyczne, ale i moralne, pomimo że tamto pierwsze jest w znacznej mierze skutkiem drugiego. Odstępuje, żeby zmniejszyć liczbę grzechów. Jak dobra matka! Nie bankrutuje przytem, gdyż za złagodzenie postów żąda rekompensaty w postaci obfitszej modlitwy i jałmużny. Ujmuje nam ciężaru jednego z trzech dobrych uczynków, który stał się trudniejszym do wykonywania; przykłada go zaś z dwóch innych, zawsze przy dobrej woli łatwych. Nie godna-ż podziwu roztropność i miłość Matki-Kościola?

— Czemu Kościół zadaje modlitwę za pokutę, kiedy modlitwa powinna być najwyższą rozkoszą i zaszczytem człowieka?!

— Gdyby nie sznycel, mógłbym stąd wywnioskować, że pan znajduje rozkosz w modlitwie i przeto modli się bardzo często, a czasami wpada nawet w ekstazy... „Powinna być!“... Piękna teoria dla innych, wygodna praktyka dla samego siebie. „Duch wprawdzie ochotny, ale ciało mdłe“. Oby choć duch był naprawdę ochotny! Łacniejby mu było przemódz ociążałość fizyczną, tem większą, im ciało lepszy i obfitszy obrok dostaje. Modlitwa wymaga subtel nego wysiłku fizycznego, bo wysiłku mózgu. Już to

jedno jest ciężarem, jest trudem, który może być nakładany, jako pokuta. Oderwać przytem myśl skołowaną i skołataną od spraw doczesnych, wzbić się duszą w nadświaty, odpędzać nalatujące co chwila roje komarów-roztargnień, to ciężka, panie, praca, zwłaszcza dla dusz prostaczych, grubych, niewyrobionych duchowo, nienawykłych do umartwienia, niezależnych od przykazań kościelnych, ale zato zależnych od żołądka... Bo nawet hardy i twardy Nietzsche, prorok przeciwbożnego nadczłowieczeństwa, uznał, że „wszystko, co żyje, zawsze czemuś podlega“.

— Możebyśmy wyszli na pokład?

— Z przyjemnością. Dość już uwędziliśmy się w tem pudle, warto się przewietrzyć.

Wyszliśmy.

Słońce zalewało Wisłę i lądy wczesno-wiosennymi blaskami. W sfalowanych dookoła statku wodach odbijało się złotym słupem, który się wił i migotał, jak olbrzymia serpentyna. Szare, ubogie brzegi dziwnie smutno odbijały od słonecznego wesela na niebie. Hej, dalekoż ci, kochana Wisło, do cudnego i bogatego Renu! A nam, ludziom XX-go wieku, jeszcze dalej i coraz dalej do skarbów kultury katolickiej... Och, przemiany, przemiany na lepsze: i kultury kraju i kultury dusz!

— Pamięta pan zapewne scenę Przemienienia na górze Tabor? „A oblicze Jego rozjaśniało, jako słońce, a szaty Jego stały się białe, jako śnieg“. Ewangelię o tem czyta Kościół dwa razy do roku: nietylko w dniu Przemienienia, ale i w jedną z niedziel Wielkiego postu. Łatwo odgadnąć intencję Kościoła w tem drugim czytaniu. Chce nasunąć nam myśl i wzbudzić w nas pragnienie przemie-

nienia duchowego przez post i sakrament pokuty. Aby szata duszy, szkarłatna od namiętności, wybielała, jako śnieg, i żeby głęboka stąd radość wewnętrzna wypłynęła na oblicze i rozjaśniła je, jako słońce. Jak pan sądzi? Czy, nie mówiąc już o zbawieniu wiecznem, które jest bezpośrednim i głównym celem takiej przemiany dusz, nie zyskałyby na niej także dobrobyt i kultura kraju? Cudów byśmy wtedy okazali! Cudów przemiany zbytków na społeczną ofiarność, nędzy ludu na zamożność, chorób na zdrowie, cierpień na rozkosze, brzydoty na piękno, smutku na wesele, wielorakiej brzydoty na wielorakie piękno, w duchu Johna Ruskina, zbożnego proroka piękna przyszłości. ³³⁾ A potem—błogosławione przemienienie wiekuiste...

— Chi lo sà?!...

— Panie! Albo Bóg istnieje, albo nie. Jeżeli istnieje, a to wiadomo nie tylko z Objawienia, ale naprzód i przede wszystkim ze świata i rozumu, to jest to Bóg, co się zowie, jak się patrzy, Bóg całą gębą, że już tak trywialnego wyrażenia z niecierpliwości użyję. I co dla takiego Boga może być niemożliwością? A serce nasze ludzkie pożąda nieskończoności, a Bóg jest nieskończenie wszechmocny i dobry. Nie stworzył naszych serc na tortury!

Towarzysz mój przechylił się przez poręcz pokładu i zapatrzył w grę blasków słonecznych na wodzie. Można się było lękać, że lada chwila straci równowagę i wpadnie w toń wzburzoną. Miałem wrażenie, że mój „katolik“ podobnie duszą zawisł nad przepaścią niewiadomości. Nie uznawał podstaw przyrodzonych wiary nadprzyrodzonej, bo ich nie znał, nie widział. Zwyczajnie czuł pod sobą

grunt materyalistyczny. Teraz, przeniesiony dyskusją w świat nadmysłowy, miał pod sobą tylko ową przepaść. Wisiał nad nią — mocą religijnego tylko atawizmu, nie zdając sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa.

— Panie drogi! czy to migotanie złocistych blasków nie świadczy, że nad nami, na niebie, jest słońce? Tylko patrzeć, jak ono ożywi i odnowi oblicze ziemi. Miałyżby dusze ludzkie, rozumne i wolne, być od ziemi gorsze i nie mieć także swojego Słońca i swoich odrodzeń?

Towarzysz mój był smutny, jak ów bogaty młodzieniec ewangeliczny, który chciał być doskonałym i któremu Chrystus dał radę, żeby porzucił swoje bogactwo. Tu chodziło tylko o rozbrat z nadmiernem przywiązaniem do materyi...



(DIVERTIMENTO).

**LEGENDA NARODOWA O KSIĘŻYM
CHLEBIE.**





— Nie od dzisiaj znam księży — oponował mi administrator rozległych dóbr, pan pod panem. — Bywam u nich i wiem, jaką mają pracę. Święte życie! Nie wiem, czy wszyscy księża obowiązani są odmawiać brewiarz, czy jak się tam te księże pacierze nazywają; dziwi mnie tylko, że niektórzy wstają od kart, żeby je odmruczyć. Czy nie mieli czasu uczynić tego wcześniej? Mogliby nam oszczędzić tych dywersyi...

— Więc pan poznaje pracę księży... przy zielonym stoliku... Brawo! Niech żyje „święta“ niewiadomość! A coby pan powiedział, gdybym nawzajem do jego pracy podobną miarę przyłożył?

— No, to co innego! Wiem przecie, że i księża pracują; chrzty, śluby, pogrzeby... Ale przytem sypią się i dochodziki!

— Co za łaskawość: nawet „i księża pracują!“ A nabożeństwa, a spowiedzie, a kazania, a nauki z dziećmi i nie dziećmi, a wyjazdy do chorych, a „społeczności“, a funkeye urzędowe, a restauracye i budowy kościołów i nieruchomości plebańskich, nie mówiąc już o codziennym brewiarzu i poważnej książce: to nie praca i, prócz aktu stanu cywilnego, nie praca darmowa? Tymczasem pański każdy krok...

na rasowym wierzchowcu, każde pociągnięcie piórem kancelaryjnym — wzięte są w rachunek i opłacane.

— Za prace darmowe ma ksiądz darmowe morgi, darmowe mieszkanie i w dodatku pensję.

— Morgi zjada para koni i odwrotnie: konie zjadane są przez morgi. Trzeba jednak je trzymać, bo na wsi obyć się bez nich niepodobna. Pensya wystarcza w sam raz dla służby. Gdyby ksiądz miał płacić jeszcze komorne, byłby skończonym nędzarzem.

— Chciałbym się pomieniać swoim luksusem na księżą nędzę. Ile dusz, tyle rubelków!

— Nie radziłbym panu tego hazardu, nawet gdyby do księdza nie był przywiązany celibat i brewiarz. Poradziłbym mu natomiast być powściągliwszym w ocenie zdzierczych zdolności księży, aby kto snadź nie pomyślał, że pan sądzi, jeśli nie po sobie, to po „szlachcie“. Nie wiem, gdzie się wylęła legenda, równająca liczbę dusz z ilością rubli: czy w bagienku moralnem, w którym siedzą po uszy nasi cenzorowie i z którego czerpią oni, tęczowemi barwami rzekomego idealizmu zasnuते, błoto do smarowania księży; czy też w piramidalnej naiwności narodowej, wierzącej podziśdzień w przysłowiowy wyraz narodowego materyalizmu, że „kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie“? Nie wiem tego. To jednak wiem, że ściąganie za posługi duchowne, posługi o charakterze prywatnym i dlatego płatne, w tym stosunku, żeby wypadło średnio po rublu z duszy, byłoby zdzierstwem, nawet nie skandalicznym, ale wołającym o pomstę do Boga. Przypisywać coś takiego ogółowi duchowieństwa byłoby wołającym również o pomstę do Boga oszczerstwem, gdyby nie było na świecie tylko budzącą śmiech homeryczny

naiwnością. Gdyby to wreszcie było prawdą, wi działby Kościół u swoich ołtarzy bez porównania więcej synów tych, których ojcowie niegdyś wzięli byli stan duchowny prawie w monopol. Dziś warunki bytu księży zmieniły się do tego stopnia, iż mówićby należało raczej o wyzyskiwaniu ich dobrej woli przez parafian. Między bajki tedy włożę pańskie orzeczenie: „ile dusz, tyle rubelków!“

— Relata refero... Nie przyznaję doń sobie tytułu własności. Bądź-co-bądź, i dziś bieda księży nie bodzie. Ksiądz sobie spokojnie i smaczno śpi, a tu...

— A tu szturmują do plebanii, budząc go do chorego, któremu trzebaby raczej zaaplikować oleum ricini, zamiast Olejów świętych, uważanych przez lud za panaceum w chorobach ciała przedewszystkiem.

— A tu rankiem wita go zapowiedź dochodu dzwonami kościelnymi, dzwoniącymi zmarłemu parafianinowi...

— I cała parada kończy się na bezpłatnym pokropku, choć dzwonne, zarobek służby kościelnej, być musi... Pan także smaczno sobie śpi, a tu panu rośnie w polu tantiema od pszenicy, żyta, buraków...

— Przyjdzie grad i tantiemę dyabli wezmą! Tymczasem księdzu dochód się wali, czy kto się rodzi, czy umiera; czy klęska posuchy, czy klęska deszczowa urodzajom zagraża.

— Wali się jałmużnicza kapanina, którą długo trzeba zbierać, żeby módz nabyć np. parę koni... Ksiądz, zresztą, któryby się cieszył z dochodów, płynących z ludzkiego nieszczęścia, nie mówiąc już o tem,

że byłby księdzem złym, ale byłby wręcz głupcem. Prowadziłby w duchu gospodarkę rabunkową, która koniec końców na nim samym źleby się odbiła.

— Śmierć jest nieunikniona; a zadowolenie z dochodu z okazji śmierci da się odróżnić od smutku z niej samej. Śmierć — śmiercią, dochód — dochodem!

— Realistycznie powiedziane! Uczucie jednak ma tu swoje prawa. Bywa, jak właśnie wśród naszego ludu, że śmierć grasuje nad miarę i wtedy zasnuca ona podwójnie: raz, jako nieubłagane prawo natury, powtórę, jako skutek rozwielnionego grzechu, oraz idącej wślad za nim nędzy. Czy pan myśli, że księża mają dusze karawaniarzy lub zakładów pogrzebowych? Sam nawet zimny rozsądek powiada: mniej grzechu i śmierci, — więcej ślubów i urodzeń, a w następstwie i większa kultura i większy dobrobyt. Ludziom lepiej, księdzu lepiej. Stan duchowny jest zasadniczo ludzkości życzliwy.

-- Nie przeczę, że są księża-obywatele...

— Wiem, co przez pańskich „księży-obywateli“ rozumieć! To księża, którzy są więcej obywatelami, niż kapłanami; którzy idą raczej na pasku świeckich stronnictw politycznych, niżeli w duchu Kościoła. To Staszice i Kołłątaje: zera, jako kapłani.

— To ksiądz nie uznaje obowiązków obywatelskich duchowieństwa?!

— Kwestya nie w ich uznaniu lub nieuznaniu, lecz w ich rozumieniu. Poczucie obywatelskie mieści się w duchu kapłaństwa, jak coś mniejszego w czemś większem, jak jeden ze skutków w płodnej wszechstronnie przyczynie. Rozwinięty należycie charakter kapłański niezmiernie sprzyja rozwojowi poczucia

obywatelskiego, a jednocześnie opancerza je moralnie przeciw jakimbyś zakusom partyjnym. Kapłaństwo czyni księdza arką przymierza w narodzie, wystawionym na szarpiące jego łono namiętności klasowe. Szczytne i doniosłe pod względem nawet doczesnym jest powołanie kapłańskie!

— To czemu w takim razie ksiądz tak się skarży na materyalne upośledzenie duchowieństwa?

— Tymczasem odpieram tylko świecką legendę o „świętem“ życiu i smacznym chlebie księży. Chcąc tego dokonać, trzeba było, choć z przykrością, dotknąć spraw materyalnych, tak dla pocucia duchownego drażliwych. Prawie wstydzimy się tego, że mamy ciała i nieodłączne od nich potrzeby materyalne: przeciw temu jednakże nikt nie poradzi. Żeby uczynić zadość osobliwym wymaganiom świata, stawianym duchowieństwu, radziłyśmy w czyste się duchy przemienić; ale gdyby się to nam udało, nie stałoby nas na ziemskim globie. Jesteśmy zaś, bądź - co - bądź, dla świata potrzebni, jak dusza dla ciała, żeby ciało nie uległo rozkładowi. Nie chcielibyśmy też swoim zbyt radykalnem uduchowieniem czynić zbyt wielkiej przyjemności socyalistom, zaraniarzom i wszystkim wogóle naszym „serdecznym“.

Niechże więc kochany świat raczy uwzględnić naszą naturę ludzką i, zamiast zazdrościć nam okrucichów ze swoich dóbr, oraz przez powiększające szkła zawiści na nie patrzeć, co mogłoby nas w końcu doprowadzić do stanu ogłodzenia (ksiądz i tak ma — powiedziałby każdy — i niktby mu nie nie dał!), niech nam zapewni byt materyalny bez troski, ażebyśmy wszystką troskę wkładać mogli niepodzielnie

w najwyższe sprawy ducha. Przedtem jeszcze, niechaj kochany świat spotyka się z nami nie tylko przy zielonym stoliku (jeśli on już do zbawienia od nudów niezbędny), ale i w kościele; niech się żywiej zainteresuje naszą wielostronną pracą i sam z niej stara korzystać, owszem, czynny w niej brać udział. A potem jeszcze, niechaj popiera prasę katolicką i prasą tą sam siebie w duchu katolickim popiera. Wówczas zrozumie słowa Apostoła: „Jeśli my wam duchowneśmy rzeczy siali, wielka rzecz jest, jeśli byśmy wasze cielesne żęli?” Wówczas też świat nie tylkoby na utrzymaniu księży nie zubożał, ale, przeciwnie, wzbogacony moralnie, urósłby i w dobrobyt materyalny.

We Francyi, pod rządem masońskim, gdzie księży zmuszeni są imać się rzemiosła, ludność zmniejsza się liczebnie i ubożeje. W Belgii, pod rządem katolickim, rośnie ludność i jej dobrobyt. Pomysłność kraju, jak widać z tych klasycznych przykładów, jest w prostym stosunku do położenia duchowieństwa.

Tymczasem u nas, w Królestwie, wobec coraz powszechniejszego i znajdującego wdzięczne echo przedewszystkiem u bandytów, opojów i cudzołóżników, szczucia ze strony bezwierców przeciw klechom, sutaniarzom, duchaczom, krukom, pachciarzom nieba, macochom (już imię pospolite księdza polskiego!) itd., trzebaby wyzuć się z człowieczeństwa, którego ludzie tak w nas nibyto pożądata, żeby nie wybuchnąć gorzką skargą na gorzki chleb kapłański. Norwid skarżył się na gorzki chleb polskości: otóż chleb polsko-katolicki jest gorzki podwójnie, a polsko-katolicko-księży - potrójnie! Naj-

umiarkowańsza zapłata za posługę duchowną z kategorii płatnych wydaje się drapieżnym laikom klebrykalnem drapiestwem; potrzeby kulturalne księdza mierzy się nieledwie skalą potrzeb chłopa; dostatek coraz rzadszego między księżmi pieniężnika rozdrapuje się po jego śmierci wśród klątw i uragań, których nie uniknie i ksiądz ubożak, za to, że nie ciulał...

- A co ksiądz powie na sławną „pogrzebową” krowę? Czy ją również włoży między narodowe legendy?

Przed kilku laty zdarzył się w gubernii płockiej wypadek, że syn rozplątał ojcu głowę toporem. Katastrofę sprowadził cały łańcuch przyczyn i skutków, a zaczęło się od sprzedania krowy na pogrzeb, na opłacenie wygórowanych żądań pasterza...

— Za takich pasterzy-wilków rumienimy się po same białka oczu! Żałobna krowa nie jest, niestety, legendą. Za to cieli się ona i mnoży legendarnie, przy pomocy znanego sofizmu uogólnień...

W przytoczonym, zresztą, przez pana wypadku zaczęło się właściwie od wycinania dworskiego lasu, obciążonego serwitutem, pod osłoną kozacką. To było przyczyną gwałtownej śmierci jednego z włościan, za czem poszły: pogrzeb, krowa, nędza i ojcobójstwo, gdyż ojciec dusił „papierki”. Cały więc splot przyczyn złożył się na zbrodnię, a w ich podstawie leżą warunki polityczne naszego bytu. Mimo tego, uchylam się od obrony owego księdza, lubo winę jego łagodzi okoliczność, że wszak ojcobójca mógł być poprzestać na bezpłatnym pokropku, choćby bojkotując w ten sposób księdza za jego zdziercze tendencje. Z kolei zapewne i pan nie zechce bronić

obywatela, który w tej tragedyi ma również swoją część winowajczą?

Wobec tego, pański as świętny, pod postacią krowy, nie tylko ogółu kleru nie bije, lecz nadto okazuje się niebezpiecznym dla tych, co lubią go przeciw księżom wygrywać.

— Z księdzem nie można lżejszej rozmowy poprowadzić! O byle co zaczepić, ksiądz zaraz bierze wszystko na tragiczną powagę i snuje konsekwencyę, godne raczej ambony...

— Trudno skakać na wulkanie! Wy, świeccyzna, przyczyniacie się lekkomyślnie do podcinania powagi duchowieństwa, będącej galezią, na której siedzicie. Kazań przytem nie słuchacie, boście niiby na nie za mądrzy: gdy prasa i piśmiennictwo katolickie to dla was jakaś chińszczyzna. W tych warunkach, z każdego nawet krzesła gościnnego, my, księża, musimy improwizować kazalnice.

DOPISY I DOPISKI.





.....

Myśl, w nieustannym będąc ruchu, nie kończy bodaj nigdy snuć swej przędzy około zajmujących ją i choćby już opracowanych przez nią samą tematów. Raz poruszone zagadnienia, jak magnes, przyciągają opilki coraz nowych spostrzeżeń i faktów jednorodnych. Jak meteory, przecinają one i rozjaśniają niesyty wiecznie umysł, stwierdzając w nim coraz nowe ciemnie poza szczupłym kręgiem świadomości. Żaden zoil nie ujrzy tak jasno, jak autor na własnym swoim tworze, jak dalece jest on niewykończony, jak wielkie i liczne posiada wady, niedoskonałości, braki. Zaledwie go niby wykończy, wygładzi, wypiluje, wypieści, uzupełni,—wnet napływają myśli nowe, lepsze, jaśniejsze, ściślejsze, mocniejsze, wyrazistsze, bądź co do treści, bądź co do formy.

Szczególnie z okazji korekt drukarskich. Korekta ma to do siebie, że, jak lupa, przybliża do oczu autora jego dzieło i wykrywa w niem setki usterek, chropowatości, krzywizn logicznych, luk i zbędnych wtretów. Czego nie było widać w rękopisie, to skacze do oczu w druku, urągając ślepej pysze autorskiej, zadowolonej zrazu głupio ze swego dzieła. Nie pora jednak wtedy przerabiać, skreślać, dopełniać. Bo wydawca się gniewa, bo się zastrzegł w kontrakcie przeciw temu. I ma ze swego stanowiska słuszność. Końca-by przeróbkom nie było! Proszę zobaczyć rękopisy i korekty takiego nawet Lwa Tołstoja w bibliotece Cesarskiej w Petersburgu. Toć zbrodnia przeciw biednym oczom towarzyszków szlachetnej, nieocenionej, kochanej sztuki drukarskiej! Żeby też na nią sobie pozwolić, trzebaby być Tołstojem i mieć u wydawcy przywileje osobliwe, za które, zresztą, zaplacał mu czytelnicy. na co książka katolicka rachować nie może.

Ocenia się wtedy głębokość reguły Horacyusza: „Nonum prematur post annum“. Kiedy atoli, ani gorączkująca psychika człowieka XX-go wieku, ani piekące potrzeby walki o ideały, ani wreszcie niemonumentalny zakrój roboty — nie pozwalają na kilkoletnią cierpliwość w oczekiwaniu na szatę drukarską dla płodów pisarskich, wówczas trzeba zaradzić brakom i uchybieniom inaczej.

Uczuwa się pożądanie wydania drugiego, zanim wyszło pierwsze. Wobec jego chimeryczności, udręczona myśl znajduje ujście sztuczne w dopisach i dopiskach, które, gwoli estetyce, spycha się na tyły frontowego tekstu.

Wbrew fałszywej ambicji, która, w imię autorskiego prestige'u i literackiego oficjalizmu, uważa za naiwność przyznanie się do omyłki i woli raczej narazić czytelnika na nieporozumienie z autorem, albo też rachować na jego bezkrytyczność, że, dzięki niej, nie gruntując do dna myśli autora, przepłynie on bez urazy, lub zaplątania się, ponad kamieniami i płatówiskami błędów,—prostuję tu parę własnych krzywizn, spostrzeżonych przypoźnie, żeby je można było uwzględnić w tekście głównym.

Poza tem, znajdują się tu przedewszystkiem szczegóły, wyjaśniające bliżej, lub popierające silniej twierdzenia „frontowe“. Szczegóły, zresztą, które, ze względów artystycznych, przeważnie *musiały* być zepchnięte na tylne podwórko.

Rzeczy katolickie, jakby jaka chińszczyzna, wymagają dziś komentarzy...

.....

1. str. 14. Rzecz znamienna, jak powszechne jest przekonanie u nas o semickiej genezie p. Neuwertha. Tymczasem, kiedy *Prąd* dał dobitny wyraz temu przekonaniu, autor „Małpiego zwierciadła“ gniewnie tamże zaprotestował (nr. 3 z roku 1912), podając się za czystej krwi szlachcica polskiego. Zdumiewająca rewelacya! Więc można zżydzic duszą aż tak dalece, że, nie będąc żydem z krwi i kości, można jednak uchodzić za żyda, nawet w oczach mojej „panny Jadwigi“, tak zapalonej wyznawczyni polaków żydowskiego pochodzenia. Żydowskiej duszy p. Neuwertha odpowiadają zresztą przedziwne rzeczy jego oblicza, którym tak często nadawał się do opo-

Swoją drogą, wierzymy jego autorewelacyi, tylko jednocześnie stwierdzamy, że jego krew polska warta... Szeląga z jego „Nowych Aten“, no i jego z tejże „sztuki“ Pollaczka.

2, str. 18. Czytelnikom, którzy nie uznali za „obowiązujące“ przeczytania grzesznych „Dziejów grzechu“ - a takich, mam nadzieję, książka moja będzie miała mieć zaszczyt, - należy się objaśnienie efemerycznego słowiska: *pochronizmy*. Ukute ono zostało na poczekaniu z nazwiska jednej z nieciekawych postaci tej powieści: Pochronia. Jest to bandyta, łotr i łajdak ostatniej próby, wyzwolony z wszelkich „przesądów“ i pyskujący przeciw etyce w duchu najznakomitszego dziś w Polsce autora, twórcy tej doskonałej w swoim bydlęcym rodzaju postaci. Że p. Grabowski słusznie mianem pochronizmów napiętnował nowe wartości, wnoszone do Duszy Polskiej przez protegowaną przez żydów z osobliwym zapalem Młodą Polskę, poświadcza kompetentny bezwzględnie sąd nawrócenia z jej dróg, ś. p. Stanisława Brzozowskiego, który jej siłę odrodzeniową nazwał legendą („Legenda Młodej Polski“) i tę legendę zdruzgotał. Wyspiański — wielki Wyjatek!

3, str. 34. Moriah = przejrzany od Boga. W samej więc nazwie swojej nosi ta góra potwierdzenie tradycyi o łączności ofiary Izaaka z ofiarowaniem Chrystusa.

Doczepiam tu parę uwag do rozwiązanej na tejże stronie, o parę wierszy niżej, kwestyi prorockiego charakteru Skargi. W ósmem kazaniu sejmowem, tem, które natchnęło było wiekopomnem dziełem Matejkę, Skarga zowie sam siebie „niegodną proroczyną“ i tamże wręcz oświadcza: „Jac objawienia osobliwego od Pana Boga o was i zgubie waszej nie mam; ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abych wam złości wasze ukazował i pomstę na nie jeśli ich nie oddalicie, opowiadał“. Otóż takie poselstwo ma każdy kaznodzieja, co znowu sam Skarga w pokorze ducha poświadcza we „Wzywaniu do pokuty“: „Chociamci ja nie Izaasz, ale *cień jego* i napodlejszy posłaniec Boży, z porządku kapłańskiego jednak z Izajaszem wołam...“ I znowu potwierdza: „Nie z objawienia Bożego, bo nie wiemy, co się w sercu waszem zawiąże..., ale z rozkazania i powinności poselskiej którą na nas włożył i kazał wołać...“

Nie jeden też tylko Skarga przewidywał upadek Polski miał podobnych sobie spółczesników, jak Orzechowski, oraz

następców, jak: Jan Kazimierz, Sobieski, ksiądz Marek. Orzechowski w „Ziemianinie“ zapowiadał z rozpaczą: „iż nas i tę sławną Koronę postronni sąsiedzi między się, jako psi flak, roztargną, ponieważ się ich przykłady nie karzemy“, t. j. przykładami ich klęsk nie przywodziśmy się do opamiętania. Skarga grzmiał najpotężniej, najboleśniej, dlatego najmocniej wrył się w pamięć i sumienie narodu.

4, str. 39. Utarło się u nas wyrażenie o Poznańskim, jako „Beocyi polskiej“.

Och, ten przefrancuziały Larousse! W artykuliku, poświęconym Polsce, *objaśnia* bezwstydnie: „Polska obecna, zwana niekiedy niewłaściwie Królestwem Polskiem, lecz oficjalnie nazwana prowincją Nadwiślańską...“ Galicya, wedle niego, ma być prowincją słowiańską państwa austriackiego. Ostrołęka jest, oczywiście, miastem rosyjskiem, którego największą chwałą — zwycięstwo francuzów nad rosyjanami w roku 1807! Mickiewicz to przedewszystkiem profesor literatury słowiańskiej w College de France; zresztą poeta, jakich wielu. Antypatyi tylko francuskiej do Niemców zawdzięczamy przynajmniej stwierdzenie polskości Kopernika. Zato Chopin został zaanektowany na rzecz Francji całkowicie i wyłącznie.

Należy się Larousse'owi ta czarna łata na białem tle oddanej mu przypadkowo w tekście pochwały.

5, str. 54. Na kongresie międzynarodowym zoologów w Berlinie, w r. 1901, dr Branko, dyrektor berlińskiego instytutu geologiczno-paleontologicznego, powiedział: „Podczas gdy ssaki z doby obecnej mają długi szereg przodków wykopaliskowych w okresie trzeciorzędowym, człowiek zjawia się w okresie dyluwialnym odrazu i nie połączony żadnemi ogniwami z przeszłością. Nadto człowiek dyluwialny występuje, jako człowiek całkowity, *homo sapiens*... Paleontologia—konkluduje uczony stanowczo—nie zna żadnych przodków człowieka“.

6, str. 70. Twierdzenie swoje we „Wtórej Podróży do Ciemnogrodu“ (str. 29) o mgławicowej budowie Drogi Mlecznej oparłem na powadze foliatego dzieła „Wszechświat i Człowiek“, które hołduje tendencji wolnomyślniej. Nie wyłącza ono zresztą przypuszczenia, że w Drodze Mlecznej są już i skupienia gwiazdowe. Posłowi Prawdy, bratu syamskiemu p. Niemojewskiego, zdarzyło się powtórzyć dwukrotnie w jednym artykule (*Prawda* nr. 1, z r. 1904) twierdzenie, że lunacye

księżycowe „zależą od mniejszego lub większego cienia, padającego nań od ziemi“, czyli, że lunacye są to zaćmienia częściowe, rozszerzające się stopniowo, aż do całkowitego!! Sprawa ta należy do kosmografii elementarnej, gdy kwestya budowy Dr. Ml. jest podotąd sporna. Ze strony arcymistrza postępu, ignorancya, chyba nie „docta“, t. j. nie taka, która uczonych nie kompromituje, jeno ich upakarza wobec Mądrości Najwyższej, iż dzieła Jej poznać tak trudno. Ten jednak skandaliczny przykład ignorancyi wolnomysłnej nie wywabił na usta p. Niem. sarkazmu, jakim z okazji „Wtórej Podróży“ potraktował księży wogóle, iż wolnomysłey „mają przywilej nieuctwa, z którego czerpią pełną dłońią“, gdyż mogą być pewni bezkarności ze strony krytyki, będącej przeważnie na ich usługach. Wszak to pewnik, że wolna myśl posiada monopol naukowości. Sam p. Andrzej jest okropnie uczony. Oto próbka jego metody, zastosowanej do problemu genezy Chrześcijaństwa:

Są dwie klasy źródeł historycznych: 1) te, które o Chrystusie mówią, 2) które milczą. (Mówią: Swetoniusz, Tacyt, Plinius, Józef Flawiusz, Talmud; milczą: Philon, Justus z Tyberjady). Jeśli mówią, to sztuczka chrześcijan późniejszych, zwana interpolacją; jeśli milczą, tedy nie można mówić o tem, czego nie było. Tak, czy owak, Chrystus, Matka Boska, Apostołowie, są bóstwami astralnymi na wzór Jowiszów, Apollinów i Wener, czego i dowieść należało, czego dowiedzenie było tak naukowo pożądane! Z metody tej wypływa zabawny wniosek, że chrześcijanie z miłości dla Chrystusa sfalszowali Talmud, każąc mu o Chrystusie mówić tak nienawistnie i bluźnierczo! Pan Niemojewski jest tak dalece w sobie zakochany, że wszędzie widzi tylko niemojowszczyznę, właściwą jej uczciwość i wolność od skrupułów. Swego czasu ks. Pérés „dowiodł“ metodą podobną przeciw jednemu z poprzedników „astralnych“ p. N., Dupuys'owi, że Napoleon I jest także mitem — uosobieniem alegorycznem słońca. Kiedyś może znajdzie się ktoś, co spróbuje dowieść, że sam p. N. był mitem i powstał dzięki pisarzom katolickim, którzy stworzyli go w celu zbudzenia z letargu opinii katolickiej. Nie będzie zaś pewno leżało w interesie moralnym nauki przyszłości, żeby tę próbę zwalczyć. Mit? To i lepiej dla honoru nauki!

7, str. 73. Rozbijają potop biblijny na szereg potopów w różnych krajach i czasach, żeby go w nich roztopić. Tak

poradzili sobie z dokumentami potopu pozabiblijnymi, które, lubo noszą wyraźne cechy skażonej tożsamości, uznawali za wiarogodne wyłącznie: gdy tradycję biblijną odrzucili, jakby ona to była skażeniem tamtych. Poganizm nowożytny podaje tu rękę poganizmowi starożytnemu w konspiracji przeciwbożnej. Ludy, które nie umiały zachować w czystości idei Boga, będącej dziedzictwem wspólnem całej ludzkości pierwotnej (bo skądże onaby się wzięła nagle, a wyjątkowo, u niższych kulturalnie żydów?), ale ją, jak zwierciadło, rozbili na szkiełka wielobóstwa i obniżyli do poziomu własnego skażenia moralnego, — były, zdaniem neopogan, zdolniejsze do przechowania w czystości całego skarbu tradycji wszechludzkiej, aniżeli żydzi, którzy wybili się na czoło kultury religijno-moralnej świata starożytnego. Żydzi, nam współcześni, którzy biorą udział w tem wywracaniu historii do góry nogami na niekorzyść swoich przodków biblijnych, działają oczywiście w duchu Talmudu. Zdają sobie sprawę, że nie oni, lecz chrześcijanie są spadkobiercami Pisma Starego Testamentu, który jest podstawą Nowego. Z nienawiści ku Nowemu, burzą, ściślej zaś mówiąc, wypaczają, Stary. Zbuntowani chrześcijanie pracują tedy dla Izraela.

Nawiązując uwagi powyższe do wzmianki o potopie i o potopach na str. 28, dla uniknięcia nieporozumienia z uważnym czytelnikiem zaznaczyć muszę, że zalewiska z epoki geologicznej dyluwialnej, zwanej także lodową lub lodowcową, miały odmienny od historycznego potopu charakter; przytem człowiek, jeśli już wtedy istniał, daleki był jeszcze od tego stopnia kultury, na którym stał ród ludzki w okresie potopu biblijnego. — Z punktu krytyki katolickiej, teoria powszechności geograficznej potopu należy dziś do liczby hipotez odrzuconych; teoria zaś powszechności antropologicznej, t. j., że potop objął cały ród ludzki, skupiony na małej stosunkowo części globu, uchodzi za niepewną teologicznie. Widzimy z tego, jak stare przekonania teologiczne ustępują z placu boju przed naporem nauki rzetelnej. Dowód, że Kościół w sprawach naukowych uznaje rzeczoznawstwo odpowiednich nauk.

Pozwolę tu sobie jeszcze skorzystać ze sposobności, żeby na tejże str. 73, nieco wyżej odsyłacza 7, sprostować lapsus w zdaniu: „Jak biologia...“ Jest ono wtrętem późniejszym, nieodpasowanym logicznie do kontekstu. Właściwie, zastosowanie

metody biologicznej do omawianej tam kwestyi wzajemnego stosunku Objawienia i mitologii — naprowadza na rozwiązanie jej w duchu katolickim. Owszem, tu jest ona jedynie racjonalna, bo podobieństwo tradycyi biblijnej z odnośnemi podaniami z poza Biblii jest istotne; gdy podobieństwo form gatunkowych zwierzęcych łączy się z istotnemi różnicami. — Wobec chybionego w zdaniu rzeczonom porównania, niniejszem zdanie to skreślam.

8, str. 96. Przeciw wyrażonemu tu pogładowi zaprotestował był p. Stefan Moszyński w artykule *Mysli Katolickiej*: „Ewolucjonizm a Nadprzyrodzoność“ (nr. 52 z r. 1911), zarzucając mi monizmo-modernizm, przez co dał mi sposobność do rozwinięcia mego poglądu w art.: „Chimeryczny dualizm z chimeryczną przepaścią“ (nry: 6, 7, 8, 9, 11, 15 i 16 z r. 1912). Cofając się do źródła sporu, zaznaczam, że dotyczący ustęp w [d]yalogu był już odpowiedzią na art. p. St. M.: „Dualizm a monizm“ (nr. 28 z r. 1911). Tym sposobem, p. M., oskarżając mój pogląd o modernistyczny monizm, podjął jeno rzuconą mu w dyalogu rękawicę. Niestety, zmuszony byłem okazać, że sz. mój przeciwnik zupełnie błędnie pojmował istotę dualizmu filozoficznego i że pomieszał pojęcia nadzmysłowości i nadprzyrodzoności, które to pomieszanie jest zresztą na porządku dziennym i prowadzi do kapitalnych nieporozumień oraz nonsensów — na benefis wolnej myśli. Istotnie, p. M. również, lubo postawił mi zarzut ultrakatolicki, przechylał się sam wyraźnie na stronę ateistycznego ewolucjonizmu. Jeżeli weń nie wpadł, to tylko dzięki arcykatolickiej niekonsekwencji.

9, str. 98. Była to propaganda żydowskiego *Kuryera Ilustrowanego* w Krakowie, który robi interesy na podniecaniu patryotyzmu, aż do punktu wrzenia, przy czem jednocześnie zyskuje atut przeciw katolicyzmowi, bo go w patryotyzmie przelicytowuje. Wszelkie licytacye to dobry zawsze dla żydów interes. Choćby się nawet nie zamierzało przy przedmiocie przetargu utrzymać, jeśli mianowicie przedstawia on wartość tylko idealną, zawsze dobrze jest podbić goja wysoko, wysoko, żeby spadł i tem pewniej kark złamał. — Sławny wódz młodoturków (tak samo zżydziałych, jak Młoda Polska), Enver-bej, okazał się nie polakiem, lecz rasowym turkiem. Noszący to samo nazwisko sturczony polak, Borzęcki, ku zmartwieniu naszych zabawnych patryotów, siedzi cicho gdzieś w kącie tureckim.

10, str. 99. Pisano na początku wojny włosko-tureckiej. Włosi, jak było do przewidzenia, zawładnęli Trypolisem, lecz bez honoru, choćby tylko wojskowego. Mimo wygranej, zobowiązali się zapłacić Turcyi odszkodowanie, które jej przed wypowiedzeniem wojny proponowali. Mimo także, iż zwycięstwu oręża dopomagało złoto, faktycznie jest ono jeszcze niezupełne, bo poszczególne szczepy arabskie nie złożyły dotąd broni u stóp pyrrhusowego zwycięzcy. Nie złożyły, choć rząd obdarza muzułmanizm faworami, których odmawia Chrześcijaństwu. Nadzieje katolickie patryotów włoskich, jak dotąd, zawiodły.

11, str. 103. Rząd piemontki używał Garibaldiego za narzędzie, którego się wobec Europy, jako rewolucyjnego warchoła, wypierał, że niby nie mógł dać sobie z nim rady. Sam też Garibaldi rad ulegał złudzeniu samodzielności, co przychodziło mu tem łatwiej, iż był umysłowem zerem, które tylko liberalna legenda apoteozuje naiwnie w duchu masonerii. Wogóle: zdrada, sztylet i trucizna—to były ulubione narzędzia zjednoczenia Włoch, którego nie życzyła sobie sama ludność, przekładająca nad monarchię—federacyę krajów autonomicznych, zgodniejszą z duchem swobód politycznych i mogącą się łatwiej pogodzić z istnieniem Państwa Kościelnego. Jedność została narzucona przez Piemont, oparty o drobne mniejszości rewolucyjne w głównych centrach życia politycznego Italii, jak Rzym, Parma, Modena, Neapol i Sycylia. Do armii papieskiej wprowadzano zdradziecko rewolucjonistów, co pomogło „zwycięstwu“ pod Castelfidardo. Walczący tam po stronie papieskiej kwiat rycerstwa europejskiego, gdzie byli i polacy, wódz strony przeciwnej, Cialdini, nazwał w odezwie do żołnierzy „pijakami i hołotą“, za co mu wdzięczne Włochy Zjednoczone niedawno wystawiły pomnik.

Czemu w końcu ludziska polscy cieszą się ze zjednoczenia Włoch, a krzywo patrzą na zjednoczenie Niemiec? Ach, tam padło ofiarą tylko Państwo Kościelne, tu Wielkopolska, jako kraj do wówczas polski oficjalnie. Oko katolickie spogląda krzywo na obadwa dzieła zjednoczeń, bynajmniej nie żeby było im przeciwne zasadniczo, gdyż, owszem, dziełom takim zawsze sprzyja, ale że zostały dokonane z pogwałceniem praw cudzych, po zbójceku, i aż dotąd na tym gwałcie, jakby na laurach, spoczywają.

12, str. 117. Żeby osłabić urok kongresu Eucharystycz-

nego w Wiedniu (r. 1912), prasa wolnomyślna puściła pogłoskę, jakoby polacy, jako naród bezpaństwowy, pozbawieni być mieli prawa wystąpienia zbiorowego imieniem Polski, bez względu na podział polityczny na trzy zabory. Była to plotka tendencyjna. Uwierzyli w nią wszakże polscy czytelnicy prasy liberalnej, udaremniając w następstwie zamiar komitetu kongresowego wyróżnienia polaków z racji zbiegu daty kongresu (10—15 września) z rocznicą polskiej odsieczy Wiednia. Było nas za mało i brakło wśród nas organizacyi.

13, str. 120. Minęły czasy Windthorsta, wspaniałego katolika, który przed każdym wystąpieniem na mównicy parlamentarnej przystępował do Stołu Pańskiego i który tyle krwi napsuł Bismarckowi. Dziś, niestety, Centrum potrafi hakatyzować potrosze. Ale to właśnie skutek odstępstwa od czystej rzymskiej zasady katolickiej, która zasadą obowiązującą być nie przestała. Zawdzięczać to trzeba prądom liberalnym, które się wdarły do Centrum i zdobyły w niem częściową przewagę. Nawet wszakże kardynał Kopp, w imię ideologii katolickiej, wystąpił przeciw prawu o wywłaszczeniu. Ten tryumf zasady katolickiej nad karyerowiczowskim nacjonalizmem junkierskim jest wymowną obroną katolicyzmu, jako czynnika, przeciwnego tendencyjom wynaradawiającym.

14, str. 121. Misyjonarze francuscy, skądinąd święci, wnoszą w kraje misyjne francuski szowinizm. Asumpcyoniści osiedleni w Petersburgu w celach misyjnych, hołdując franko-rosyjskiemu przymierz, na polaków spoglądają zezem. Szczęściem, Zwierzchność kościelna miejscowa trzyma ich w oddaleniu od akcyi katolickiej, że tylko wegetują, mimo *złotych* pokus, których próbują używać.

Co do o. Palmieriego, niestety, wyznać trzeba, iż oskarżenie jego, jakie przed forum Europy wytoczył przeciw duchowieństwu polskiemu w swojej „La Chiesa russa“, że wskutek szowinizmu polskiego jest ono niezdolne do podjęcia i prowadzenia dzieła zjednoczenia Cerkwi z Kościołem, jest do pewnego stopnia zasłużone. Wyznajemy to wbrew bezwzględnemu protestowi przeciw Palmieriemu ze strony ś. p. ks. Al. Mohla T. J., w rozprawie: „Potwarz, czy nieporozumienie?“ (w przekładzie franc.: „Est-ce vrai?“), oraz wbrew całej prasie polsko-katolickiej. W ognisku katolicyzmu rosyjskiego zdarzył się ostatnimi czasy nieprawdopodobny skandal, który z siłą po-

twierdza zarzut o. Palmieriego. Przyjdzie czas na jego ujawnienie, a historia katolicyzmu polskiego zapisze go wcale nie złotymi głoskami. Żeby nie zmylić domysłów, zastrzegam się, że fakt ten nie ma nic wspólnego z głośnem zajęciem w kaplicy „prawosławno-katolickiej“. Chodzi o kaplicę Maltańską i obrządek łaciński, tak samo wstrętny w oczach naszej narodowej demokracji, gdy chodzi o rosyjan, jak władzom rosyjskim wstrętny jest obrządek katolicki grecki. Tymczasem sekret leży w interesie partyi, oraz oddanych jej narzędzi duchownych; gdy nas wiążą na razie względy wyższe.

15, str. 124. Pewien odłam krytyki katolickiej posądził był powieść Bensona „Pan świata“ o modernizmu literacki, właśnie z powodu, że autor przedstawił Kościół przy końcu świata zmalowanym i poniżonym, zwłaszcza w jego Głowie. Zdaje się jednak, iż autor wolny był od tendencyi modernistycznej, bo na zarzut powyższy odpowiedział nową powieścią p. n. „Wielka Zorza“, w której, przeciwnie, Kościół tryumfuje na całym świecie, przyczem cywilizacya pod jego protektorem dosięga szczytów rozwoju. Można by sądzić, że Benson, rozwijając dwa tak sprzeczne obrazy, wpadł w sprzeczność sam z sobą i tem samem uznał zarzut za słuszny, przekreślając „Wielką Zorzę“—„Pana świata“. Tak wszakże nie jest. Jeżeli powieść poprzednia ma charakter apokaliptyczny, to nie ma go następna, rozgrywająca się pod koniec XX-go wieku, kiedy zapewne autor nie przewiduje końca świata. Przedstawiając tryumf katolicyzmu, autor chciał tylko pokazać, że ten tryumf nie jest mu wstrętny, że go sam pragnie, a wizję przesładowania Kościoła we dni ostateczne podyktowała mu intencya zohydzenia Antychrysta. Nietrafna jest wobec tego obrona Bensona przez *Role* (nr. 44 z r. 1912), która obudwu powieściom jego przypisała charakter apokaliptyczny, a zarzut modernizmu odparła twierdzeniem niekrytycznem, jakoby „Pan świata“ dlatego tylko wolny był od tendencyi modernistycznej, bo wszak to tylko fantazyja. Właśnie bowiem modernizm literacki ujawnia się w obrazach fantastycznych, podobnie jak wszelkie inne błędne kierunki w taki sam sposób, mniej lub więcej artystyczny, prorokują sobie swoje urzeczywistnienie. Inaczej, fantazyja byłaby nieodpowiedzialna, gdy przecież i ona powinna być rozumna, na gruncie zaś katolickim — katolicka, t. j. liczyć się z nauką katolicką. Wymaga tego wszelka doktryna.

16, str. 130. Szczególnie przykrą jest rzeczą stwierdzić rozwiązłość uczucia i myśli w pisarzach, którzy z tą rozpustą łączą pewien idealizm, jak np. Daniłowski, autor wspomnianej na str. 49 „Maryi Magdaleny“, a jednocześnie aspirant, za przykładem Micińskiego, autora „Nietoty“, do roli maga narodowego, pozujący do niej wobec naiwnych w Zakopanem. Według p. D., Chrystus wskrzesza Łazarza na prośby Magdaleny, bo się w niej kochał! Wykonuje akt wskrzeszenia na wzór bramińskiego yogina (wyznawcy yogi, ascezy hinduskiej, modnej za naszych czasów w Europie w kołach teozofów i okultystów): błednie, sinieje, włosy stają Mu dębem itd. W końcu podaje wykonany z takim wysiłkiem akt wskrzeszenia w podejrzenie uwagę, że Łazarz był złożony do grobu w stanie omdlenia... „O głowo, ty, głowo!“

17, str. 131. Pan Gąsiorowski wydał w r. 1912 książkę, poświęconą apoteozie Francji współczesnej, głównie Paryża, p. t. „Babilon“, ale bez cudzystwów, jakby chciał czytelnika zmiastyfikować obudzeniem, przeciwnej tendencji książki, nadziei, że rzuci gromy na Paryż, jako światowy akumulator babelskiego zepsucia. Pan G. jest, zdaje się, sumienny podmiotowo, w takim razie jednak jest ślepy stanowczo. O ile zaś złe widzi, to je usprawiedliwia, owszem, wynosi na piedestał kultury, jak np. powszechny we Francji neomalthuzyanizm, grożący jej wyludnieniem i przygotowujący ją na łup niemieczyzny; albo i masoneryę, w której widzi stado baranków. Poza tem, mnóstwo fałszywych oświeśleń, niezrozumień, przekręceń, powtarzań bezkrytycznych za panią matką-masoneryą, co jest tem naciwniejsze, iż autor „Babilonu“ nie jest pozbawiony szacunku dla Kościoła. Zepsucie w Paryżu mają robić tylko cudzoziemcy; dziwna to jednak cnota francuska, która pozwala jej zepsucie cudzoziemskie cierpieć na własnym gruncie, i owszem, ciągnąć zeń zyski. Dziwne tembardziej wobec znanego francuskiego szowinizmu, który zresztą autor również wynosi pod niebiosa. Książka wogóle niezmiernie płytka, przy pozorach głębin, a pod względem pisarskim — trąci żargonem. Ma jednak wśród wybrednej publiczności powodzenie!

Jeszcze jedno. Autor nie porusza takich objawów paryskiego życia, jak ten, że w Paryżu grasuje 35 tysięcy wrózek i wróżbitów; chiromantów, astrologów i t. d., którym opłaca haracz roczny w sumie 75 milionów franków. Czy nie powrót do śred-

niowiecza, w tem, co było jego ciemnotą i zabobonem? Z drugiej strony, autorowi obcy jest Paryż religijny, katolicki, jego życie wewnętrzne, pełne wzniosłości i poświęcenia. Zna tylko anegdotki o jego mniej sympatycznych przejawach, a nie wie np., że duży odsetek w kołach wyższej inteligencji, między innymi w świecie profesorskim, jest głęboko i gorąco katolicki: o tyle głębiej i goręcej, o ile dookoła większa płytkość i obojętność religijna.

18, str. 145. Artykuł o „Tolerancyi religijnej w świetle rozumu“ wyszedł w jednym z czasopism, dziś nieistniejących, które tuzinami powołała do krótkiego żywota wolność od cenzury przewencyjnej. Następnie ukazał się w odbitec.

19, str. 162. Przed forum Stan. Potockiego, autora „Podróży do Ciemnogrodu“, jako ministra wyznań, wpłynęła była sprawa o odmówienie szlachcicowi rozgrzeszenia. W r. 1904. w St. Fulgent, Combes pozbawił pensyi rządowej księdza za odmowę rozgrzeszenia pewnej penitentce. W Portugalii, wyzwolonej z jarzma katolickiego przez masoneryę, biskupi oddani zostali pod sąd za ekskomunikowanie — akt przecie czysto kościelny — księży, którzy wzięli ślub cywilny. Podobne chętki objawiają się przy sposobności także i u nas, braknie im tylko na razie władzy wykonawczej. Czyż nie kładziono w głowy zaraniarzom, że „klątwy“, rzucane na gazety „oświatowe“, to znaczy — antyklerykalne i antykatolickie — są nieważne? Czy nie uczono ich, że z czytania tych gazet nie mają obowiązku się spowiadać, czy więc nie upoważniano w ten sposób do świętokradzkich spowiedzi? — Rzekomy obiektywizm państwowy nad wyznaniem religijnem — czysta — raczej nieczysta fikcja. Państwo stoi wtedy faktycznie na stanowisku ateistycznym i w tymże duchu szykanuje religię.

20, str. 163. „L'Humanité“ — organ Jaurès'a, zacieklego socjalisty, który niewiele więcej nad paryskich apaszów hołduje hasłom humanitarnym rzetelnym.

21, str. 170. Kant jest filozofem protestantyzmu: zgłębił i filozoficznie uzasadnił jego podstawy rozumowe. Podstawy te okazały się przepaścią subiektywizmu, w którą też protestantyzm z wolna zapada. W Królewcu przy katedrze luterskiej, dawniej katolickiej, jest kaplica, poświęcona Kantowi. Obok marmurowego popiersia filozofa istnieje tam tablica z napisem: „Niebo gwiazdziste nade mną, a prawo moralne we

mnie". Słowa samego filozofa, w pierwszej części nieścisłe. Prawicowy kierunek szkoły filozoficznej, stworzonej przez Kanta, wysnuł z jego zasad teoryopoznawczych wnioski, że świat zewnętrzny jest tylko grą halucynujących zmysłów. Kant przez całe życie nie wychylił się nigdzie z rodzinnego miasta. Jest to symboliczne dla jego filozofii, zamykającej świat przedmiotowy w myślącym podmiocie. (Por. *Ziemia* nr. 2 z r. b.).

22, str. 181. *Myśl Niepodległa* wychodzi rewolucyjnymi dekadami. Postanowieniem konwencji narodowej 1793 r., podzielono miesiące na dekady, zamiast tygodni. Prócz tego zamieniono w kalendarzu świętych katolickich na wielkich ludzi świata. Co do rewolucyjnych dekad, nauka z tej okazji dowiodła, że biblijny podział czasu na tygodnie odpowiada przedziwnie prawu wyczerpalności energii człowieka. Łamać go bezkarnie, bez szkód ekonomicznych, nie można.

23, str. 182. Słowa ewangeliczne: „Kto nie jest przeciwko wam...” stały się u nas głośne, odkąd na zjeździe pisarzy katolickich w Warszawie (1907) padły one z ust ks. arcybiskupa Teodorowicza. Niestety, przypisano je inwencji świętego mówcy i zaczęto przy każdej sposobności wyzyskiwać stronnictwo, z powoływaniem się na arcybiskupią powagę, oraz bez względu na zatajone i nieznane, a doniosłość tamtych ograniczające, słowa również ewangeliczne: „Kto nie jest ze mną...” Grasuujące to po dziś dzień bałamuctwo wziąłem sobie za obowiązek tępić, co też czynię przy każdej sposobności. (Ob. „Moderniści, modernizanci, antymoderniści — nasi i obcy” — str. 115).

24, str. 192. Prócz wspomnianej w „Lekcyi” ankiety d-ra Dennerta, zapalonego przeciwnika haecklowskiego Związku monistów, ankiety, ogłoszonej w dziele: „Religia badaczy przyrody”, liczącem w oryginale niemieckim 7 już wydań, — z podobną ankietą wystąpił niedawno anglik Artur Tabrum i w ogłoszonych rezultatach wykazał, iż bezwzględna większość uczonych świata anglo-saskiego (łącznie z Ameryką) wierzy w Boga, wielu zaś nadto praktykuje religię.

25, str. 198. Na fasadzie bożnicy (w stylu maurytańskim) żydowskiej w Pradze Czeskiej widnieje charakterystyczny napis:

„Haben wir nicht alle einen Fater?

Hat nicht ein Gott uns erschaffen?”

Ot, fortel liberalizmu żydowskiego! Apeluje do jedności w Bogu, żeby obalamucić chrześcijan, warując nietykalność

dla chowanego przed ich okiem Talmudu. Spadła jednak w oczach polskich maska liberalna z oblicza żydowskiego, gdy ono zaczęło wrzeszczeć o Murawiewów dla „buntującej się“ przeciw żydostwu Polski.

26, str. 220. Akt wyrzeczenia się woli własnej przez zakonnik jest aktem tej samej woli, który towarzyszy następnie spontanicznie każdemu aktowi posłuszeństwa i przez to czyni go wolnym. Podobnie w naturze wolnością jest zgodność z prawem natury. Tak doskonale, dziko wolnym jest wagnerowski Zygfryd, którego wolność polega na żywiołowej zgodności z prawem wszechświata. (Zdzisław Jachimecki: *Ryszard Wagner*, str. 102).

27, str. 225. Dziś synowie Don Bosca, Salezianie, w Ameryce Południowej odnowili i rozwijają dalej dzieło chrystyanizacji, przerwane przez nędzników: Pombala i Arandę. Płocki *Mazur* drukuje od dłuższego czasu powieść na tle tamtoczesnych stosunków paragwajskich, p. n. „Tajemnice Paragwaju“. Powieść, nietylko poprawna, ale i rzeczywiście interesująca, choć w piśmie ludowo-mieszczańskim. Nie przyniosłaby ujemy literackiej *Światom* i *Warszawskim*. Cóż, kiedy jest wolna od specyficznego pieprzyku! Natomiast—okropność!—klerykalna...

28, str. 229. W przeciwieństwie do Mszy, która jest nieustanną odnową Ofiary Golgockiej w sposób niekrwawy.

29, str. 231. W Trypolisie Włochy popierają Islam; w belgijskiem Kongo sekciarskie władze kolonialne, wbrew rządowi katolickiemu metropolii, protegują pogaństwo, szykanując Jezuitów aż do pokuszenia ku opuszczeniu placówki misyjnej. Zjawisko dotychczas niebywałe. Dotąd rządy sekciarskie zwalczały Chryścijaństwo u siebie, ale popierały je w koloniach dla własnego, dobrze zrozumianego, interesu. Dziś już i nad tym interesem narodowym bierze górę zaślepienie sekciarskie.

30, str. 233. Pieśń Demokracji Chryścijańskiej, anektowana z francuszczyzny na rzecz polszczyzny w gorących dniach rozruchów rewolucyjnych. Przeciwwstawienie Marsyliank i Carmagnol, Warszawianek i Czerwonych Sztandarów.

31, str. 256. O wyuzdaniu mistycznym w Rosyi za czasów Piotra W. ciekawe rzeczy opowiada Mereżkowski w „Antychryście“. Niedawno w gubernii kurskiej powstała sekta stefanowców: nie żenią się, ale oddają rozpuście, bo w ten sposób „oczyszczają duszę“. W Polsce podczas huraganu refor-

macyjnego działały się rzeczy podobne. Powiada Lubieniecki, że byli tacy sekciarze, co: „pozwalając sobie grzechów wszystkich, których prawo pospolite nie broni: bywali w kościołach, cerkwiach, bożnicach, i mówili, że to nie szkodzi czynić co ciałem, kiedy dusze czyste mamy“ (Kubala: *Stan. Orzechowski*, 61). A dziś „maryawici“?... Wszędzie i wiecznie ta sama w swem skażeniu natura ludzka, szukająca cheiwie rozumowanych, naukowych i nawet religijnych wybiegów, żeby swoją chuć zmysłową usprawiedliwić,—odpowiednią do ducha czasu szatą — nagość jej osłonić. W jednym tylko Kościele katolickim spotyka się ona z silnem wędzidłem, i dlatego Kościół tyłu ma ze wszystkich stron wrogów.

32, str. 260. Ksiądz de Cheverus, późniejszy biskup bostoński w Ameryce, następnie arcybiskup w Bordeaux i kardynał. Wiek XVIII—XIX.

33, str. 276. Mało komu u nas wiadomo, że Ruskin był człowiekiem i myślicielem arcyreligijnym, który swoje przewrotowe (w znaczeniu dodatniem) myśli o Pięknie kształcił na Biblii. Stąd jego pojęcia estetyczne splatają się harmonijnie z etyką, gdy np. mówi: „dobry gust jest zaletą moralną“. Podobnie, zresztą, na długo przed Ruskinem, powiedział św. Hilary z Poitiers: „Marny styl jest grzechem“. Wskutek właśnie charakteru religijnego pism estetycznych Ruskina, podlegał on długie lata ostracyzmowi ze strony krytyki liberalnej. Dopiero pod koniec życia († 1900) został „odkryty“, na podziw świata. I wtedy jednak ścierano starannie oliwę namaszczenia religijnego z jego myśli. Wynagrodził mu to uczeń i wielbiciel jego, Brunhes, który w dziele: „Ruskin et la Bible“ wykazał, jak dalece autor „Etyki pyłków“ przejęty był Biblią, myśłami jej myślał i nawet słowami jej bezwiednie pisał, odbijając je pod kątem Piękna, które było duszą jego duszy. Nie dziw, że taki umysł wyniósł kult Piękna do godności religijnej i strzegł moralnej czystości jego szaty.

Swoją drogą, gdyby u nas pisarz katolicki wystąpił z ruskinowską klątwą przeciw kominom fabrycznym, okrzyczano by go za fanatyka, zacofańca, wroga przemysłu, kultury i dobrobytu. Dlatego „ksiądz“ w „Leceyi“ nie zaprotestował przeciw słowom „pani domu“ na str. 80.

Wolna myśl nie darmo zowie się wolną! Na szczęście, nie może się ona stać katolicką, t. j. powszechną.

Errata.

Str. 12, wiersz 12 od dołu, opuszczono odsyłacz ²⁾.

„ 24	„ 8	„ „	zamiast „Jełowiecki“	powinno być <i>Jełowicki.</i>
„ 40	„ 13	od góry,	„ „Ezdraś“	powinno być <i>Ezdrasz.</i>
„ 62	„ 14	„ dołu,	powinno być: „i tylu <i>innych</i> bele- trystów“.	
„ 106	„ 5	„ góry,	zamiast „pięciopromienni“	powinno być <i>sześciopromienni.</i> *)
„ 160	„ 11	„ „ „	„minejszościom“	powinno być <i>mniejszościom.</i>
„ 176	„ 8	„ „ „	„Z drugiej strony“	powin- no być <i>Przeciwnie.</i>
„ 179	„ 8	„ „ „	„tak zwane“	powinno być <i>tak zwanej.</i>
„ 198	„ 9	„ dołu,	„sultana Saladyna“	pow. być <i>Natana Mędrca</i> <i>sultanowi Saladynowi</i>
„ 207	„ 2	„ góry,	„patryarchy“	powinno być <i>prapatryarchy.</i>

*) Dwa skrzyżowane trojkąty, jak na szczytach bożnic symbol
siły rozrodczej.



Spis rzeczy.

	<i>Str.</i>
Dyalog - Przedmowa	5
Lekcyja katolicyzmu w salonie	11
(Intermedietto):	
W zakrystyi	137
Przy kasie	138
W kawiarni	139
O tolerancyi religijnej	145
(Intermezzo):	
Zardzewiała broń	245
Nad przepaścią niewiadomości.	253
(Divertimento):	
Legenda narodowa o księżym chlebie	231
Dopisy i dopiski	291





